Paweł Szumił

IDŹ I ZŁAP SWOJĄ GWIAZDĘ

Powieść

Tom VII cyklu

**SŁOWO O SMOKU**

**Tłumaczył z rosyjskiego**

**Jacek Izworski**

Tytuł oryginału**:** ИДИ**,** ПОЙМАЙ СВОЮ ЗВЁЗДУ

**Część I**

**KRONIKI ZASTĘPU**

Ja, Maja, postanowiłam opublikować część dziennika, gdyż zbyt często słyszę najbardziej nieprawdopodobne wymysły o Wielkim Smoku. Sam dał mi do przeczytania fragment dziennika, zanim udał się w swoją ostatnią ekspedycję osiem lat temu. Chciał usłyszeć moje zdanie. Tak się złożyło, że przez jakiś czas byłam kronikarzem Zastępu, którym on kierował. Ściślej to on stworzył z nas Zespół. Zahartował nas i spoił, połączył w jedną całość. Kazał nam uwierzyć w swoje siły, przekonał, że na świecie nie ma nic niemożliwego. Stawiał przed nami coraz to nowe zadania – na pograniczu możliwości, ale nie poza ich granicami. Może czasem działał zbyt ostro i surowo, ale teraz rozumiem, że inaczej nie mógł. Za mało było czasu i zbyt poważne mieliśmy zadania. Jestem mu głęboko wdzięczna za to, co zrobił. Nie wierzę, że zginął. Łączność mogła się urwać z wielu powodów, a on nie jest z tych, którzy giną. Nie wiem, jak to wyjaśnić, to trzeba czuć. Trzeba choć raz pobyć z nim, poczuć jego energię, ciekawość, niewyczerpany optymizm, posłuchać historii przy ognisku i anegdot z brodą. Przeżyć z nim chwile radości i smutku, niebezpieczeństw i oczekiwania w strachu.

Te notatki nie stanowią jakiejś skończonej całości, to zwykły dziennik. Dowódca prowadził go, kiedy miał choć trochę wolnego czasu i nigdy nie stawiał dat. Taki miał styl. Porównując notatki z kronikami Zastępu, widzę wielotygodniowe i wielomiesięczne luki – okresy najintensywniejszej pracy. Mogłabym wstawić daty, ale po co? Niech wszystko zostanie jak jest.

– Witaj, skarbnico kultury.

– Węgielek?!

– Dawno nikt mnie tak nie nazywał. Wszyscy tylko Berta i Berta. Jeden żartowniś nazywa mnie „Czarną Grand-Damą”.

– Węgielku…

– Czy ja cię przypadkiem nie obudziłam? Jesteś jakiś oszołomiony…

– Węgielku…

– Co tam u was? Kora z tobą? A mama z wami?

– Czego się odzywasz? – Znajduję wreszcie inną, choć dość niegrzeczną odpowiedź.

– Obudził się – cieszy się Węgielek. – Poznaję dawnego Mistrza. Pamiętasz, co mama mówiła? Trzeba czytać książki, naukowe. – Pokazuje okładkę. – Tu czarno na białym pisze, że jesteś wielką, niewyczerpaną (hm?) skarbnicą kultury. Zrozumiałeś, Mistrzu? Ciebie jeszcze rozpracowywać a rozpracowywać.

– Gdzie autor? Zniszczę go moralnie! Nie spocznę, dopóki nie znajdę w jego książce tysiąca i jeden błędów.

Węgielek patrzy na dane bibliograficzne.

– Spóźniłeś się, Mistrzu. Zmarł rok temu jako zasłużony, poważany drakonolog. Całe życie badał ciebie. Ale nie obrażaj się, mnie też się od niego dostało.

No tak. Żyjesz sobie, i nie wiesz, że ktoś gdzieś na tobie pasożytuje. Cóż, jeśli umarł, to Bóg z nim. Polemizować z umarłym – to jednak jakoś niesolidnie.

– Węgielku, przyjeżdżaj! Rzucę swoje sprawy i będę cię nosił na łapach. Godzinę dziennie.

– Na taką odpowiedź czekałam. Gdzie jesteś?

– Pamiętasz bazę numer dwa? Koło pustyni Piitetow.

– Czekaj – i wyłączyła się.

Minutę wpatruję się w pusty ekran, nie wierząc swojemu szczęściu. Spostrzegam się i rozpieczętowuję jej pokój. Mój Boże! Kurzu po kostki – moje, nie ludzkie. Siedemdziesiąt lat temu zapomnieliśmy włączyć klimatyzator, więc nawiało z ulicy. Cofam się ostrożnie, żeby szybkim ruchem nie podnieść chmary i wzywam cybery. Wszystkie, nawet te z laboratorium. Objaśniam, co mają robić, daję termin: dziesięć minut – i chowam się za drzwiami. Potem się spostrzegam i wszędzie, oprócz pokoju Węgielka, włączam przedmuchiwanie. Cyberom w pokoju Węgielka każę otworzyć wszystkie okna. Potężny przeciąg tworzy wiry kurzu w korytarzu, a z mojego biurka strąca na podłogę wszystkie papiery. Bez przeglądania wpycham je byle jak do szafy na półkę z czystymi obrusami. Węszę i biegnę do kuchni. Wyłączam kuchenkę, wyjmuję przypalony połeć mięsa. Automat kuchenki dawno się zepsuł, a kuchenny cyber… Gdzie ten głowacz? Ach prawda, przecież wysłałem go do sprzątania!

Biorę nóż do mięsa wielkości dwuręcznego miecza i okrajam połeć. Wpycham parzące ścinki do pyska. Zsyp nie działa, a jeśli wyrzucę do zbiorniczka, Węgielek wywęszy i na pewno się zainteresuje. To, co zostało, wygląda całkiem apetycznie i pasuje do brytfanny. Polewam winem, nakrywam wieczkiem i wsuwam z powrotem do kuchenki. Ustawiam na minimalne grzanie, żeby tylko nie wystygło. Biegnę do pokoju Węgielka. Już prawie nadaje się do zamieszkania. A-ja-jaj, biedny stolik na czasopisma! Fornir na blacie rozwarstwił się i poskręcał. Pewnie w zimie padał na niego śnieg przez nieczynny klimatyzator. Zmieniam stolik na swój. Były prawie jednakowe, różniły się tylko rysunkiem inkrustacji. Rozeschnięty stawiam w kącie swojego pokoju, zawalam starymi czasopismami spod szafy z książkami. Rzucam ostatnie spojrzenie. Cybery kończą czyszczenie tapet, pompują wodę w materac do spania. W porządku! Ikebana! Węgielek powinna pojawić się lada sekunda. Specjalnie nie uściśliłem, że jestem nie w samej bazie, tylko w willi obok, żeby zyskać pięć minut. Wysyłam kuchennego cybera do kuchni, biegnę na werandę, otwieram drzwi i… dostaję skrzydłem po głowie. Zdążam jednak wziąć Węgielka na wyciągnięte łapy i – co najważniejsze – utrzymać, choć od takiego ciężaru grzbiet mi aż trzeszczy. Obliczam z grubsza kąt jej podejścia do lądowania. Coś nieprawdopodobnego! Jasne, chciała zaskoczyć mnie znienacka. Ani trochę się nie zmieniła! Niosę ją na werandę i dopiero tu spuszczam na podłogę. Przed oczami jeszcze tańczą mi kolorowe plamy. Albo z przeciążenia, albo od uderzenia po głowie.

– Wyskoczyłeś jak diabełek z pudełka. Jestem gotowa założyć się o swój ogon, że nie mogłeś mnie widzieć. – Ciężko dyszy, widać, że schodziła do lądowania na biograwach.

– Gdy tylko rozłączyłaś się, usiadłem za drzwiami i włączyłem stoper. – Na dowód wyjmuję z kieszonki na pasie starożytny zegarek-cebulkę.

– No i jak?

– O trzy sekundy szybciej niż za poprzednim razem.

Zabiera mi zegarek i przykłada do ucha. Zegarek, oczywiście, stoi.

– Kłamczuszek! – Liże mnie w nos, przytula się na sekundę, z ciekawością ogląda werandę.

Patrzę tylko na nią. Ani trochę się nie zmieniła. Taka sama szybka i stanowcza, Ani sekundy bez ruchu. Na mordzie ochronne okulary-komputer. Czyli skądś z pogranicza. Ja swoich nie wkładałem chyba ze dwa lata, choć są w pełnej gotowości bojowej, wetknięte w specjalne gniazdo na bocznej ściance komputera, przez które stale otrzymują świeżą informację z całego wszechświata.

Węgielek węszy i nagle rzuca się pędem do kuchni.

– Mistrzu, przecież mięso się przypala! A ty gdzie patrzysz, leniuchu? – To do cybera.

Brytfanna wielkości ludzkiej wanny już jest wyjęta z piekarnika, Węgielek zaczepnie obraca nożem mięso. Aromat boski! Aha, teraz zagląda do zsypu. Tam jest tylko kurz i pajęczyny. Znajduje po zapachu zbiorniczek na śmiecie. Ha! Spalonych skrawków tam też nie ma. Węgielek jest zdumiona. Dwa zero dla mnie.

– To ostatni krzyk mody kulinarnej: zapach prażonej skóreczki – mówię mgliście.

– Mniam-mcu-mony.

– Co?

– Mydl oczy komu innemu. Słowo „moda” znasz tylko ze słownika. Nie, to jest znakomite! Takiego mięsa nie jadłam od stu lat. –Wrzuca do pyska kolejny kawałek i zaczepnie ogląda kuchnię w poszukiwaniu mikrofalówki. Nie znajdzie, mam tylko na podczerwień, a w niej trzeba piec mięso co najmniej godzinę. Także odcinam sobie kawałek. Coś wspaniałego! Na taki sukces kulinarny nawet nie liczyłem. Trzeba zapamiętać przepis: zawijasz w folię, wkładasz do kuchenki i – aż pójdzie dym… Zagryzam mięso zieleniną.

– Co to było? – Węgielek pęczkiem zieleniny wybiera polewkę.

– Kultura mięsa wielorybiego. Tu obok jest zakład, gdzie hoduje się mięso. A przepis mój.

– Zadziwiłeś mnie, Mistrzu. Zadziwiłeś i poraziłeś. Robisz się sybarytą. – Węgielek wchodzi do swojego pokoju i aż piszczy z zachwytu.

Daję znak cyberowi, a ten, chowając się za mną, skrada się do drzwi. Węgielek wącha hologram kwiatów na stole. Massaraksz, nie zdążyłem wymienić na prawdziwe.

– Oszustwo! – wołam, jakby to było zawczasu pomyślane i przepuszczam cybera z wazą prawdziwych kwiatów. Węgielek zabiera mu wazę, wtyka nos w kwiaty, zachwyconym spojrzeniem wodzi po pokoju. Czy mi się wydaje, czy w jej oczach naprawdę błyszczą łzy?

– Wszystko jak wtedy, nic się nie zmieniło. A myślałam, że zamieniłeś mój pokój w skład.

– Przecież powiedziałem ci wtedy: czekam na ciebie o każdej porze dnia i nocy.

Węgielek, niby w zamyśleniu, wodzi palcem po stoliku. Ale mnie nie nabierze – szuka kurzu. Niech sobie szuka. Sześć i pół minuty pomnożyć przez dwadzieścia pięć cyberów – można posprzątać halę sportową.

– Niemożliwe! Cyber, ilu sprzątaczy jest w domu? Kiedy ostatni raz sprzątały mój pokój?

– W domu są dwa cybery-sprzątacze. Pokój posprzątano na rozkaz gospodarza przed pani przybyciem.

– A przedtem?

– Cyberom zakazano otwierać drzwi i sprzątać dane pomieszczenie.

Jak ważne jest prawidłowe sformułowanie pytania! Gdyby Węgielek zapytała, ile cyberów tutaj sprzątało… Ale co się z nią dzieje?

Węgielek odwraca się do mnie. Jej dolna szczęka drży, z oczu lecą łzy.

– Czekałeś na mnie tyle lat! – I rzuca się w moje objęcia. Podnoszę ją i niosę na łóżko.

– Miałaś innych mężczyzn?

– Dwóch.

– Byłaś z nimi szczęśliwa?

– Po tobie żadna smoczyca nie może z nikim być szczęśliwa. Jesteś gorszy od narkotyku.

– Jak to?

– Oni kochają tylko słowami i ciałem. Nikt oprócz ciebie nie jest zdolny do translacji swojej miłości na otaczających.

– Gdybyż tylko miłości… To wszystko są uboczne rezultaty głębokiej regeneracji.

– Tak. Przejawiają się w najrozmaitszy sposób, przeważnie wzmocnieniem pamięci. Zresztą po co ci to mówię, sam to zaprojektowałeś, kiedy tworzyłeś nasze ciała.

– Nie, tego nie planowałem. To wyszło samo. Tylko regenerację, zwłaszcza aksonów.

Ociera się policzkiem o moją pierś. Od takiej czułości aż mi zapiera dech w piersiach.

– Właśnie o tym mówię. Po tobie miłość innego smoka to jak czarno-biała fotografia w porównaniu z żywą przyrodą. Prostacko i niesmacznie. Goły seks.

– To nieprawda. Kochali ciebie nie mniej ode mnie.

– Ale ja tego nie czułam. Czego to myśmy nie próbowali! Nawet hełmów sensowizorów. Ale to przypominało bardziej masochizm. Czuć siebie z obu stron – od tego głowa pęka. Nie da się zapisać, a w realnym czasie obcy alfa-rytm bije po uszach. Powiedz – podnosi się nagle na przednich łapach – czy rozbiłeś życie wielu smoczycom? Ja i Kora się nie liczymy, mamy do ciebie prawo.

– Jednej.

– Czekaj, nie mów, komu, sama dojdę. – Węgielek napręża się, marszczy nos. – Mama, prawda? W rok po tym, jak stała się smokiem. Powinnam była wcześniej się domyślić, dlaczego nie wyszła dotąd za mąż. Trzysta lat samotności! Czarku, ona powinna cię zabić!

– Ona nie jest sama.

– Babiniec! Kora wie?

– Oczywiście, że wie.

– A dlaczego ja nie wiedziałam?

– Anna się bała. Bardzo się pilnowała, żeby nie przebiec ci drogi.

Węgielek sięga przeze mnie na stolik po okulary-komputer. Z obu oczu ciekną jej łzy. Jak ona zamierza pracować z mokrymi oczami?

– Jak ty będziesz płakała w okularach?

– To najnowszy model. Wszystko w nim przewidziano. – Uśmiechając się przez łzy wkłada okulary. Szkła ciemnieją, ukrywając oczy. – Mam. Obejrzyj, to dotyczy ciebie.

Przytkam do oczu jej okulary. Pejzaż Sekondu. Obok leży na piasku Anna. Głos Węgielka:

– Co z tobą, mamo? Dlaczego pościelowych tricków uczysz na osobistym przykładzie?

– Szukam sobie partnera do życia.

– Ale czy to się robi w ten sposób? Po co ludzką prostytucję przenosić na smoki? Jeszcze trochę, a się domyślą.

– Nie domyślą się. Wszystkie pozy i chwyty są zapisywane na senso. Każdy trick po wielokrotnym obejrzeniu przez uczestników i skorygowaniu słabych miejsc jest wyczyszczony do połysku. Cały materiał jest zaopatrzony w komentarze, wstępy, posłowia. To ściśle naukowa praca, łącząca doświadczenia seksualne ludzi i smoków. Według niego nasze dzieci-krokodylki będą uczyły się setki lat. Wystawią mi pomnik. Niezbudowany rękami…

– Mamo, co się stało? Czuję, że jesteś w korkociągu.

– Zgwałciłam smoka. Teraz ponoszę konsekwencje.

– Nie przyjął ciebie?

– Przyjął. Przecież to smok. Zapomnij o tym. Kryzys minął. Czas leczy wszystkie rany.

– Nieprawda. Czas zasypuje miasta piaskiem, ale niczego nie leczy. On jest żonaty?

– Tak.

– Wróć do niego, wyjaśnij. Zrozumie. I ona też zrozumie.

– Dziękuję ci, córeczko.

Zrywam okulary. Węgielek siedzi na materacu, połyka łzy.

– Ona mówiła o tobie. Stchórzyła. A ja wszystko bym zrozumiała.

– Jesteś urodzoną smoczycą, a ona była człowiekiem. I akurat wtedy zaczęłaś znikać. Na tydzień, na miesiąc, na rok. I bez tego baliśmy się o ciebie.

– A potem znikłam na pięćdziesiąt lat. Czarku, byłam wtedy strasznie głupia. Myślałam, że lata coś zmienią. Dobrze robiłeś, że nie próbowałeś mnie szukać. Nie zrozumiałabym. Ależ musiało być ci źle! A wszystko przez moją dumę. Mało mi było twojej miłości, chciałam koniecznie być pierwsza. A pierwsza u ciebie zawsze była Kora. I nie byłeś w stanie tego ukryć, wszystkie twoje uczucia wylewały się na zewnątrz.

– Węgielku, czy ty wróciłaś na stale?

– Tak. Teraz – tak. Jakbym daleko od ciebie nie była, zawsze będę z tobą.

– A duma?

– Dawno cała poszła w poduszkę razem ze łzami.

Węgielek płacze, a ja triumfuję. Wiem, że ona to odbiera, ale nie mogę nic z tym zrobić.

– A niech cię! – Oburza się, ale już sama jest gotowa śmiać się. Otwieramy okno, przeciskamy się przez nie i wylatujemy w niebo.

Węgielek robi porządek w moim gabinecie. Nikomu innemu na to nie pozwalam, nawet Korze. Ale Węgielek od dzieciństwa lepiej ode mnie wie, co gdzie powinno leżeć.

– U mnie posprzątałeś pięknie, a u siebie… Nie zdążyłeś czy co? Kto papiery trzyma w szafie ze szmatkami? A jak wygląda stolik na czasopisma? Trzymałeś go na ulicy czy co?

W domu operuje ze dwadzieścia cyberów. Naprawiają zepsute regulatory oświetlenia i tarcze świetlne, krany wodociągowe, zsyp, dach. Węgielek wzięła się za dom na poważnie. To też jest cecha mieszkańca pogranicza. Każda, nawet drobna, usterka działa na nich jak czerwona płachta na byka. Ale jedną maleńką i niegroźną specjalnie pozostawiają, a nawet troskliwie pielęgnują. Nie wiem, po co, moim zdaniem po to, żeby było co kląć.

Wracam do gabinetu. Węgielek sprawdza moje okulary-komputer i jest bardzo zadowolona.

– Mistrzu, przywiozłam ci nowe. Mają sto razy większą pojemność pamięci. Zaraz przeleję do nich twoje archiwum, sam się upewnisz. – Podłącza i stare, i nowe do komputera na stole, przelewa informację. Mam bardzo stary komputer, więc ten proces potrwa co najmniej godzinę. Ale stop, nie to jest najważniejsze. Węgielek przywiozła mi nowe okulary.

Węgielek przywiozła mi nowe okulary, a to pachnie… daleką podróżą.

Już wie, że się domyśliłem. Udaje, że jest zajęta robotą, ale jak naprężyła skrzydła! A ogonek? Ogonek schował się pod brzuszkiem. Coś ty tam takiego nabroiła? Nie, to nie tak. Ona nie przyjechała sama, wysłali ją. Że znowu jesteśmy rodziną, to dar losu i moja zasługa. Nie wiadomo,jak by się to wszystko potoczyło, gdyby w domu były jeszcze Kora i Anna. Bała się tego, nie chciała jechać. I prawidłowo. Jesteśmy jednak razem. Ale co oni tam, na pograniczu, narobili? Zacznijmy myśleć logicznie. Dawno się tym nie zajmowałem. Więc od początku.

Węgielek przywiozła mi nowe okulary. Z wieloma nowymi możliwościami, które mi się przydadzą. W przeciwnym razie nie przelewałaby informacji ze starych do nowych, gdyż wie, jakim jestem konserwatystą. W domu zupełnie wystarczyły mi stare, więc nowe będą mi potrzebne gdzie indziej. Gdzie? Węgielek przybyła z pogranicza. Skąd dokładniej? Nie wiem. Brakuje punktu zaczepienia. Zacznijmy z drugiej strony. Po co im jestem potrzebny? Jasne, po co. Narobili czegoś, z czym nie mogą sobie poradzić, ale myślą, że ja będę mógł. W czym ja jestem mocny? Czyżby kontakt z pozaziemskim rozumem? Chcą, żebym przekazał im miłość i życzliwość? Nie, mogę to przecież robić tylko z ludźmi i smokami. Próbowałem ze zwierzętami, ale ich mózgi są zbudowane inaczej, nie odbierają moich emocji. Odpada. W czym jeszcze jestem mocny? Wszyscy mylnie uważają, że w matematyce i zero-fizyce. Bo wymyśliłem kiedyś sporo nowych znaczków i zakrętasów oraz wyprowadziłem kilka wzorów, którymi wszyscy się posługują, ale nikt nie może ich dowieść. Dowód wydawał mi się dziecinnie prosty, a bardzo się śpieszyłem. Palnąłem komuś, że dowód jest elementarny, ale nie mam czasu go wyprowadzać. No i tak to trafiło do podręczników: przypis u dołu strony, a w nim napisane, że dowód zna Wielki Smok, który te wzory wyprowadził. Raz w wolnym czasie próbowałem ich dowieść. Nie zdołałem. Pierwszy wzór powołuje się na drugi, drugi na trzeci, a trzeci – na pierwszy. Błędne koło. Sama z siebie trójwymiarowa podstawa. A na nich jest oparta cała pozostała zero-fizyka.

Ale na pograniczu mieszkają i pracują nie teoretycy, tylko praktyczni ludzie i smoki. Fizycy-praktycy. Zero-fizycy, chronofizycy. Co takiego mogli nabroić zero-fizycy, żeby był im potrzebny Wielki Smok? Wrzucili coś do czarnej dziury? A może na odwrót: przewrócili tą dziurę na lewą stronę? Grawifizyką też kiedyś trochę się zajmowałem. Ale gdzie dzisiaj skupiają się fizycy na pograniczu? Kwantor? Zgadza się, Kwantor! Drugiego takiego miejsca nie ma. Ale czym oni się tam zajmują? Chronofizyką! Ale w tej ja przecież ani be, ani me…

– Węgielku, ja na chronofizyce nie znam się kompletnie.

– … Okradli nas.

– A może jednak zjawisko naturalne?

– Jedna szansa na tysiąc. Ale nie o to chodzi. Energii nam nie szkoda. Straszne jest co innego: gwiazda straciła stabilność. Mistrzu, ty mnie zupełnie nie słuchasz. Ja mówię o strasznych rzeczach, a ty… O czym teraz myślisz?

– O tobie.

– Czarku, proszę cię… Ona przecież za rok wybuchnie.

Potrząsam głową i staram się skoncentrować.

– Jak wybuchnie?

– Jak sto tysięcy supernowych.

– To się nie zdarza.

– Oczywiście, że się nie zdarza. O to właśnie chodzi! Gwiazdy tej klasy nie wybuchają. Supernowymi stają się gwiazdy dziesięciokrotnie mniejsze. Gdy wypali się w nich wodór, ściskają się, rozgrzewają i ba-ach!... No, zrozumiałeś. Warstwy zewnętrzne roznosi po całej galaktyce, a to, co pozostaje, staje się gwiazdą neutronową. Nie mogą stać się czarnymi dziurami, nie wystarczy im masy. Ale Kwantor nie jest taką gwiazdą, tylko młodą i masywną. Gdyby była stara, po prostu zapadłaby się w czarną dziurę. A w tej jest pełno wodoru. Gdy ciśnienie się zwiększy, reakcja syntezy wodoru pójdzie kilkadziesiąt razy szybciej. Od tego ciśnienie jeszcze bardziej wzrośnie. No i od jądra ku powierzchni pójdzie fala uderzeniowa. Tam będzie coś ta-akiego! Wypali planety u wszystkich okolicznych gwiazd. Najpierw gamma i rentgen, potem beta, a w końcu protony. Ta przyjemność rozciągnie się na setki lat. A wiesz, jakie tam są planety! Na każdej można zakładać kolonię.

– Co będzie, to zrozumiałem. Teraz opowiedz, jak doszliście do takiego krachu.

– To nie my. Słowo smoka. Przecież ci mówiłam: ukradli nam energię.

– Dużo?

– Tego się nie da przekazać słowami.

– A jednak: ile gigadżuli?

– Takich wielkości nie mierzy się w dżulach. Tylko przez masę według wzoru E = mc².

– Więc ile kilogramów energii nam ukradli?

– Nie da się tego wyrazić w kilogramach.

– A w tonach?

– Też nie.

– No więc w końcu ile?

– Wystarczy, żeby zapalić gwiazdę.

Zaskakuje mnie zupełnie. Jak mówi stare przysłowie, nawet najpiękniejsza dziewczyna nie da więcej, niż ma. A może to trochę nie na temat? Jeśli ukradziono im tyle energii, to znaczy, że mieli tyle energii. A ja tu siedzę i o niczym nie wiem. Możemy sami zapalać gwiazdy! Nie, to niemożliwe! Zrobiłem się stary, głupi, nic nie rozumiem.

– Węgielku, powtórz dla idioty: ile energii nam ukradziono?

– Mistrzu, nie przesłyszałeś się. Wystarczy, żeby zapalić gwiazdę.

– Dużą? – Idiotyczne pytanie, ale Węgielek podnosi oczy do sufitu i porusza wargami.

– Jeśli przyjąć normalny stosunek masy do średnicy, to niecałe półtora miliona kilometrów.

–A ile ma Słońce?

– Milion trzysta dziewięćdziesiąt tysięcy.

– Większą niż Słońce? – Upewniam się. Węgielek zakłada okulary-komputer.

– Tak, o dwa-trzy procent większą. Dane nie są zbyt ścisłe, ale coś koło tego.

– No żyją przecież ludzie! A ja tu sobie leniuchuję…

– Mistrzu!!! – ryczy na cały głos Węgielek. Biorę się w garść.

– Opowiedz, jak to się stało.

– Przeprowadzaliśmy jak zwykle doświadczenia ze zmianą upływu czasu w skali lokalnej. One wymagają bardzo dużo energii. Dlatego wokół gwiazdy stworzyliśmy sieć stacji energetycznych, które przez zero-t wyrywają z jądra gwiazdy kawałeczki masy i przekształcają je w napięcia czasoprzestrzennego continuum. A potem tą energię może wykorzystać każdy. I tak nie da się jej długo przechowywać w postaci napięcia, rozchodzi się po otaczającej przestrzeni. To tak, jakby podgrzewać jakiś punkt w środku ogromnej metalowej bryły. Ciepło rozchodzi się na wszystkie strony i bryła robi się odrobinę cieplejsza. Ale dopóki się nie rozejdzie, można je wykorzystać. Tak więc zbudowaliśmy sieć stacji, przeprowadzamy regularne doświadczenia – i nagle zauważamy, że energia gdzieś ucieka. Niewiele, prawie na pograniczu błędu pomiarowego, ale ucieka. Jeśli wykorzystujemy dziesięć-piętnaście kilo, to stacja wyrzuca w przestrzeń dwadzieścia-trzydzieści ton, a znika do pięciu kilogramów. A czasem nic nie znika. Powstała cała grupa fizyków zajmujących się wyłącznie Ucieczką, choć to zajęcie było naprawdę niewdzięczne. Połowa lokalnych dowcipów dotyczy właśnie ich. Nawet kierunek Ucieczki udało im się określić z dokładnością tylko do półsfery. Ale cztery miesiące temu mieli swój wielki dzień. Uciekło od razu osiem ton energii i zdołali ustalić wektor.

– Uch-mu. No, słucham?

– W czwarty wymiar. Do sąsiedniego continuum. Rozumiesz, ktoś na chama podłączył się do naszych zasobów energii.

– I postanowiliście zakręcić kurek.

– Coś ty, to przecież nasi bracia-koledzy-fizycy. Postanowiliśmy modulować pole sygnałem informacyjnym. Nawiązać łączność, wstąpić w kontakt, wymienić się informacjami.

– Skąd wiedzieliście, że to fizycy?

– Wpierw doświadczenia na małą skalę, potem na większą. Miesiąc czekaliśmy na tą chwilę i doczekaliśmy się… Wyciągnęli od nas wielokrotnie więcej energii, niż mogliśmy im dać.

– Ile razy więcej?

– Kto wie? Dwieście, trzysta, tysiąc? Nikt nigdy nie używał stacji w takich warunkach. Na pewno pięć razy więcej niż stacje mogłyby dać przy największym możliwym obciążeniu.

– Jak mam to rozumieć?

– Nasze doświadczenia trwają zwykle dwie sekundy. Pole utrzymuje się trzy. Pół sekundy na początkowe nagromadzenie energii w polu i pół na wszelki wypadek. Ściślej mówiąc, przez dwie i pół sekundy stacje mają utrzymywać zadane natężenie pola, dopóki ktoś pobiera energię plus owe pół na wszelki wypadek. Tak więc tym razem wszystkie stacje razem wzięte nie zdołały utrzymać potrzebnego natężenia. Pole siadło prawie do zera. No i stacje z potwornym przeciążeniem pracowały aż piętnaście sekund. Potem złodziej się wyłączył, stacje podniosły natężenie do zadanego i też się wyłączyły. Ale było już za późno.

– Za późno na co?

– Na ratowanie stacji. Wszystkie spłonęły.

– Wytrzymały do końca, a potem zgodnie spłonęły?

– Aha. Mogłyby pracować jeszcze z dziesięć-piętnaście sekund, ale to już nic by nie zmieniło. Nie bez powodu nasze doświadczenia trwają trzy sekundy. Trzy sekundy stacja wytrzyma każde natężenie. Cztery też wytrzyma. Ale po pięciu nic jej nie uratuje. Tak już są zrobione.

– I wszystkie spłonęły?

– Tak. Pozostało około dwudziestu. Te, które były niesprawne i w naprawie.

– A ile ich było wszystkich razem?

– Milion dwieście tysięcy.

Wydawałoby się, że już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć, a jednak… Ze zdumienia zaczynam nerwowo chichotać. Węgielek cierpliwie czeka, dopóki się nie uspokoję.

– Po co wam aż tyle?

– Przygotowywaliśmy wielki eksperyment. Od ćwierćwiecza, a nawet dłużej. – Węgielek wygląda, jakby miała znowu się rozpłakać, nawet dolna szczęka jej drży.Staję jej boleśnie na koniuszek ogona. Drga, słabo się uśmiecha i robi ruch głową, jakby chciała mnie bodnąć.

– Da się to naprawić?

Węgielek wzrusza ramionami.

– Co stanie się z biegunem komory zero-t, jeśli ogrzejesz go do trzech tysięcy stopni? A z elektroniką? Teraz to kawałki żużlu. Ale poza generatorami reszta jest cała.

– A wyłączniki awaryjne?

– Specjalnie ich nie montowaliśmy. Zrozum, to nie jest aparatura przemysłowa, tylko naukowa. Bez względu na to, co stanie się podczas eksperymentu naukowego, energia musi płynąć. Niech wszystko wokół płonie, a energia ma być. W przeciwnym razie unikalny eksperyment mógłby się nie udać.

– No i tak właśnie się to skończyło: wszystko spłonęło.

– Łajdaki zapomnieli przeczytać instrukcję eksploatacji – uśmiecha się Węgielek.

– A jak jest zbudowany generator?

Bierze arkusz papieru, rysuje okrąg, a dookoła niego prostokąciki.

– Najważniejszą częścią jest komora sferyczna.Ma bardzo mocne ścianki o grubości około metra, zrobione z czegoś trudno topliwego. Z prawej i z lewej strony – bieguny zero-t. Z góry i z dołu – urządzenia przetwarzające materię w pole. Za pomocą zero-t wyrywamy ze środka gwiazdy – wiesz, jakie tam jest ciśnienie – kawałek materii w stanie plazmy i umieszczamy w środku komory. Plazma oczywiście rozlatuje się po ścianach, ale zanim do nich dotrze, zostaje przekształcona w energię pola. Proces zachodzi czysto i bez strat, ale część promieniowania elektromagnetycznego jednak dochodzi do ścian, które się nagrzewają.

– Aż wszystko dookoła płonie.

– Tak. Ale nasze doświadczenia trwają trzy sekundy, a zanim przegrzeje się metr metalu, mija trzydzieści. Cały ten czas generator może pracować z pełnym obciążeniem.

– Mogliście zamontować system chłodzący.

– Zwariowałeś czy co? Generator nie jest obliczony na tysiąckrotne przeciążenia. Nikt nigdy nie tworzy techniki z tak wielkim zapasem wytrzymałości. To tak, jakbyś próbował zważyć pięć ton na wadze analitycznej. Nikt tego nie robi i żadna waga tego nie wytrzyma.

Węgielek nerwowo biega po pokoju. Łapię ją i przyciskam do siebie. Ciągle nie może się uspokoić, więc zaczynam pociągać ją zębami za ucho. Ma rację. Trzy stopnie to nie to samo, co trzy tysiące. Przy trzech stopniach chłodzenie nie jest potrzebne, a u nich nawet przy kilkuset. Ale za to jakie ogromne rezerwy mają w konstrukcji! Gdyby zamiast jednej komory było kilka: jedna działa, pozostałe się chłodzą… Albo gdyby tam dla ochłodzenia wtryskiwać przez zero-t ciekłe powietrze. Nawet nic nie trzeba zmieniać.

– Ile tak można!

– Nie wierzę!

– W co?

– Że się za mną stęskniłaś.

– Ach, ty prowokatorze! Trzymaj się! – Przewraca mnie na grzbiet i siada na nim, a ja się trzymam. Potem wyczerpana pada koło mnie na bok ze słowami: – Czarku, wstyd mi…

Milczę. Zaraz zacznie się szantaż. Jestem skazany, ale trochę się jej poopieram. Żeby zwycięstwo sprawiło jej radość.

– Jesteśmy drużyną ratowników. A co robimy? Tracimy czas.

– Godzinkę na pięćdziesiąt lat. I pierwsze słyszę o drużynie ratowników.

– Czarku, ty już dawno wszystko zrozumiałeś.

– Ale nie udzieliłem oficjalnej zgody.

– Jeśli wrócę bez ciebie, przestaną mnie szanować. Po co ci żona, której nikt nie szanuje?

– Możesz w ogóle nie wracać. Jak inaczej będę cię nosił na łapach po godzinie dziennie?

– Dałam słowo smoka i mam obowiązek wrócić z twoją głową. Noszenie może poczekać.

Liżę ją w nos i kładę głowę na jej piersi.

– No dobrze, skorzystaj z mojego słabego charakteru, ty szantażystko. Kontynuuj instruktaż wprowadzający, dopóki ja nabieram sił. Co wyście zrobili z gwiazdą?

– Gdy wyrwaliśmy z jądra tak ogromną masę, grawitacja w niej osłabła, a ciśnienie wzrostowej aktywności jądra praktycznie się nie zmieniło, nawet odrobinę wzrosło. Gwiazda zaczęła się szybko rozszerzać. To jest złożona mechanika, proces nieliniowy, ale w pierwszym okresie gwiazda rozszerza się, a ciśnienie w jej wnętrzu prawie nie spada. Każda gwiazda ciągu głównego się rozszerza, ale u nich to trwa miliardy lat, a tu parę miesięcy. A później gwiazda zacznie się kurczyć, rozgrzeje się i wybuchnie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, w czym mogę pomóc. Moje rady są proste i oczywiste.

– Powiem ci, w czym. Po pierwsze, masz ogromny autorytet. A po drugie… Czarku, gwiazda to tylko połowa problemu. Zniknęły trzy smoki. Kiedy siadło pole, na Kwantor wyleciał kuter z trzema smokami i nie wynurzył się w naszej przestrzeni, gdyż wraz z polem siadło też zasilanie zero-t. Gdzie one są teraz, nikt nie wie.

– Ja też nie wiem.

– Czarku, ty wszystko możesz, jeśli się za to weźmiesz. To nie są takie zwykłe smoki. Dwoje z nich było ludźmi, a trzecia, dziewczynka, wychowywała się wśród ludzi, na Strefie.

– Na Strefie… Nie zrozumiałem… Uciekli ze Strefy czy jak?

– Wychodzi na to, że tak. Jak ci opowiem, nie uwierzysz. O nich można byłoby napisać powieść. Co los, to dramat.

Piszę szczegółową wiadomość dla Kory i Anny, ostatni raz obrzucam spojrzeniem gabinet. Chyba wszystko. Aha, powiedzieć cyberom, żeby zamknęły lufciki i zasłoniły klimatyzatory.

Otwierają się drzwi i na progu pojawiają się Anna i Kora. Wesołe, ożywione, mokre od deszczu. Węgielek wstaje.

– Witajcie – mówię. – Ależ jesteście w porę! Właśnie mieliśmy zniknąć na cały rok. Aha, Anno. Węgielek nas oboje zaszufladkowała. Ty jesteś tchórz, a ja – kobieciarz.

Ogonki Anny i Węgielka natychmiast znikają pod brzuszkami. Ależ one są podobne do siebie! Obie czarne i gibkie, tylko Anna błyszczy od deszczu. I obie śmiertelnie wystraszone. Węgielek robi krok ku matce, ta cofa się, aż opiera się zadem o ścianę.

– Berta, wybacz mi...

– Mamo! – Węgielek rzuca się jej na szyję, zaczynają się pieszczoty i łzy.

Bardzo szybko kobiety dochodzą do wniosku, że trzeba mnie pobić, ale niezbyt mocno, gdyż mógłbym odlecieć. Nic tak nie dodaje przytulności domowi, jak mąż, przytulnie zwinięty w kłębek przy kominku.

– Jak tam wasza misja? – pytam Korę.

– Znakomicie. O ile pamiętasz, mieliśmy zakończyć konflikt etniczny między pierwszą a drugą falą osadników na Korbucie. I jedni, i drudzy mieli go już serdecznie dość. Potrzebny im był tylko pretekst, żeby się zjednoczyć, nie tracąc przy tym twarzy. Anna dała im taki pretekst. Obiecała rozsiedlić wszystkich po innych planetach, a tą swoją władzą zniszczyć. No i wszyscy zjednoczyli się, żeby bronić planety przed smokami.

– Ale przecież to jeszcze gorzej.

– Bynajmniej, jak sam lubisz mawiać. Oni przecież swoją planetę „obronili”. A zwycięzca może być dla zwyciężonego litościwy. Oprócz tego za cztery miesiące „przypadkowo” ujrzą światło dzienne dokumenty, w których będzie mowa o tym, że smoki chciały wprowadzić w życie plan, opracowany przez ich własne wojownicze rządy. Wojownicze rządy zostaną odsunięte od władzy, po czym w rezultacie wyborów powstanie jednolity demokratyczny rząd/ Mogę pokazać spis teczek i przyszłych nosicieli. Naród nie będzie miał głowy do smoków.

– Poznaję „rękę” Anny. A nie zawiedzie?

– Obrażasz mnie. Scenariusz Anny, ale część obliczeniowa moja! Wszyscy artyści nauczyli się ról na pamięć. Niektórzy zechcą zagrać po swojemu, ale to też zostało włączone do scenariusza. Po prostu oni jeszcze o tym nie wiedzą.

Tak, Anna to potrafi. Wspominam, jak około czterystu lat temu manipulowała Synodem.

– Afa… Jeśli przysłali po ciebie Węgielka… czy to bardzo niebezpieczne?

Afa to też ja. W ciągu pierwszych kilkudziesięciu lat życia zebrałem sporo imion. Ich lista w kolejności chronologicznej przedstawia się następująco: Dżafar, Afa, Kirył (Kirik), Czarek, Mistrz. Skrócić jej się nie udało. My, smoki, jesteśmy w drobiazgach strasznie konserwatywne. Muszę odpowiadać na wszystkie.

– Węgielek do nas wróciła na zawsze. A niebezpieczeństwo nam nie grozi. Zagrożone są trzy smoki i jedna mała gwiazda.

– Rozumiem. Anno! Nie rozpakowuj bagażu. Jedziemy z wami.

– Wyobraź sobie: malutka smoczka rodzi się w powietrzu i spada z wysoka na ziemię. Tu rzucają się na nią sępy i rozdzierają na pół. Nie zdążają zjeść, gdyż wpada na nie człowiek. Zabiera im smoczkę i pielęgnuje. O dziwo, to mu się udaje. Puść na przegląd plik „Lobasti”.

Znajduję plik i puszczam. Kora, Anna i Węgielek podłączają się do moich okularów i też patrzą. O Boże! Naprawdę rozerwano ją na pół! Na ekranie dziennik medyczny człowieka. Notatki, wykresy i zdjęcia, zdjęcia, zdjęcia. Starożytne, czarno-białe. Obok trójwymiarowa rekonstrukcja komputerowa. Kreskówka o tym, jak maleńka istotka walczyła o życie.

– Zdumiewające, nieprawdaż? – pyta Węgielek.

– Brak słów. Temu człowiekowi trzeba postawić pomnik.

– Nie śpiesz się. Postawiono mu już chyba z dziesięć pomników i nazwano jego imieniem główny plac miasta. Plac Mroka. Jeśli od tego placu pójdziesz najszerszą ulicą, trafisz do parku, zwanego Mokrym Skwerem. Mokrym dlatego, że tam co noc kogoś moczono – czyli zabijano. Potem skwerek powiększono do parku, ale nazwa została. W Mokrym Skwerze stoi największy pomnik Mroka. I to jest jego właściwe miejsce, gdyż tak zażartego zabójcy Strefa nie widziała ani wcześniej, ani później. Prawie trzydzieści lat trzymał w strachu całą planetę. Wyobraź sobie: na planecie-więzieniu jeden człowiek postanowił zakazać zorganizowanej przestępczości! I zakazał. Likwidował wszystkie bandy liczące powyżej trzech członków.

– Istny Robin Hood.

– Nie śpiesz się, Mistrzu. Razem z bandziorami likwidował też wszystkich świadków i wszystkich, którzy mogli być świadkami. Na ten temat miał własną filozofię: na Strefie nie ma uczciwych ludzi, a zabójców nie szkoda.

– Nie wierzę. Cała planeta bała się go i przez trzydzieści lat nikt nie wsadził mu kulki w plecy? To do ludzi niepodobne.

– Raz dwudziestu trzech ludzi postanowiło go wykończyć. Zdołał ujść z życiem tylko jeden, a i on w kilka dni później spłonął we własnym domu, przybity do ściany takimi, o, gwoździami. Ale wybiegam w przyszłość. Przez dwadzieścia osiem lat Mrok likwidował wciąż nowe i nowe rodzące się bandy, dopóki nie zrozumiał, że to walka z cieniem. A może zmęczyło go takie życie albo postanowił popracować nad teorią? W każdym razie ukrył się na dwa lata, po czym przeszedł odmłodzenie, zmienił imię i praktycznie znikł. Przez dziesięć lat płukał złoto i nie zabijał prawie nikogo. Aż do momentu, kiedy znalazł umierającą smoczkę. A gdy ją znalazł, postanowił twardo, że ucieknie ze Strefy. W ciągu tych dziesięciu lat bardzo się zmienił. Dojrzał, zahartował się. Wiesz, Mistrzu, ty i on jesteście do siebie w czymś podobni. Jednakowo uparcie dążycie do celu. Dla was obu nie ma nic niemożliwego. Na czym to ja stanęłam? Kiedy znalazł Lobasti – on nazywał ją Głowaczkiem – wrócił do dawnego trybu życia? Leczył Głowaczka, a w wolnych chwilach ciągle kogoś zabijał. Podporządkował sobie mafię. Okazało się, że to za mało. Postanowił podporządkować sobie rząd i finansjerę. Ci nie chcieli, więc ich wybił. Burmistrza zarżnął w pościeli, jednemu z bankierów uciął głowę, o drugim już ci opowiadałam. W rok ukatrupił z pół setki ludzi, ale jego drużyna wierzyła w niego jak w boga. A Głowaczek tymczasem rosła. Trzymał ją w lesie, w tajnym bunkrze, o którym poza nim wiedziały tylko dwie kobiety. Pielęgnował ją, wychowywał, uczył pływać i latać, czytać, pisać, pracować na komputerze. I opowiadał jej absolutnie wszystko. Kogo, kiedy i za co zabił. Mała nie miała jeszcze nawet półtora roku, kiedy zabiła swojego pierwszego człowieka. Oczywiście broniąc tatusia.

– Nie opowiadaj mi głupstw. A gdzie były smoki?

– Przechytrzył je. Wiedział, co one robią, a one nie wiedziały, co on robi.

– Jak to było możliwe?!

– Mając pod kontrolą potencjał przemysłowy całej kolonii, można naprawdę wiele osiągnąć. Specjaliści Mroka zdołali podłączyć się do sieci komputerowej smoków, co teoretycznie wydawało się niemożliwe. Mrok zamierzał uciec ze Strefy przez starą, porzuconą bazę smoków. Zatrzymano go dosłownie w ostatniej chwili. A potem, jedno po drugim, sypnęły się na niego nieszczęścia. Zginęła jego kobieta, Głowaczka odkryli i oddali rodzicom. Poszedł do swojej samotni, zaszył się w niej na dwadzieścia lat. Wszyscy myśleli, że coś w nim pękło. Ale tak naprawdę po raz kolejny oszukał i smoki, i ludzi, i komputery. Nawet nie ukrywał swoich planów, otwarcie mówił, że przechodzi do planu Maggie. Tyle, że istotę tego planu zrozumieliśmy dopiero wtedy, kiedy zadziałał.

– Za co stawiają pomniki takiemu skończonemu łajdakowi?

– On na nie zasłużył.

– Jak to?

– Zlikwidował na Strefie przestępczość zorganizowaną, ustanowił twarde, ale sprawiedliwe prawa i demokratyczny rząd. Stworzył nowe miejsca pracy i dał ludziom cel w życiu. Zjednoczył ludzi i smoki w dziele terraformacji planety. Nikomu przed nim to się nie udało. Mało?

– A po co mu to było?

– Będziecie się śmiać. Żeby cichcem, na oczach smoków, niepostrzeżenie zająć starą, porzuconą bazę.

– Jednak… A jak on później uciekł?

– Głowaczek. Nie doceniliśmy małej. Przecież miała dopiero półtora roku. I bardzo kochała ojczulka. Zachwycaliśmy się poziomem jej rozwoju, a nie uwzględniliśmy, że ona pamięta wszystko. A charakter ma waleczny, po Mroku. Początkowo rodzicom było z nią bardzo trudno. Potem niby wszystko się uspokoiło. W rzeczywistości zaczęła po prostu podwójne życie. Nikt by się tego nie spodziewał po dwuletniej dziewczynce, nawet, jeśli w testach przewyższa sześciolatków. W dodatku jej pamięć! Żaden psycholog nie pracował z dziećmi z absolutną pamięcią, do tego nabitą przeróżnymi wykrętami i sposobami oszustwa. Krótko mówiąc, przegapili. A ona pracowała, i to bardzo intensywnie, po dwanaście godzin dziennie, dopóki nie przygotowała wszystkiego. Potem siedem lat czekała, aż dojrzeje fizycznie, zawróciła w głowie jakiemuś młodzikowi, zaszła z nim w ciążę i fora ze dwora! Dziecko umieściła w inkubatorium. Nie marszcz się, inkubatoria do tego właśnie służą. I umieszczają w nich dzieci przeważnie takie właśnie młode matki. Niestety, urodziła dziewczynkę, a potrzebny był chłopiec. Wtedy postąpiła zgodnie z „najlepszymi” tradycjami ojczulka: zmusiła przyjaciółkę, by ta przekazała do inkubatorium swojego pierworodnego. I znowu czekała dziesięć lat. A dalej zaczyna się historia detektywistyczna. Z oszustwami, z dosypanym do herbaty środkiem nasennym, z otwartą hermosferą inkubatora. Tu by ją zatrzymali, ale chytruska przed nikim się nie ukrywała. Siedzi na podłodze w objęciach córki, którą nazywa mamą, i obie wylewają strumienie łez. Pracownicy inkubatorium sami się popłakali, przebaczyli jej i nawet nie zainteresowali się, kim była jej matka, czyją pamięć Lobasti przepisała córce. A szkoda, gdyż w miesiąc później wszystko się powtórzyło. Znów środek nasenny, otwarta hermosfera, i łzawy list, w którym Lobasti przyznaje się do wszystkiego, kaja się, daje słowo smoka, że to już się więcej nie powtórzy, a nawet podaje swój adres, jeśli będą chcieli ją ukarać. Pracownicy inkubatorium uspokajają się i beztrosko żyją cały miesiąc. I nagle pojawia się smoczyca i mówi, że chce widzieć, jak w jej syna wpisują pamięć. Komunikują jej, że to już się odbyło. Kiedy? Wtedy a wtedy. Czyją? Nikt nie wie. Czy to naruszenie prawa? Tak. Kto to zrobił? Lobasti. Ach, Lobasti… Smoczyca o nic więcej nie pyta, przeprasza i wychodzi, ale pracownicy inkubatorium zaczynają śledztwo. Rodzice Lobasti są zdrowi, opowiadają, że córka ni z tego, ni z owego trzy miesiące temu nagle pokłóciła się z nimi, odrzuciła wszystkie próby pojednania i znikła. W rozmowie wyjaśniają się ciekawe szczegóły, nitka ciągnie na Strefę. Tam, usłyszawszy imię Głowaczek-Lobasti, rozumieją ich wpół słowa. Smoki-obserwatorzy komunikują, że niejakiego Mroka znaleziono martwego na brzegu rzeki tydzień po wydarzeniach w inkubatorium. W ręce trupa zaciśnięta wędka, linka ciągnęła się na sam brzeg, gdzie między kamieniami leżał spory pstrąg. Trup miał zmiażdżoną kość skroniową, leżał na brzegu kilka dni. Piloci sterowca, którzy znaleźli ciało, doszli do wniosku, że Mrok łowił ryby, pośliznął się na kamieniu i nieszczęśliwie upadł. Po sekcji ciało skremowano i w mieście jeszcze nie skończyła się żałoba po nim. Dodam, że Lobasti, jej córki i trzeciego smoka nie udało się znaleźć. Na wezwanie okularów-komputera Lobasti odezwała się jej przyjaciółka i powiedziała, że widocznie pomyliły okulary. Nie podała imienia, a okulary na następne wezwania nie odpowiedziały. Udało się prześledzić drogę smoków do wylotu z Regii na Kwantor, ale przez ten przeklęty eksperyment nie dotarły tam. Jak wam się podoba ta historia?

– Nic nie opowiedziałaś o tej kobiecie, którą Lobasti nazywała mamą.

– Nazywa się Catherine. To najzwyklejsza czarodziejka, jak mi opowiadano…

– Aaa… Ooo… Mmm-m… Biała czy czarna?

– Mistrzu! Jesteś pierwszym, który od razu uwierzył! Kule jej nie biorą! Jak cię dotknie, to wszystkie twe myśli przeczyta. Podobno i przyszłość może przewidzieć, ale tego nie dowiedziono. Trudno coś sprawdzić, jeśli jest mało informacji, a prognoza wpływa na wynik. Z drugiej strony Mrok wziął ją do swojej drużyny, a on nie robił nic tak po prostu. Ostrzegła go, gdy dwudziestu ludzi chciało go zabić. I wtedy zginęła. Ledwie zdołano zapisać jej pamięć.

– Mówiłaś przecież, że kule jej nie biorą.

– Granat to nie kula. A wcześniej Mrok raz na oczach smoków wystrzelił w nią cały magazynek – i nie trafił. A on nigdy nie chybiał.

– Aaa… Ooo… – (Chyba się powtarzam) – Cały magazynek? W swoją?

– Miał powód.

– To trzeba będzie przemyśleć. A teraz opowiedz dokładnie o przewidywaniu przyszłości. Zawsze mi brakowało takiego talentu.

– Ba, tu nic konkretnego nie wiadomo. Catherine sama o tym powiedziała Tonarze, biologicznej matce Lobasti. Rozmowa nie została zarejestrowana, gdyż Catherine poprosiła Tonarę o zdjęcie okularów, a Tonara za nic nie chce opowiadać. Raz się wygadała, co wszystkich drogo kosztowało, o czym zresztą Catherine ją uprzedzała. Ale z drugiej strony, żeby dać podobną radę, nie trzeba zaraz mieć daru jasnowidzenia.

– Więc w czym problem?

– Catherine udzieliła jej także drugiej rady. Żeby nie szukała Lobasti. Powiedziała, że te poszukiwania wszystkim przyniosą same nieszczęścia. I tak się stało. Smoki, w najlepszej wierze, zaczęły na nowo poszukiwania. Nie pozwoliły Mrokowi uciec ze Strefy. Catherine, broniąc jego i Lobasti, położyła się na granacie. Smoki zabrały Mrokowi Lobasti, zwróciły ją rodzicom i wykoślawiły małej dzieciństwo. No i mamy to, co mamy.Gwiazdę, która niedługo wybuchnie i zaginione smoki. Wszystkie smoki, o których wspominałam, oprócz zaginionej trójki, stoją na uszach i siusiają wrzątkiem z bezsilnej złości.

– Ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

– Oczywiście, że nie. O jakim dowodzie może być mowa, jeśli znamy tylko dwie-trzy przepowiednie Catherine, a ich rozgłoszenie zmienia bieg zdarzeń na przeciwny? Same aluzje i przypuszczenia. Ale zróbmy eksperyment myślowy. Rozpatrzmy tylko los Lobasti. Mrok uczył ją na Strefie według indywidualnego, bardzo intensywnego programu. Ani razu jej nie powiedział: „Jesteś jeszcze za mała, dowiesz się, gdy podrośniesz”. Nie wiem, jak, ale nauczył ją pracować z pełnym oddaniem. Jeszcze trzy-cztery lata i jej osobowość ukształtowałaby się ostatecznie. Żadne kataklizmy, żadne dramaty rodzinne nie złamałyby jej charakteru. O jej potencjale intelektualnym już nie mówię. Mrok zrobiłby z niej wielostronnego geniusza. Ale mu nie dali. Pochwalili, wyrazili wdzięczność i uprzejmie powiedzieli: dziękujemy, dalej my sami. Ale sami nie dali rady. Rodzice jej nie docenili, tą samą pomyłkę powtórzyli nauczyciele. A Lobasti nie zamierzała nikogo skłaniać do zmiany zdania. Miała swój cel w życiu. Była na tyle mądra, żeby zrozumieć sytuację, ale nie na tyle dorosła, by ją zmienić. Dodaj do tego wychowanie u Mroka, a sam zrozumiesz. Pod pretekstem zabawy Lobasti poddała rodziców testom psychologicznym i bardzo szybko upewniła się, że ci nie będą, naruszając prawo, pomagać jej kochanemu ojczulkowi. A jeśli nie będą, to nie trzeba ich wtajemniczać w swoje sprawy. No i zajęła się samokształceniem. W wieku dwóch lat! Uważa się, że w tym wieku masa mózgu smoka nie jest jeszcze dostateczna dla głębokiego myślenia. Obowiązkowy zakres nauki opanowała na tyle, na ile było to niezbędne, żeby nie czepiali się jej ani rodzice, ani nauczyciele. Przy jej pamięci i zdolnościach nie zajmowało jej to wiele czasu. Myślę, że przyswoiła sobie cały ten zakres już w pierwszym roku życia z rodzicami, a potem tylko wybierała potrzebne informacje ze swojej fenomenalnej pamięci. Wiele świadczy o tym, że na zajęciach umyślnie zaniżała poziom swojej wiedzy. Za to we włamaniach do sieci komputerowej nie ma sobie równych. Sądzę, że równie dobrze radzi sobie ze zwykłymi zamkami. Znakomicie włada każdą bronią i wszystkim, co można wykorzystać jako broń. Jest mistrzem sztuk walki, ale w zawodach nie uczestniczyła. Nie chciała przyciągać uwagi. Cyberów-sparingpartnerów rozkłada w cztery-pięć sekund, przy czym wykorzystuje najbrutalniejsze chwyty: wydrapuje oczy, rozdziera błonki skrzydeł, wkłada pazury do uszu, wykorzystuje wszystko, co ma akurat pod łapą. Po walce z nią cybery zazwyczaj idą do naprawy. Kategorycznie odmówiła sparingów z żywym partnerem. Trenerzy nie dopuszczali jej do zawodów, a ona się z tego cieszyła. Mówiła, że zajmuje się nie sportem, tylko walką o byt. Omal nie zapomniałam: potrafi prowadzić każdy środek transportu, jaki tylko istnieje. Na Smaltusie zaprojektowała i wybudowała sobie kompleks treningowy – wielki gmach pełen najbardziej współczesnych kopii wszystkiego, co się porusza. Nikt nie wie, po co jej to było potrzebne, ale ten kompleks cieszy się olbrzymią popularnością. Miejscowa osobliwość. Lobasti pięć lat temu podarowała go transportowcom, ale od czasu do czasu odwiedzała i uzupełniała.

– I nikt się nie zainteresował, po co ona to robi?

– Mistrzu, to nowa planeta. Nawet na staruszce Ziemi, jeśli smok coś robi, to znaczy, że tak trzeba. Kto będzie tak po prostu tworzyć coś nikomu niepotrzebnego? Lobasti miała innych zajęć powyżej uszu – i wykonywała je. Pracowała za dwóch, za trzech. I jeszcze jeden ciekawy szczegół do jej portretu: nie ma prawdziwych przyjaciół. Odstręcza ich. Nie wpuszcza nikogo w swoją duszę, okresami bywa nawet surowa. Tak, przyjaciele po pracy. Ale autorytet ma olbrzymi. No i mamy to, co mamy: wypaczone dzieciństwo, stalowy charakter i bardzo specyficzne wykształcenie. Pamiętasz, jak ty i mama szkoliliście dzieci na komandosów? Ona jest skończonym komandosem do ostatniej łuski na ogonie. Chcesz, to się śmiej, ale sądzę, że gdybyśmy jej nie złamali dzieciństwa, nie dopuściłaby do katastrofy na Kwantorze.

Zupełnie nie chce mi się śmiać. Oto jak można wypaczyć życie bliźniemu swemu działając w najlepszej wierze! Przez trzysta lat myślałem, że coś takiego możliwe jest tylko u ludzi – i proszę! A może degradujemy? Trzeba będzie zająć się tym pytaniem. Gdy znajdę czas.

– Czarku, jeśli nie weźmiesz się w łapy, my w trójkę zawyjemy do księżyca.

Patrzę po swoich kobietach i biorę się w łapy. Podnoszę się na biograwach dwa metry nad podłogą i raportuję:

– Wziąłem. Gdzie położyć?

– Mistrzu, czy my rozmawiamy o poważnych sprawach, czy pokazujemy cyrk?

Kobiet nigdy nie zadowolisz. Mówię im to, dodając, że pójdę do klasztoru.

– Do jakiego klasztoru? – pyta zdumiona Anna.

– Do żeńskiego!

Wszyscy się śmiejemy. Potem pytam, kim była Catherine przed Strefą i podsumowuję:

– Więc kogo mamy ratować? Zatwardziałego zabójcę, gotową na wszystko fanatyczkę i skruszoną trucicielkę. A czy oni zasługują na uratowanie?

– Oni są smokami, Mistrzu. Nie wolno widzieć w nich tylko złych cech.

– No, Lobasti jest niewinna. Ale pozostała para to zabójcy.

– Mistrzu, Catherine już dawno odsiedziała swoje! Ile można męczyć człowieka?! Ona była młoda i piękna, a jej mąż – stary, wredny, zazdrosny. Chciała otruć tylko jego, ale akurat napatoczyli się koledzy z pracy. Oblewali jakieś radosne wydarzenie. Sam pomyśl: półlitrową butelkę koniaku rozlać na dwudziestu ludzi! Aż śmieszne! Kto mógł coś takiego przewidzieć? Gdy Catherine to zobaczyła, sama chciała się otruć, ale za mało jej zostawili. Ją zdołali uratować, pozostałych nie.

– Ale…

– A ilu ludzi ty zabiłeś, Afa? – pyta Kora.

Gorąca fala trafia mnie w twarz. Tak nie można, to cios poniżej pasa! A może właśnie tak trzeba? Ale to było dawno! Oni umarliby ze starości kilka wieków temu. Ale czy to ważne? Ważne jest to, że mam na sobie krew. Co prawda, za magistra i jego wspólnika-truciciela sumienie mnie nie męczy. Ich spaliliśmy za sprawę. I giermka utopiłem w błocie za sprawę. Włóczęga Kid sam się wprosił. Ale była jeszcze rodzina chłopów… Massaraksz! Trzydzieści trzy razy massaraksz!

– Koniec, dosyć! Ja nie mam prawa głosu w tej sprawie, a wy uważacie, że trzeba ratować. Będziemy ratowali. Czasem korzystne jest dowiedzieć się, jak wyglądasz z boku.

– Zupełnie nie to Kora miała na myśli. Bywają sytuacje… Mrok trafił na Strefę niewinny. Podstawili go jako kozła ofiarnego – odpowiada Węgielek.

– Afa, jeśli mi nie wybaczysz, odgryzę sobie język – dodaje Kora.

Wszystkie kobiety to szantażystki. Tylko że jedne to wiedzą, a drugie nie.

Szybkim, stanowczym krokiem idziemy korytarzem. Próbuję biograwów – żadnego efektu. Czyli jesteśmy w kosmosie. Do podłogi przyciska nas nie grawitacja, tylko siła odśrodkowa. Węgielek stanowczo rozpycha drzwi, wchodzimy. Olbrzymia sala konferencyjna. Lektor przy pulpicie-ekranie. Dookoła amfiteatr.

– …nie, nie, wagowe współczynniki tej funkcji równania gęstej plazmy… – zapewnia lektor kogoś z sali. Matko kochana, tu radzą uczeni, a my z walizkami…

– Kontynuujcie, nie zwracajcie na nas uwagi – mówię im, wypatruję cztery wolne miejsca obok siebie, kieruję się tam. Siadam i włączam monitor na blacie stolika.

Kora siada po lewej, Węgielek po prawej, Anna za Węgielkiem. Zdejmują z grzbietów bagaż, szczękają przełącznikami. Z ciekawością rozglądam się po sali. Rzadko widywałem tyle smoków na raz. Ośmioro znam z imienia, około dziesięcioro dalszych kiedyś widziałem. A przecież to wszystko są moi potomkowie. Nikt z pierworodnych smoków nie może się tym pochwalić, tylko ja. Jest linia Kory, linia Anny, linia Węgielka, ale ja jestem we wszystkich.

Ludzi nie znam zupełnie, ale jest ich tutaj może z dziesięciu.

– W obszarze ciągłym zadanie nie ma łatwego rozwiązania – upiera się lektor.

– W takim razie według jakiej skali liczyć?

– W skali Keavmana. W niej entropia jest maksymalna – podpowiada ktoś. – Stacji musi być więcej niż węzłów na otwartej granicy. Ponieważ nie znamy dyspersji, trzeba zmaksymalizować entropię. Wtedy otrzymamy wagę!

– Gdzie pan znalazł otwartą granicę? – pyta lektor.

Prawie wszyscy na sali oglądają się na nas. Dopiero po dłuższej chwili kontynuują dysputę. Wsłuchuję się i próbuję zrozumieć, o co chodzi. Uczeni mają problem. Trzeba naprawić milion dwieście tysięcy stacji energetycznych. Ile dziennie? Można zwariować! I to na różnych orbitach. Nie, to nie dla smoków, niech się tym zajmą cybery. Inny problem: czy brać energię ze środka gwiazdy, czy z jej peryferii? Jeśli z peryferii, buchnie słabiej, a jeśli ze środka – później. Oczywiście ze środka. Aha, nie ja jeden jestem taki mądry. Teraz występuje specjalista od ucieczki. Ustalili wektor ucieczki z dokładnością do 0,0005 sekundy kątowej. Dlaczego wszyscy się tak cieszą? Aha, wcześniej mieli z dokładnością do półsfery. Projekcja wektora na naszą trójwymiarową przestrzeń pokrywa się z kierunkiem na Słońce. Oj, to mi się nie podoba… Czuję sercem, że to nie nasi rozumni bracia, tylko ludzie. Koledzy z sąsiedniego continuum. Któż jeszcze, oprócz ludzi, mógłby tak na chama capnąć nam tyle energii?

Węgielek trąca mnie łokciem w bok.

– Słuchaj, zaraz będą mówili poszukiwacze.

U tych nie jest już tak dobrze. W idealnych warunkach, gdyby zero-t Kwantora w ogóle nie pracowało, podaliby współrzędne z dokładnością do metra. A tak wyszedł im kawał przestrzeni podobny z kształtu do wydłużonej dyni, której dłuższa oś ma półtora roku świetlnego. W dodatku dokładnie ustalono, że zaginionego kutra na pewno nie ma ani w tej przestrzenni, ani w jej okolicach. I to wszystko… Massaraksz! Aha, wektor ucieczki przebija „dynię”, choć nie przez środek. Oj, nie podoba mi się to… Choć tak właściwie co mi się w tym nie podoba: to, że przebija, czy to, że nie przez środek?

– Węgielku, czy oni mają tam dużo powietrza i żywności? Może już nie ma kogo ratować?

– Czarku, to przecież smoki. W ostateczności włączą radiolatarnię, a sami się zamrożą. Kosmonauci już kilka razy tak robili – szepcze Węgielek.

Owszem, robili. Tylko że kto raz tak zrobił, więcej nie zechce. Mniejsza z tym. Są dwa zadania: wyjaśnić, na co poszła skradziona energia i znaleźć zaginiony kuter. Na co można zużyć tak horrendalną ilość energii, w dodatku w ciągu piętnastu sekund?

– Są pytania? – pyta kolejny wykładowca.

– Jak pan sądzi, na co poszła skradziona energia?

Uczony podnosi pysk ku sufitowi, konsultuje się z okularami.

– Na chwilę obecną mamy 108 hipotez, czyli około 0,25 na jednego mieszkańca Kwantora. Spis hipotez w pliku „guzdrałki” w folderze bieżących nowości. Moja hipoteza ma numer 57.

– Węgielku, skąd taka nazwa pliku?

– Bo tych, którzy buchnęli nam energię, nazywamy zwinkami

Czas wybrać, do czego się wezmę. Znalezienie kutra jest praktycznie niemożliwe, dopóki się nie dowiemy, jaka siła wyrwała go z naszego continuum – razem z energią, to oczywiste. Trzeba zapytać tych, którzy „pożyczyli” od nas energię, czyli musimy ich znaleźć. Taka kupa energii nie mogła zniknąć bez śladu, więc tamto continuum powinno się znacznie różnić od sąsiednich… Potrzebne tu jest jednokomorowe zero-t. Kiedyś się tym zajmowałem. Pora brać się za sprawę. Akurat kończy wystąpienie kolejny teoretyk.Podnoszę się i zabieram głos

– Myślę, że celowe będzie rozdzielenie wysiłków. Biorę na siebie poszukiwania zaginionej energii i jej złodziei, a wy zajmijcie się resztą. Jeśli będą kłopoty, nie krępujcie się, pytajcie. Aha, potrzebuję energii – podnoszę oczy do sufitu – w przybliżeniu odpowiadającej kilogramowi masy na sekundę, nie więcej. Energetycy, proszę przygotować łącze kanału. Skończyłem. Węgielku, pokaż nam, gdzie mieszkamy.

Kieruję się do wyjścia. Moje damy biorą rzeczy i drepczą za mną. Węgielek otwiera drzwi kajuty… nie, sekcji czterech kajut. Układamy rzeczy.

– Mistrzu, jesteś nachalny – zauważa Anna. – Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem. Narobiłeś im zaliczek. Będą musieli nad nimi pracować. A po co ci ten masokilogram energii?

– Żeby być solidnym. Przecież to nie obciąży kieszeni. Sądzę, że wystarczyłoby kilka gramów. Ale a nuż się przyda?

– A to „nie krępujcie się, pytajcie”? Przecież zapytają.

– Po pierwsze, młodzieży trzeba dodać pewności siebie. Po drugie, nie obiecałem przecież, że odpowiem. A po trzecie, jeśli zechcą zapytać, będą najpierw musieli mnie znaleźć. Podczas gdy będą szukali, może im wpadnie do głowy odpowiedź.

Wyglądam na korytarz. Wszystkie drzwi są jednakowe. Wyjmuję flamaster, rozglądam się jak złodziej i szybko rysuję na drzwiach zamyśloną smoczą gębę, otoczoną trzema patrzącymi figlarnie w różne strony żeńskimi mordkami. Teraz już nie zabłądzę. Kobiety kończą układać bagaże na półkach, wychodzą i patrzą z ciekawością na mój malarski wybryk.

– Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem – ocenia moje dzieło Węgielek.

Obejmuję Korę skrzydłem i idziemy do jadalni. Wszyscy oglądają się na nas. Anna z kwaśną miną zaczyna studiować jadłospis, ale Węgielek już wybiera na terminale zamówienie dla nas wszystkich. Podjeżdża cyber-kelner – etażerka wielkości małego czołgu – i rozstawia talerze. Próbuję. Trochę przypomina racje zapasu awaryjnego. Raz wziąłem paczkę takich racji w podróż. Przeczytałem na opakowaniu, że jedna racja wystarczy na dobę. Owszem, wystarczy. Jak ją zjesz, tracisz dokładnie na dobę apetyt, jak po konserwie „Śniadanie turysty”.

– Afa, dlaczego wziąłeś się do szukania energii, a nie smoków? Smoki są ważniejsze.

– To nierozdzielne. Wziąłem się do wszystkiego oprócz ratowania gwiazdy. To zrobią sami.

Zauważam, że uszy wielkiego czarnego smoka, siedzącego plecami do nas przy sąsiednim stoliku, są zwrócone w naszym kierunku.

– Węgielku, kim jest ten czarny, który nas podsłuchuje?

– Platan. Mówiłam ci o nim. To ten, który nazywa mnie „Czarną Grand-damą”.

Smok zwraca głowę w naszym kierunku i kiwa nią. Spojrzenie ma stanowcze, zaczepne, powiedziałbym nawet, że złe. Gdzie takiego można się dorobić?

– Ze Strefy?

– Tak, ale teraz to poszukiwacz. Jak się domyśliłeś? – Węgielek ogląda się, patrzy zaczepnie na prawnuka. Teraz i ja go sobie przypominam. Był taki chuligan. Urządził sobie przelot nad biegunem północnym. Odmroził błonkę skrzydła i szukaliśmy go po całej Arktyce.

– Poznałem go. Zdobywca Bieguna Północnego.

Uszy smoka czerwienieją od wewnątrz. Aha, ruszyło! Chyba się nawet zakrztusił. Ale w następnej chwili podnosi się i idzie do naszego stolika.

– Nie przeszkadzam?

– Oczywiście, że nie. – Anna delikatnie głaszcze go koniuszkiem skrzydła po ramieniu. Uszy smoka czerwienieją jeszcze bardziej, ale nakrywa jej dłoń swoją. Z zainteresowaniem obserwuję rozwój sytuacji.

– Chciałbym przyłączyć się do waszej grupy. To, co się stało, wynikło w znacznej mierze z mojego niedopatrzenia.

– A co z pańską grupą? Z pańskim programem?

– Jestem poszukiwaczem-samotnikiem, pracującym według własnego programu.

Patrzę po swojej drużynie. Anna jest zmieszana. Z pewnością coś między nimi było i teraz woli ubóstwiać go z daleka.

– Dobrze. Oto pańskie pierwsze zadanie. Proszę zdobyć dla nas statek kosmiczny i umówić się z energetykami co do łącza kanału. Będzie nam także potrzebna ruchoma zero-kabina i około dziesięciu największych biegunów komór zero-t.Termin dwa tygodnie. Poradzi pan sobie sam czy przydzielić panu kogoś do pomocy? – Patrzę na swoje damy.

– Największe bieguny mają półtora na półtora kilometra.

– Oho! Nie wiedziałem. Wystarczy mi sto na sto metrów.

– Dam sobie radę.

– Wszyscy zjedli? Więc ruszamy na Ziemię.

– Ależ Czarku, my dopiero co stamtąd przybyliśmy.

– Z drugiej bazy. A teraz idziemy do zachodniego bunkra. Pamiętasz go?

– Byliśmy wtedy tacy młodzi…

Znowu szybko i stanowczo idziemy korytarzem. Przodem ja, za mną Kora i Anna. Węgielek ma tu jeszcze jakieś sprawy, zostanie dwa dni. Smoki grzecznie ustępują nam drogę. Oto i zero-kabiny. Zamiast od razu dostarczyć nas na miejsce, kabina zapala napis PROSZĘ POCZEKAĆ. ADRESAT PRZEPROWADZA KONTROLĘ TECHNICZNĄ. Po minucie napis gaśnie i przenosimy się do zachodniego bunkra. Wychodzimy na korytarz. Ciemność. Próbuję wyjaśnić, jak zapala się światło w tych nowych okularach.

– Cybery, zapalić światło! – komenderuje Anna. Z lewej strony słychać jakieś poruszenie, ale światło się nie zapala. Wreszcie znajduję potrzebne menu i włączam reflektor okularów. Kora idzie do kąta, łagodnie tłumaczy coś cyberowi. Próbuję przez okulary połączyć się z miejscowymi cyberami. Nie udaje się, massaraksz! Zmieniły się kanały łączności, formuły przekazu informacji. Stare okulary pamiętały i jedne, i drugie. A te nowe, niech je… Potem.

Idę tam, gdzie był peron mojej osobistej linii metra. Wagon stoi na szynach, ale bardzo się zdziwię, jeśli okaże się, że działa. Nie, no proszę! Drzwi nawet nie skrzypią. W środku nie ma kurzu. I od razu zapala się światło. Przy pulpicie nieruchomo stoi słupka cyber.

– Co ty tu robisz?

– Zgodnie z pańskim rozkazem pilnuję sprawności karocy.

– Powtórz rozkaz.

– „Ej, chłopcze, sprawdź silniczek tej karocy. I w przyszłości sprawdzaj ją raz w tygodniu”. Rozkaz został wydany w roku 1139.

No tak, pracowałem tu w roku 1139 od przyjścia, kiedy wróciłem z Sekondu. Czterysta z czymś lat temu. Wtedy dopiero zaczynaliśmy robić głupstwa. Za to robiliśmy je entuzjastycznie i ze szczerego serca. Ależ to było dawno!

– Zuch. Masz pochwałę za służbę. Przekaż wszystkim pozostałym cyberom, żeby zaczęły ponownie uruchamianie bazy. Niech wszystko naprawią i wyczyszczą.

– Analogiczny rozkaz już wydano. Remont i uruchamianie rozpoczęte.

Obok mnie przebiega z dziesięć cyberów. Niosą szynę. Schodzą na tory i znikają w ciemnościach tunelu.

– Anno, Koro, nie mamy tu nic do roboty. Chodźcie, zobaczymy nasze pokoje.

– Ja do swojego się nie zmieszczę. Przecież wtedy byłam człowiekiem. Magistrem.

A Kora już smokiem. Nas, smoków, było wtedy tylko troje: ja, Węgielek i Kora. Nie śpiesząc się idziemy korytarzem. Przegania nas stadko cyberów-sprzątaczy. W biegu odkurzają podłogę. Mój pokój. Światło działa. Cybery właśnie tu się śpieszyły. Usuwają kurz z podłogi, ścian, sufitu, przecierają obrazy. Oto portret centaurzycy Centy. Widziałem ją tylko godzinę, ale zapamiętałem na całe życie. Naprzeciw wisi portret kapitana z Sekondu. Odwiedziłem go trzy razy, a za czwartym już nie zastałem. Umarł jak żył – na pokładzie swojego statku. A rok po nim umarł Tytus Gaduła. Proponowałem mu, żeby został smokiem, ale nie chciał.

Cybery czyszczą z kurzu kolejne portrety. Lira z Samem, Gałązka z Dickiem, Sandra, Liwia. Po drugiej stronie mężczyźni: Kim, Szram, Antoine. Wszyscy umarli. Sam zginął na planecie zwanej później Strefą. Tysiąc razy ryzykował i zawsze mu się udawało. A wtedy ryzyka nie było: zwykły rejs towarowy i pechowy przypadek. Nie skończył nawet stu lat.

Lira przyleciała kutrem po jego ciało, zaprogramowała autopilota i pogrążyła się w anabiozę. Kuter poleciał na dziesięciu g wprost w chromosferę gwiazdy. Nie odpowiadał na wezwania, a przechwycić go nie zdążyli. Często mi się wtedy śnili, teraz już rzadziej. Ale nawet we śnie jakaś część świadomości przypominała mi, że już ich nie ma. I wtedy budziła mnie wystraszona Kora. Albo gniewna Anna. Albo przerażona Węgielek.

Ani Sam, ani Lira nie chcieli zostać smokami. Nikt tego nie zechciał oprócz Anny. Ale to przypadek szczególny. Jeszcze jako człowiek uważała się za półsmoka. Marzyła o skrzydłach, o niezależności, o potężnym ciele, pokrytym łuską jak kolczugą. Podejrzewam jednak, że i ona poszła na to głównie dla Węgielka. Chciała wiedzieć, czy skazała swą córkę na szczęście czy na nieszczęście. Odpłacić sobie tą samą monetą. Nie na darmo zażądała, żebym umieścił w jej genomie czarne łuski. Zrobiłem to i teraz co szesnasty smok jest czarniejszy od nocy.

Nikt z moich przyjaciół nie zechciał zostać smokiem. Dlaczego? Czyżby uważali to za gorsze od śmierci? Dużo nad tym myślałem, ale nie zrozumiałem. Kiedy umarł Tytus, zacząłem pracować nad nieśmiertelnością dla człowieka. Ale oni nie chcą żyć więcej niż dwieście do dwustu pięćdziesięciu lat. Nawet mój wierny ptasi przyjaciel Bak opuścił mnie po dwustu latach. Widocznie, kiedy zrozumiał, że coś z nim jest nie tak, że czas go nie bierze, podniósł się jak najwyżej i złożył skrzydła. Zdradził mnie. Dlaczego?...

Chciałem, żeby ludzie i smoki żyli razem. Ale jak mają czuć się smoki, kiedy zdradzają ich najlepsi przyjaciele? Raz, drugi, trzeci. Wyrwać z piersi serce czy zamknąć je na kłódkę? A może wpuszczać do niego tylko smoki? Może wy znacie odpowiedź? Bo ja nie. Ale teraz już boję się przywiązać do człowieka. Oni umierają i pozostawiają po sobie dwie mogiły. Jedną w ziemi, drugą w smoczej duszy. Nie chcę być cmentarzem swoich przyjaciół.

Z sąsiedniego pokoju wychodzi Kora, omiata ściany spojrzeniem i od razu wszystko rozumie. Podchodzi do mnie i stoimy pośrodku pomieszczenia, objąwszy się nawzajem.

– Przeszłość umarła, a my nie – mówi Kora. – Pamiętasz Julię? Ona też nie zechciała zostać smokiem.

Po chwili z pokoju z drugiej strony pojawia się Anna, zapłakana i zła.Złość jest jej, a łzy to mój niedobry wpływ.

– Dość tego beczenia, weźcie się do roboty, do cholery! – I wyciera łzy łapą. Po tym geście od razu można rozpoznać smoka, urodzonego jako człowiek. Rodowite smoki zlizują łzy językiem

– Anno, pamiętasz Julię?

– Tą, która niańczyła ciebie-człowieka? Pamiętam. Była ci oddana.

– Dlaczego nie zechciała zostać smokiem?

– I chwała Bogu, że nie zechciała. Miałaby cierpieć twoją tyranię czterysta lat? Kiedy rano na ogon sobie staniesz, ja zaraz muszę płakać!

– Przecież skonstruowałem hełm-zagłuszacz. Dlaczego go nie nosisz?

– Aha, żeby przegapić chwilę, kiedy zachwycisz się moim grzbiecikiem? Jedyna radość w moim życiu, a ty chcesz mi ją odebrać!

Staję za nią i zachwycam się. Bynajmniej nie grzbiecikiem, jak myśli, tylko linią skrzydła. Takiej pobudzającej, wręcz zapraszającej linii nie ma ani Kora, ani Węgielek. Ma także przepiękną nocną twarz. Zarówno ludzkie kobiety, jak i smoczyce mają nocne twarze zupełnie niepodobne do dziennych. Anna ma nocną twarz wręcz zachwycającą. Chce się na nią patrzeć i patrzeć. Jest dobra, bardzo łagodna. Odbija się na niej wszystko, co tak starannie ukrywa w dzień.. Kąpię Annę w falach ciepłych emocji.

– Ty pochlebco i prowokatorze! Zaraz się podekscytuję!

– A kto będzie pracował?

– Jeśli ty próżnujesz, to znaczy, że nie ma nic do roboty.

Rzeczywiście nie ma. Wezwałem już wszystkie wolne cybery z dwóch sąsiednich baz, naprawa i ponowne uruchamianie idzie pełną parą. Ale i tak nie skończą wcześniej niż jutro wieczorem. A potem przez cały miesiąc będą wyłaziły niedoróbki. Teraz lepiej nie pętać się cyberom pod nogami. Nigdy bym się nie spodziewał, że baza pod zachodnim bunkrem okaże się opuszczona. A przecież okolica jest piękna, rzeczka pod bokiem, niedaleko morze z pierwszorzędną plażą. Nie rozumiem. Ale przez to teraz tracimy ponad dobę. Jednak wstyd.

Następnego dnia rano przybywa Lobasti. Studiuję osobiste sprawy zaginionych, odtwarzam sobie w pamięci teorię zero-t. Cały czas chwytam jej zamyślone spojrzenia. W końcu nie wytrzymuję i pytam:

– Co się stało, Węgielku?

– Zobaczyłam ciebie jakby z dwóch stron. Zawsze uważałam ciebie za lenia i wałkonia, co prawda nieco odwróconego. Pracowity leń i entuzjastyczny wałkoń. Ale na Kwantorze zaskoczyłeś wszystkich. Pewny siebie, ciekawy, przychylny. Od razu wniknąłeś w problem, wziąłeś na siebie najcięższą jego część. Szybko, pewnie, rzeczowo. Teraz wszyscy są pełni optymizmu, pewni, że wszystko dobrze się skończy. Jakby złapali drugi oddech. Jak ci się to udało?

– Króla czyni świta.

– Czyli ja z mamą i Kora?

– I oni sami. Potrzebny im był ktoś, na kim można polegać, i tu ja się pojawiłem. Szanowny przodek, o którym chodzą legendy i piszą naukowe książki z obrazkami. Do tego w towarzystwie pierworodnych prarodzicielek. I w dodatku wysyła w eter emocje. I spłynęła na wszystkich łaska…

– Czarku, jeśli ty po tym nie dasz rady, lepiej byłoby, gdybym się nie urodziła.

– Podaj choć jeden przypadek, gdzie sobie nie poradziliśmy.

– Kwampa.

– N-tak… Było… I nazwa głupia. Ale wszyscy przeżyliśmy! Nie bój się, tym razem sobie poradzimy. Wiesz, czym ja się różnię od waszych fizyków? Oni stracili zdolność dziwienia się. Zatracili się w swojej nauce. Dla nich skradziona energia to tylko liczba: 103 procent masy Słońca. A dla mnie to gwiazda. Gwiazdy nie da się schować, rozumiesz? To nie igła w stogu siana. Ktokolwiek to zrobił, nie może pozbyć się fizycznych właściwości materii. Każda cząstka, nawet kwant światła, ma masę. A masa wydaje siebie przez pole grawitacyjne.

– A jeśli ta masa rozlatuje się teraz na wszystkie strony z szybkością światła?

– Możliwe. To najstraszliwszy wariant. Wypali pół galaktyki w ich trójwymiarowym continuum. Ale ja w to nie wierzę. Moje serce-wieszcz mówi, że tak być nie może.

– Czarku, bądź poważny. Przecież to fizyka. Serce i fizyka są sprzeczne.

– Ależ z ciebie grymaśnica! Nie może choćby dlatego, że wtedy końcówka wykresu ucieczki urwałaby się nagle i ostro. A ona opada stopniowo. Chłopcy wzięli dokładnie tyle, ile chcieli. Ani więcej, ani mniej.

– I jak masz zamiar ich szukać?

– Bardzo prosto! Ich continuum powinno bardzo różnić się od sąsiednich. Tak jak nasze, jeśli nie bardziej. Będę szukał tego białego kruka.

– Raz już szukałeś świata Centy. I nie znalazłeś.

– Wtedy to były dyletanckie wysiłki. I skończyłem z poszukiwaniami, kiedy znalazłem Baka. A teraz za moimi skrzydłami stoi cała potęga Kwantora… No i nie ma gdzie się cofnąć.

Wychodzimy z Węgielkiem na zewnątrz, spacerujemy i rozmyślamy. Ależ ta technika się zmieniła! Nie bacząc na to, że przez ostatnie trzysta lat musimy spowalniać tempo rozwoju nauki, technika idzie naprzód. Współcześni fizycy operują takimi mocami, jakie mi się nawet nie śniły. Nieszczęście polega na tym, że ja nie potrafię nimi operować.

– Węgielku, potrzebny mi jest specjalista od konstrukcji siłowych. Znajdziesz?

– Zawstydzasz mnie, Mistrzu.

– Więc działaj!

– Yes, sir!

Po ośmiu minutach i dwudziestu dziewięciu sekundach (mierzyłem stoperem) sprowadza mi młodą smoczycę. Ale coś ona mi niesolidnie wygląda. Za bardzo się wzrusza. Jest jakaś przyhamowana. Cały czas zmieszana. Na najprostsze pytania odpowiada z wahaniem. Jakby najpierw musiała sama sobie odpowiedzieć w myśli, potem dopiero głośno. Pytam, jak się nazywa, wyjaśniam zadanie. Gdzieś już to imię słyszałem, zupełnie niedawno – Maja. Wracam do swojego bunkra z aparaturą jednokomorowego zero-t i próbuję pracować. Tu jest przytulnie, cicho, spokojnie. No pewnie, że cicho – nad głową mam, półtora kilometra granitu. Cybery wreszcie kończą doprowadzać do porządku miejscowy komputer i podłączają go do współczesnej sieci. Wyjaśniam zadziwiający fakt. Kiedyś ta trumna z muzyką wydawała się szczytem doskonałości. Teraz nawet mój komputer w okularach nie jest gorszy, prędzej lepszy. Ale architektonicznie sala tu jest lepsza. Holograficzne ekrany na całą ścianę, aparatura trójwymiarowa, wszystko takie swojskie… Daję rozkaz wymienić wszystkie procesory komputera na najmocniejsze. Całe szesnaście tysięcy. I zaraz koryguję życzenie: nie na najmocniejsze, tylko na najbardziej niezawodne. Zamianę przeprowadzić stopniowo, nie wyłączając komputera, nie zmieniając jego konstrukcji i zachowując nienaruszoną pamięć. Po co mi to potrzebne, nie wiem. Przy całej swojej wyobraźni nie potrafię wymyślić zadania, którego rozwiązanie wymagałoby tak wielkiej mocy obliczeniowej. No chyba żeby w realnym czasie obliczyć lot każdej z osobna kropli tropikalnej ulewy.

Maszeruję z kąta w kąt, szkicując schemat konstrukcji poszukiwawczej jednokomorowego zero-t. Nie, nie idzie mi dzisiaj robota. Cały czas wracam myślami do smoczki Mai. Pytam okularów, gdzie i kiedy spotkałem się z tym imieniem. Massaraksz! Trzydzieści trzy razy massaraksz! Kwa-kui! A jakie ona ma wykształcenie? Biosfernik. Tak…

Wyjaśniam, czy ktoś nie skasował moich pełnomocnictw w sieciach komputerowych. Cztery wieki temu wyznaczyłem siebie kierownikiem wszystkich baz i głównym administratorem całej sieci komputerowej. Nie, nikt mnie od tej władzy nie odsunął. Albo nie starczyło bezczelności, albo nikt o tej mojej roli nie wie, raczej to drugie. Łączę się z okularami Mai i wyjaśniam, czy ta kiedykolwiek zajmowała się konstrukcjami siłowymi. Nigdy. Za to w tej chwili duka podręcznik. Do diabła! Jestem spokojny, jestem całkowicie spokojny. Om mani padme hum! O bezcenny skarbie lotosu! Do diabła z lotosem! Caramba!

Wyjaśniam przez okulary, gdzie jest Węgielek i natychmiast pędzę. Aha, Maja siedzi z nią.

– Maja, wyjdź.

Przestraszona smoczka zrywa się i biegnie do drzwi.

– Maja, zostań – Węgielek łapie ją za ogon. Teraz smoczka już zupełnie nie wie, co robić. Cóż, kazałem jej wyjść, a reszta to jej sprawa. Udaję, że nie ma jej w pomieszczeniu.

– Wiesz, że Maja to biologiczna matka Mroka?

– Wiem.

– Wiesz, że w siłowych konstrukcjach to zero? Duka podręcznik dla początkujących?

– Mistrzu, potrzebny ci najlepszy siłownik w kosmosie i kazałeś mi go znaleźć, tak?

– Znalazłaś go?

– Tak, znalazłam.

Odwracam się i wypadam z pokoju jak z procy. Tak splunąć mi w duszę! Za co? Po co właściwie ona wróciła do mnie?

– Czarku, daj mi coś powiedzieć.

Zatrzymuję się gwałtownie. Tak gwałtownie, aż wpada na mnie z tyłu.

– Czarku, to ja! Jestem najlepszym siłownikiem w zamieszkałym kosmosie.Słowo smoka!

Odwracam się i patrzę na nią smutno.

– Tak, i jestem skończoną idiotką. W ciągu czterech wieków mógłbyś do tego przywyknąć.

Obraza taje. Ale nagle zwracam uwagę na jej ogon. Nie, ona nie okazuje żadnej skruchy. Urządziła cyrk z zamianami, zrobiła ze mnie durnia – i zupełnie żadnej skruchy! Nawet, jeśli przeprosi, będzie to tylko wymóg dobrego tonu. Wlokę się ponuro do swojego bunkra i chwilę patrzę tępo na ekran. Potem robię spis literatury z zakresu energetyki siłowej i przesyłam go do okularów Mai. Siłownik z niej żaden, ale żeby nie pomyślała, że wyganiam ją z grupy. Zamykam drzwi, blokuję wezwania z zewnątrz i zaczynam wściekle pracować. Wściekle dlatego, że sprawy stoją naprawdę źle. Wszystko trzeba zaczynać od zera. Nie ma właściwego gwiazdolotu. Bieguny sto na sto metrów nie nadają się. Trzeba wziąć te, o których mówił Platan: półtora na półtora kilometra. Tylko wtedy przechwyt przez zero-t obiektu w otwartym kosmosie przestanie być grą w rosyjską ruletkę.

Biegną godziny, dni, tygodnie. Jem nie odrywając się od pracy. Śpię urywkami, kiedy już padam ze zmęczenia. Z każdym dniem pomysł nabiera kształtów, czy, jak to się u nas mówi, obrasta żelazem. Od czasu do czasu łączę się z górą, tam też nie próżnują. Węgielek wykonuje szybko i dokładnie swoją część pracy. Platan kieruje budową ośmiu super potężnych stacji zero-t do przerzucenia naszego gwiazdolotu. Nikt jeszcze nigdy nie wykonywał takich przerzutów. Nie było potrzeby. Jestem pierwszy. Poza tym, jeśli fizycy nie wymyślą sposobu na ustabilizowanie gwiazdy, rozbiję ją na kawałki i rozrzucę je po przestrzeni za pomocą swoich konstrukcji. Lepsze od wybuchu, chociaż wewnątrz gwiazdy pozostaną bardzo gorące protony. Za to nie będzie promieniowania gamma, beta, a zwłaszcza strasznego rentgena. A w ogóle to barbarzyństwo: budować metalowy korpus stacji, gdy jego zawartości nie ma jeszcze nawet w projekcie, ale czas, czas! I wielkość zaprojektowałem z zapasem, jak to się mówi, na wyrost.

Kończę sprzeczkę z komputerem na temat kriogenicznego kontrolera fazowego – i nagle okazuje się, że to już wszystko. Projekt gotowy! Odwracam się i w oszołomieniu patrzę na sumaryczny diagram. Wszystkie kwadraciki zielone, ani jednego czerwonego, żółtego czy niebieskiego. Wszystkie węzły zaprojektowane. Wywołuję na okulary trójwymiarowy model komputerowy stacji i chodzę po nim. Czegoś takiego jeszcze nie było. Czuję ogromną dumę, zaraz pęknę z jej nadmiaru. Wszystko najpotężniejsze, najbardziej współczesne. I to wszystko wymyśliłem ja!

Przełączam się na gwiazdolot. Też wszystko zielone. Projektowanie skończone. Można wychodzić z dobrowolnego zamknięcia. Ale najpierw muszę doprowadzić się do porządku. Niechętnie wchodzę do kabiny „smoczego tuszu”, czyli piaszczarki. Potem pluskam się w małym basenie. Patrzę na siebie w lustrze. Całkiem nieźle, tylko oczy czerwone jak u albinotycznego królika. Wkładam okulary, zapinam ich pasek pod pyskiem i przyciemniam szkła, żeby to się nie rzucało w oczy, zdejmuję blokadę z zamku w drzwiach i wychodzę. Od razu następuję na czyjś ogon. Jego właściciel piszczy przenikliwie, po głosie poznaję Węgielka. W pośpiechu rozjaśniam szkła okularów i ze zdumienia siadam na ogonie. W korytarzu pod drzwiami rozbito mały obóz wędrowny. Niemyte naczynia, coś z mebli, komputer. Na ścianie wisi wielki ekran holograficzny. Na podłodze materac, a na nim wyplątuje się z koca Węgielek.

– Co ty tu robisz?

– Czekam na ciebie.

Przypominam sobie, że chyba się pokłóciliśmy. Ale to było tak dawno...

– Idziemy na górę. Mamy dwa tygodnie wakacji. Zasłużyliśmy sobie na nie.

– A tu… nie trzeba… posprzątać?

– Przyślę później cybera. – Biorę ją pod ramię i ciągnę do wagonika metra.

– Czarku, zaczekaj… Tam jest mama. I Kora. A zresztą, nie chodzi o nie. Czarku, chciałabym ciebie przeprosić. W ciągu tych tygodni ułożyłam tyle wersji tej przemowy, a teraz słowa nie chcą wyjść… Tak to jest z tą zasadą równowagi. Jesteś cały otwarty, więc z tobą nie da się tak na wpół… Trzeba tak jak ty. Przywykłam wszystko trzymać w sobie, a przy tobie tak nie można. To jest jakieś nieadekwatne, niesprawiedliwe. Poprawię się, a jeśli nie, przegoń mnie do diabła. Ileż ja tu pod drzwiami sobie przemyślałam…

Przytulam ją do siebie i, zanim mi naopowiada głupstw, prowadzę do wagonika metro. Węgielek jawnie się denerwuje, pewnie coś jeszcze nachuliganiła. Odtwarzam sobie w okularach zapis naszej rozmowy.

– Pokłóciłaś się z mamą? – Ponuro kiwa głową. – Z mojego powodu? – Kolejne skinięcie.

Przedszkole, daję słowo. Mamy po przeszło czterysta lat, a zachowujemy się jak dzieci…

Wagonik zatrzymuje się, otwiera drzwi. Podnoszę Węgielka i niosę ją przed sobą. Czy to ona przytyła, czy ja osłabłem? Trzeba co rano robić gimnastykę. Podrzucam ją, kładę sobie na ramieniu, obejmuję, i tak niosę, ogonem do przodu.

– Co robisz?

– Obiecałem nosić ciebie na rękach godzinę dziennie.

– To ma być na rękach?

– Zawiniłaś, więc teraz cierp.

Węgielek posłusznie obwisa, krzyżuje łapy za plecami, jakby były związane.

– To moja zdobycz! – ryczę, a dźwięczne echo przetacza się po pustych korytarzach. Nie, nie pustych. Za zakrętem czeka na nas komitet powitalny w pełnym składzie: Kora, Anna i ta nowa, jak ją tam?... Aha, Maja!

Węgielek na ramieniu zaczyna się miotać. Klepię ją dźwięcznie po tyłku, żeby uspokoić. Witającym opadają dolne szczęki. Przechodząc obok Anny przysiadam, obejmuję ją lewą łapą, szybko prostuję się, podrzucam i zarzucam na drugie ramię. My, smoki, nie jesteśmy obliczone na bieganie na tylnych łapkach z dziesięciotonowym ciężarem. No i lepiej byłoby, gdyby na miejscu Anny stała Kora. Z Anną żartować jest niebezpiecznie. Pazury ma, że ho-ho, a język jeszcze ostrzejszy. Ale na razie milczy, zaskoczona.

– Mistrzu, dokąd nas niesiesz?

– Na Wyspy Kanaryjskie. Szurum burum burum-bum, burum burum burum!

– Co?

– Nie zbijaj mnie z pantałyku. Rodzi się piosenka.

Iść pieszo po ziemi

Nie bardzo jest lekko,

Nie bardzo przyjemnie

I bardzo daleko…

Piosenka nie jest moja, ale gotów jestem założyć się o swój ogon, że jej nie słyszały. Kora i Maja drepczą z tyłu. Kora jest zdziwiona, a pyszczek Mai ni to przerażony, ni to zachwycony.

– Mistrzu, a po co nam na Kanary?

– Tam jest ciepło, tam są jabłka – odpowiadam.

Próbuję tylną łapą Anny obrócić klamkę drzwi zero-kabiny. Maja zgrabnie przeciska się i otwiera drzwi. Wchodzimy całą piątką, dyktuję Korze kod. Wychodzimy na najprawdziwszej niezamieszkałej wyspie. Palmowy gaj wita nas miłym kołysaniem szerokich liści. Wyspa jest niezamieszkała, ponieważ wzdłuż całego wybrzeża co sto metrów stoją słupki z plakatami:

POLIGON GENETYCZNO-BIOFIZYCZNY

Możecie nieskończenie długo przebywać

na tej wyspie, wykorzystując jako pokarm

każdą roślinę, ale administracja poligonu

nie ponosi żadnej odpowiedzialności

za wasze życie i zdrowie!

P. S.

Najbliższa zero-kabina znajduje się

w pawilonie pośrodku wyspy.

Spuszczam smoczyce na piasek i rozprostowuję zmęczone ramiona. Anna z zainteresowaniem studiuje najbliższy plakat.

– Jakiż to mądrala coś takiego wymyślił? Gdzieś ty nas zabrał, Mistrzu? Chcesz nas wszystkich otruć?

– Opowiadałem ci anegdotę o Iwanie Susaninie? Forest, forest, forest. In the medal of the forest Iwan Susannin end…

– Opowiadałeś to już chyba wszystkim. Postanowiłeś ją sfilmować czy co? Przyznaj się, czyj to poligon. Kiedy wrócimy, wykręcę mu ogon.

Zmieszany grzebię łapą w piasku i ze spuszczoną głową podaję Annie koniec ogona.

– Więc to twoje?

– Aha. Kiedy wszyscy mnie opuszczają, lecę tutaj i połykam skąpe męskie łzy.

– A co ma znaczyć ta aluzja do zagrożenia życia?

Odwracam ją głową w kierunku gaju palmowego.

– Widzisz te palmy? One są kokosowe.

– I co z tego?

– Kokos może spaść na głowę przybyszowi, nieprawdaż?

Czekam, aż wszystkie się uspokoją, wzywam gwizdkiem miejscowego cybera, każę mu przygotować kolację i prowadzę smoczyce do kąpieli. Około godziny pluskamy się w wodzie, nurkujemy, gonimy się wzajemnie. Potem nie wiadomo skąd pojawiają się rekiny i smoczki z piskiem wyskakują na brzeg. Dwumetrowe rekiny nie są oczywiście straszne dla smoków, ale jakiż to pretekst do pisku na cały głos bez żadnego skrępowania! Mokra Węgielek toczy się po koralowym piasku i z czarnej smoczycy robi się biała. Maja chce mnie o coś zapytać, ale się krępuje. Przychodzę jej z pomocą

– Masz jakiś problem?

– Mistrzu Smoku, dlaczego pan zamknął się w bunkrze pod ziemią?

– Po pierwsze, żeby kobiety nie odrywały mnie od pracy. Po drugie, tam mam swoje twórcze laboratorium, które ma już czterysta lat. I tam stoi bardzo potężny komputer.

– Czterysta lat temu potężnych komputerów nie było.

– No, niech ci będzie, że nie aż taki potężny – zgadzam się – Zaledwie sześćdziesiąt tysięcy razy potężniejszy od twoich okularów.

– Nieograniczony kosmosie! Po co aż taka moc?

– Nie wiem – przyznaję szczerze.

Kąpiemy się, ganiamy jedno za drugim, grzejemy brzuszki na słoneczku, a w przerwach studiuję dossier Mroka. To wyrachowany, zimnokrwisty zabójca. A teraz w dodatku stał się smokiem. No, to już naprawdę monstrum co się zowie.Węgielek jednak twierdzi, że musimy go uratować. Dziwne, ale i dla mnie on jest jakoś sympatyczny. Może przez swoją wytrwałość, upór w dążeniu do celu. I ma jedną cechę, której mi bardzo brakuje. Myśli, zanim zacznie działać. Planuje swoje działania z wyprzedzeniem i wie, do czego one mają go doprowadzić. Postanawiam sobie twardo, że wezmę z niego przykład i do wieczora jestem z siebie dumny. Będę myślał. Głową.

Na drugi dzień widzę, że odpoczywam tylko ja. Maja uczy się na siłownika, a pozostałe co chwilę konsultują się z kimś przez okulary, roztrząsają jakieś sprawy, poganiają, ustalają terminy. Węgielek dodatkowo uczy Maję. Przeszukuję pamięć w poszukiwaniu niezakończonych spraw. Znajduję jedną. Wzywam przez okulary centralne informatorium.

– Kto to jest Iwan Susanin?

– Bohater jednej z ulubionych anegdot Wielkiego Smoka.

Massaraksz! Trzydzieści trzy razy massaraksz!!! Ale po pół godzinie udaje mi się odtworzyć historyczną sprawiedliwość. Potem podkradam się z tyłu do Kory. Zamierzałem dla kawału wylać na nią beczkę zimnej wody, ale zdumiewa mnie to, co ona robi. Na jej kolanach leży tablica, a smoczyca bębni po niej palcami, jakby to była klawiatura fortepianu. Wodą z beczki podlewam najbliższą palmę i, wykorzystując to, że nominalnie jestem najgłówniejszym administratorem systemów komputerowych niezauważalnie (i, szczerze mówiąc, niezgodnie z prawem) podłączam się do jej okularów i patrzę na świat jej oczami. Ach, więc to tak! Komputer w okularach nałożył na deskę wyobrażoną klawiaturę, a nad nią w powietrzu wisi widmowy ekran terminalu. Kora opracowuje na nim harmonogram sieciowy. Kiedy jej palec trafia w wyobrażenie przycisku, ten zapada się i cicho poszczękuje. Pierwszy raz widzę taką hybrydę realności zwykłej i wirtualnej.

– Świetnie to wymyśliłaś – wyrywa mi się.

– Lubię pracować po staremu – uśmiecha się do mnie Kora. – Nie mogę z tymi nowymi inteligentnymi dyktafonami. Kiedy piszesz na ekranie, całe błoto wypływa od razu na wierzch, wszystkie pomyłki rzucają się w oczy.

Kończy redagowanie, zapisuje plik, odsuwa tablicę. Na jej powierzchni widać jeszcze jakiś czas przyciski, potem stopniowo się rozpuszczają. Odłączam się od jej okularów i prowadzę ją do palmowego gaju, chcąc ugościć ją kokosami. Daremnie jednak szukam MOICH palm z MOIMI orzechami – takimi samymi kokosami, ale wielkości arbuza. Nie ma ani jednej, wymarły… Co za wstyd! Gdzie zrobiłem błąd, kiedy tworzyłem ich genom?

Kora domyśla się, że nie udała mi się jakaś niespodzianka, głaszcze mnie skrzydłem po ramieniu i prowadzi w sam środek gaju.

– Afa, nie mieliśmy dzieci chyba od stu lat. Może sobie sprawimy?

– Dziewczynkę. Ale nie teraz, dopiero po zwycięstwie nad tą gwiazdą. I nazwiemy ją Wiktoria. A teraz przypomnijmy sobie, jak to się robi.

Przypominamy sobie aż do wieczora. Cztery razy z przerwami na odpoczynek, aż zaczyna się noc. Kiedy wszystko się kończy, przychodzi Węgielek i przynosi szampana w kryształowych podświetlanych wiaderkach. Mój ulubiony szampan, słodki i zimny jak lód. Odbłyski światła z wiaderek pląsają po rzeźbionych ściankach pucharków i naszych szmaragdowych łuskach. Wygląda to fantastycznie. Podchodzą do nas Anna i Maja. Ależ ta dziewczyna ma oczy! Olbrzymie i błyszczące jak gwiazdy. Do diabła, powinienem się od niej trzymać jak najdalej. Jeszcze się we mnie przypadkiem zakocha, będzie płacz… Już wiem: trzeba będzie rozrzedzić ten gąszcz kilkoma młodymi rzeczowymi kawalerami. I to już jutro.

– Węgielku… Węgielku-u!

– Co?

– Czy poza Mają jest wielu chętnych do przyłączenia się do naszej grupy?

– No… Nie wiem. Kiedy my z mamą pokłó… no, nie dogadałyśmy się, wyniuchali to i zniknęli z horyzontu.

– Ale teraz już się pogodziłyście?

Węgielek spuszcza oczy. Patrzę surowo na Annę.

– Nie ciśnij, Mistrzu. To sprawa zasadnicza.

– A ja nic o niej nie wiem? Wprowadź mnie.

– Wiesz co, Mistrzu? Lepiej nie pchaj nosa do babskich spraw.

Rzeczywiście, lepiej było się nie pchać. Psuje mi się nastrój i wszystkie to czują.

– Dobrze, dobrze. – Poddaje się Anna. – Twierdzę, że w haremie powinien być gospodarz.

O nie! Tylko nie to! Całe życie tego się bałem. Żony zaczęły walczyć o władzę. Za co zostałem tak ukarany? I haremu nie chciałem! Samo tak wyszło!!!

– No i masz! – Oburza się Anna – Dźwięczy wysoka rozpacz! Nic nie zrozumiałeś, Mistrzu. To ty jesteś gospodarzem haremu. Ty i nikt inny! Wewnątrz haremu jest równość, ale nad nim jesteś ty. Twoje słowo jest dla nas prawem. Nie mamy przed tobą żadnych tajemnic, zawsze mówimy ci prawdę i słuchamy ciebie, gdyż to jedyne, czym możemy ci się zrewanżować za to, co ty nam dajesz, za twoją miłość. Jeśli ktoś został członkiem haremu z własnej woli, niech zapomni o równouprawnieniu. Nikogo nie wpychaliśmy tu siłą.

Gotów byłem wysłuchać czegoś takiego od kogokolwiek, tylko nie od Anny. Dumnej, ambitnej, żądnej zaszczytów Anny. Magistra Anny! Rzeczywistego Sekretarza Synodu Anny! Czwartego i ostatniego z pierworodnych smoków!

– Tylko nie śpiewaj mi o powszechnej równości – kontynuuje. – Jaka tu może być równość, jeśli ty jesteś unikalny, Mistrzu? Najpierwszy. Jesteś w każdym z nas. Oszukiwać ciebie – to tak, jakby oszukiwać siebie samego. I twój dar! Czym my ci możemy zapłacić za twój dar?

Mój dar! Każdy smok może otrzymać taki dar, jeśli spali sobie mózgi łukiem elektrycznym, a później dwa razy roztrzaska się o grunt spadając z wysokości dwustu metrów. Mój dar! Jakoś nie spotkałem chętnych do otrzymania takiego samego. Moje aksony są grube jak liny. Jeśli mi jest smutno, wyją wszystkie okoliczne psy, a jeśli wesoło, ludzie śmieją się nawet na pogrzebie własnej matki. Obliczyłem, że trzy czwarte życia, czyli ponad trzysta lat, przeżyłem jak pustelnik, chowając się w samotności przed ludźmi i smokami. Z jego powodu chciałem obciąć sobie głowę i wyhodować nową. Technicznie to jest łatwe. Zapisujesz pamięć i kładziesz się na stół chirurgiczny. Cyber obcina ci głowę, wstawia kupę kolorowych rurek i zalewa bioroztworem. Po trzech miesiącach wyrasta ci nowa głowa i wystarczy już tylko zapisać pamięć na miejsce. Ale gdy chciałem to zrobić, po raz drugi w życiu pokłóciliśmy się z Korą. I pierwszy raz przypomniała mi, że zrobiłem z niej smoka wbrew jej woli. Postawiła warunek, że, jeśli zetnę głowę sobie, to i jej też, ale nie ruszając jej pamięci. Niech ciało wróci do mnie, ale pamięć to jej osobista własność. A po co mi jej ciało z obcą pamięcią?

– Anno, Koro, tak nie można… Przecież wy mnie też kochacie. Kora, no powiedz!

– Mówiłam ci już, Afa. Ty jesteś słońcem, ja księżycem. Świecę twoim światłem.

– Maja, no, chociaż ty im powiedz!

– Nie wiem, Wielki Mistrzu! Ale jeśli lady Kora powiedziała, że lady Berta nie ma racji, to na pewno tak jest. Nie ma na świecie lepszego i sprawiedliwszego smoka niż lady Kora.

Ładnie to powiedziała. Wszystkie przeciwko mnie. Zrobiły ze mnie ikonę, owinęły złotą folią – i już nie jestem sobą, tylko tym, co chcą we mnie widzieć. Pomnikiem samego siebie. Nie chcę być pomnikiem, przecież jeszcze żyję! Zresztą do diabła z tym! Będę żył jak dotąd. Ucieknę na Pustynię Piitetow, wyłączę zero-t... Dość już o tym! Zepsuły mi taki wieczór!

– Węgielku, zakomunikuj ogółowi, że w naszej grupie mamy kilka wakatów. Zawód: obserwator-analityk. Przyjęcie po konsultacji z tobą. Niezbędnym warunkiem przyjęcia jest osobiste zainteresowanie.

To już chyba wszystko na dzisiaj. Serce-wieszcz podpowiada mi: jutro coś będzie.

Następnego dnia przez komunikator zero-t wzywa mnie Platan. Komunikuje szczerze, że nie zmieści się w terminie, gdyż zakres robót montażowych jest zbyt duży. Łączę się ze starymi bazami, rozkazuję uruchomić ponownie wszystkie cybery i wysłać je na Kwantor. To jest około dwudziestu tysięcy jednostek. Czas osobiście tam spojrzeć: jak idą sprawy.

Wzywam drużynę i ogłaszam, że lecimy na Kwantor. Na przygotowania do podróży daję piętnaście minut. Już po dziesięciu wszyscy są gotowi. Maja wymienia jakieś znaczące spojrzenia z Węgielkiem. Pewnie znowu coś szykują, więc trzeba mieć się na baczności. Idziemy do zero-t. I nagle drzwi pawilonu otwierają się i na spotkanie wali istna lawina smoków.

– Węgielku, kto to jest?

– Kandydaci do konsultacji.

Czekam, aż ostatni wyjdzie z drzwi i komenderuję:

– Zastęp, ustawić się w dwuszeregu!

Tego się nie spodziewali. Kompletne zamieszanie. Ale Węgielek, ta chytruska, pobudza wszystkich osobistym przykładem, ciągnie za sobą Maję, woła smoki po imieniu, ostro komenderuje, gdzie który ma stanąć. Ja stoję nieruchomo, o pół długości smoka za mną zamarły w bezruchu Kora i Anna. Póki smoki się krzątają, próbuję wyjaśnić przez okulary ich imiona i zamawiam ich osobiste pliki. Znajduje się jeszcze jeden rozgarnięty zielony smok i już po chwili dwuszereg zamiera. Zielony smok raportuje:

– Grupa wsparcia ustawiona.

– Nie jesteśmy grupą, tylko zastępem poszukiwawczym – poprawiam go. – Czuje pan różnicę? NIE ROZMAWIAĆ W SZEREGU!!!

Przerażone smoki milkną. Tylko Węgielek śmieje się od ucha do ucha.

– Oddział! Wyrównać szereg! Baczność!

Znowu zamieszanie. Ale, nie licząc Węgielka, dwa smoki znają taką komendę. Dwa na dwadzieścia! Kiepskawo. Powoli idę wzdłuż szeregu. Przyglądam się zielonemu znawcy. Okulary takie same, jak moje stare, z mocno zużytą oprawą. Dorian! Przyjaciel Platana! Zaglądam w dossier. Tak, też ze Strefy. O-ho-ho! Żeby tylko ktoś kogoś nie zjadł, gdy znajdziemy zguby!

– Dorian, wystąp z szeregu! Wyznaczam pana na starszego w zastępie. Podlega mi pan bezpośrednio, a w mojej nieobecności może pan im wydawać rozkazy. Są pytania?

– Nie ma pytań.

– Wracać do szeregu.

Idę wzdłuż szeregu i układam pasjansy z ich dossier. Układam ich w myśli podług wieku, potem według miejsc pracy. Aha, jeszcze jeden smok ze Strefy. Wywołuję w okularach powiększoną fotografię i szukam oryginału. To chyba ta.

– Tonara, wystąp! – Aha, zgadłem! – Proszę podać główne zadanie naszego zastępu.

– Uratować Lobasti i pozostałych. Dobrze powiedziałam?

– A później?

– Nie wiem. Ale jestem gotowa na każdą pracę!

– Zadaniem zastępu jest uratowanie zaginionych smoków. Ale przedtem będziemy pewnie musieli wejść w kontakt z miejscową cywilizacją, prawie na pewno ludzką. Wracać do szeregu. Teraz o mnie. – Oglądam się za siebie i przyciskam ogon do ziemi. Z podniesionym nie wypada dowodzić zastępem. – Kim jestem, to wszyscy wiecie. Ale wielu z was nie wie, że jestem A) żądny krwi, B) bezlitosny, oraz C) wymagający od podkomendnych żelaznej dyscypliny. Niepodporządkowujących się wyrzucę z zastępu. Moje rozkazy trzeba wypełniać natychmiastowo, szybko i dokładnie. Przed zastępem stoi poważne zadanie, a terminy gonią. Dlatego na demokrację nie ma czasu. Są pytania?

– Ja mam pytanie.

– Proszę je zadać.

– Czy to, o czym pan teraz mówił, nazywa się dyscypliną wojskową?

Chce mi się i śmiać, i płakać, ale odpowiadam poważnie:

– Tak, dokładnie. To jest dyscyplina wojskowa. Zaraz wybieramy się z wizytą inspekcyjną na Kwantor. Wieczorem każdy otrzyma swoje zadanie. Maju, rozkazuję pani znaleźć pomieszczenia i zakwaterować zastęp na Kwantorze. Termin – do wieczora według miejscowego czasu. Oddział, za mną marsz!

Maszeruję rześko do zero-t. Za mną Kora i Anna. Jedna po lewej, druga po prawej, o pół długości smoka z tyłu – jak poprzednio.Węgielek i Dorian próbują bez powodzenia zaprowadzić porządek w szeregu. Maja potyka się o pnie drzew, nierówności, inne smoki. Oglądając się na nią, sam omal nie wpadam na drzwi. Jasne, radzi się okularów, wyznaczyłem jej zadanie. Ma sobie z nim poradzić do wieczora. A która teraz godzina na Kwantorze? O Boże, 2215! Jeśli to nie jest wieczór, to ja jestem zielona papuga. Do diabła, ja też coś obiecałem zrobić wieczorem!

Przechodzę przez zero-t na Kwantor i czekam, aż przejdzie cały zastęp.

– Dorian, Maja, działajcie. Gdy tylko rozmieścicie wszystkich, zawiadomcie mnie. Jeszcze dzisiaj odbędzie się ogólne zebranie – mówię, po czym odwracam się i idę do mojego czteropokojowego apartamentu. Za moimi plecami Dorian komenderuje coś tubalnym basem.

Zatrzymuję się przed drzwiami z naszymi portretami. Ja rysowałem go flamastrem, ale nieznany fan obwiódł dokładnie linie farbami. Mnie ciemnozieloną, Korę turkusową, Annę i Węgielka czarną. Z wierzchu pokrył to warstwą przezroczystego plastiku. No i wyszły takie pamiątkowe drzwi. Zasrańcy!

Wchodzę do pokoju, włączam komputer i wyjmuję z drukarki dwadzieścia zdjęć smoczych pyszczków. Rozkładam na pięć kupek po cztery w każdej i długo przekładam. Węgielek z zainteresowaniem obserwuje, po czym odsuwa mnie i sama zaczyna tasować portreciki.

– Poczekaj – oburzam się. – W tej grupie nie ma inżyniera.

– Timur jest inżynierem, tylko bez dyplomu. I musi być razem z Elaną.

Węgielek lepiej ode mnie wie, co, gdzie i dlaczego powinno leżeć na moim miejscu pracy. Wiedziała jeszcze w czasach, kiedy lubiła odpoczywać na mojej głowie między uszami. Wprowadzam do okularowego komputera listę brygad, po czym wzywam Doriana i Maję.

– Jak tam rozmieszczanie zastępu?

– Kończymy dosłownie za minutę.

– Dobrze. Od tej minuty za pięć minut czekam na wszystkich w małej sali konferencyjnej. Ta minuta to także na powiadomienie zastępu. Koniec łączności.

Uściślam czas, wywołuję na okulary plan stacji i widzę, że do małej sali konferencyjnej trzeba iść cztery i pół minuty. Wołam żony i prawie w podskokach pędzimy korytarzami. Wystraszamy parkę zakochanych, wpadamy na salę, siadamy. Patrzę na zegarek: zostało piętnaście sekund. Z korytarza dochodzi tupot mnóstwa nóg. Smoki wbiegają, potrącają się, przewracają jeden ze stołów, ale wszystkie mieszczą się w terminie. Podnoszę stół, kładę na nim cztery zdjęcia, na innych też po cztery. Smoki tłoczą się, szukają swoich.

– Postanowiłem rozbić zastęp na pięć brygad. Pierwsza brygada przeprowadzi kontrolę stanu prac nad gwiazdolotem, a pozostałe kontrolę budowy supermocnych stacji zero-t, po dwie na każdą brygadę. Ogólną koordynacją zajmie się Dorian. Ja przeprowadzam ogólną inspekcję wszystkiego i rozdaję kierownicze prztyczki. Są pytania?

– Do czego potrzebne są te supermocne stacje?

– Do przerzucania gwiazdolotu. Poza tym, jeśli fizycy nie wymyślą, co zrobić z gwiazdą, za pomocą tych stacji rozrzucimy ją po przestrzeni.Za jednym zamachem stacje będą mogły wyrwać z gwiazdy sztabkę wielkości tysiąc pięćset na tysiąc pięćset na dziesięć tysięcy kilometrów.

– Mój Boże, cały kosmos zapaskudzimy. To będzie mgławica większa od Końskiej Głowy.

– Tak, większa. Jeśli nie ma więcej pytań, wszyscy są wolni. Jutro o ósmej pobudka, a o ósmej zero pięć zbiórka, tutaj. – Wychodzę z sali i idę do siebie.

– Mistrzu, o niczym nie zapomniałeś? – Dogania mnie Anna.

– Na pewno o czymś zapomniałem, ale to nieważne. A o czym chcesz mi przypomnieć?

– Nie powiedziałeś, która brygada jest pierwsza. No, ta, która zajmie się gwiazdolotem.

– Rzeczywiście… Jutro zadecyduję. Albo nie, niech sami zadecydują.

– Pobiją się.

– Dorosłe smoki? Bardzo wątpię. A gdyby się pobiły, wszystkich zwolnię.

Kora sprawdza temperaturę hydromateraca, poprawia poduszkę.

– Nie mogę w żaden sposób przywyknąć. Ranek, krok – i już wieczór, czas się kłaść.

– A kto ci powiedział, że się kładziemy? Lecimy do Platana.

Wyjaśniam przez okulary, gdzie jest Platan, zamawiam w hangarze kuter kosmiczny. Idziemy do hangaru, włazimy w skafandry. Po płycie jedziemy do działu zero-t, gdzie na moją prośbę wyrzucają nas w przestrzeń o pięćset kilometrów od drugiej super, jak krótko nazywają tu moje supermocne stacje. Nawet z takiej odległości druga super robi wstrząsające wrażenie. No, oczywiście, że to wszystko tak właśnie zostało pomyślane. Dziesięć i pół kilometra w najdłuższym wymiarze. Sam ją projektowałem. Ale co innego linia ze strzałkami i cyferki na planie czy nawet model komputerowy, a zupełnie co innego – zobaczyć to w naturze. Odsuwam Węgielka od sterów i sam biorę się do pilotowania. (W hangarze nie pozwoliła mi kierować, powiedziała, że dawno nie praktykowałem). Radzę wszystkim przywiązać się i zaczynam zadzierać nosa – czyli praktykować – na pięciu g.

– Czarku, a może nie trzeba? – zgłasza propozycję Węgielek.

Niechętnie zmniejszam przeciążenie do 0,2 g i podjeżdżam kutrem do placyku cumowniczego, gdzie ostatecznie wyrównuję szybkość ze stacją. Placyk jest, ale uchwytów cumowniczych jeszcze nie ma. System utrzymywania grawitacyjnego też jeszcze niegotowy. Włączam więc banalne elektromagnesy i jadę przez śluzę do hangaru, gdzie czeka już na nas Platan. Wysiadamy. Kiepsko wygląda, mówię mu to. Odpowiada nieokreślonym ruchem ogona. Włazimy w egzoszkielety kosmicznych monterów i lecimy oglądać stację. Od wewnątrz wygląda jeszcze bardziej imponująco, niż z zewnątrz. Gotowy jest tylko szkielet, jeszcze bez przegródek, więc widzialność mamy na kilometry. Wręgi, kratownice, metalowe lasy, ciągnące się daleko. Moje kobiety są pod wrażeniem, ja też, ale – tss, jestem przecież twórcą tego wszystkiego. Zostawiamy je, żeby podziwiały budowniczy bałagan i separujemy się w magazynie, gdzie działa już sztuczna grawitacja.

– Montaż pozostałych stacji jest w tym samym stadium? – pytam Platana.

– Nie. One są o dwa tygodnie za tą. Ta jest pilotażowa. Wyłapujemy w niej wszystkie niedoróbki.

– Dużo ich jest?

– Wystarczy. Choćby trzecia wręga. Zespawaliśmy na zewnątrz, wnieśliśmy do środka i nie możemy obrócić, by wstawić na miejsce. Przeszkadza druga. A cybery już kończą czwartą.

Platan nie robi mi wyrzutów, ale to wina mojego pośpiechu. Należy najpierw zaprojektować stację do końca, potem odtworzyć cały montaż na modelu komputerowym. Śpieszyło mi się.

– A co z gwiazdolotem?

– Tam wszystko łatwe. W porównaniu z tym – szeroki gest łapą – gwiazdolot to zabawka.

– Platan, mam do ciebie takie pytanie. Wiesz, jak na gwiazdolocie zrobione są energokanały? Źródło, odbiornik, między nimi stale otwarty kanał zero-t, żeby uniknąć strat na linii.

– Tak, teraz wszędzie tak się robi.

– Ale my sam gwiazdolot będziemy przerzucali przez zero-t. Czy w chwili przerzutu te kanały nie tego… no, nie przerwą się? Wystarczy ułamek sekundy, i tak wybuchnie...

– Nie jestem energetykiem, ale specjalistka mi mówiła, że na próbach wszystko było normalnie. To niebezpieczne jest tylko w okolicach czarnej dziury. Ale tam tak czy siak kaput.

Opowiadam Platanowi, że jutro przyjdzie mu na pomoc dwadzieścia smoków. Morda mu się wydłuża, oczy smutnieją.

– Wiedzą chociaż, co my tu robimy?

– W ogólnych zarysach. Dwie godziny temu ich zebrałem, godzinę temu instruowałem.

Na Platana przykro patrzeć. Komunikuję mu, że jednym z nowicjuszy jest Dorian. Oczy się rozjaśniają, ogon staje dęba, ale zaraz znowu opada na podłogę.

– Kto jeszcze?

– Timur.

– Też nieźle. Jak on, to pewnie i Elana.

– Jest taka. – Przekazuję mu do okularów całą listę.

– Tonara, Maja, Fala… Tyle bab! Granit. O, do diabła!

– Co takiego?

– Jeśli wśród smoków są śmiertelni wrogowie, to są nimi Lobasti i Granit.

– Dlaczego?

– Granit to biologiczny ojciec Mroka. Kiedy Lobasti kazała Mai włożyć dziecko do inkubatora, Maja wiedziała, że Granit nigdy się na to nie zgodzi, więc na dziesięć dni przed urodzeniem dziecka złożyła podanie o rozwód. Granit to surowy chłop, i, kiedy Maja wyszła z inkubatorium, dał jej w zęby. Potem dziesięć lat nie mogli patrzeć na siebie nawzajem. Niedawno Granit dowiedział się prawdy i przyszedł do Mai prosić o przebaczenie. Maja odwróciła się, zamachnęła i tak dała mu w twarz ogonem, że morda we krwi, a zęby na podłodze.

– Massaraksz! Myślałem, że się nie znają. Granit jest z Sekondu?

– Tak. I o wiele starszy od Mai.

– Zupełnie źle! Mało mam problemów z Mrokiem, jeszcze ich będę musiał godzić.

– Jakie mogą być problemy z Mrokiem? Ludzie nie mogą o nic mieć do niego pretensji. Ciało Mroka-człowieka pochowano na Strefie. A kim jest Mrok-smok, ludzie nie wiedzą.

– A pomyślałeś, co zrobi Mrok, kiedy go znajdziemy?

– Z pewnością… Do diabła! Do trzech tysięcy diabłów!

– O właśnie!

– Trzeba wezwać Doriana i przekręcić na modelu jego zachowa… Nie, to się nie da. Model nie pójdzie, informacja przestarzała. Zbyt wiele nowych, nieuwzględnionych czynników.

– Zapomnij o modelu, sam pomyśl.

– Ale to Mrok! Nie da się przewidzieć, co zrobi.

– Na odwrót. Konkretnych czynów nie da się przewidzieć, ale jego cele są mniej więcej jasne. Postaw się na jego miejscu.

– Nie mogę. Przecież nigdy nie byłem człowiekiem.

– Ale on teraz jest smokiem. To jest jasne jak dwa razy dwa. Ponieważ ci, którzy go wysłali na Strefę, już nie żyją, on zechce zamknąć całą Strefę.

– Tutaj go rozumiem. Sami chcemy ją zamknąć już od dawna.

– Ale nie odważamy się. A on się odważy i pójdzie na całego.

– Będzie zabijał.

– Najpierw spróbuje postraszyć. Podrzuci biurokratom swoją starą sprawę. Z obrazkami, żeby zaznajomili się i przejawili współczucie. Poem zjawi się osobiście. I tu będzie go czekała niespodzianka. Biurokraci nie przestraszą się. Nie dlatego, że są dzielni, o nie. Po prostu oduczyli się bać się o życie. Nie rozumieją: jak to, mogą ich zabić? Są w pracy! Pełnią obowiązki służbowe. Piszą papierki. Czy za to zabijają? Ale Mrok zacznie zabijać. Oczywiście nie na oczach wszystkich, a tak, żeby nie było się do czego przyczepić. Tego poraziło prądem, tamtemu na głowę spadła cegła. Biurokraci będą umierać, a i tak nic nie zmienią. Bo oni nigdy nie byli na Strefie. Bo nich nikt nie polował, nie goniono za nimi jak za dzikimi zwierzętami. Nie wiedzą, co to znaczy biegać przez pole zygzakami, gdy do ciebie strzelają. Nie słyszeli świstu kul nad uchem. Nigdy nie drżały im ze strachu kolana.

Nastrój psuje mi się do reszty. Do magazynu wpadają smoczyce.

– Pokłóciliście się czy co?

– Nie, ale usłyszałem złe nowiny. I przewiduję, że zaraz będzie jeszcze gorzej. Idźcie więc spacerować jak najdalej albo włączcie zagłuszacze, bo jak nie, to będziecie chodziły ponure przez tydzień.

Smoczyce wiedzą, że nie żartuję. W takich chwilach albo sam się odosabniam, albo je uprzedzam, więc posłusznie idą gdzieś w dal, stukając po placu magnetycznymi podeszwami. A mnie przychodzi do głowy genialny pomysł na wykorzystanie mojego daru. Kto powiedział, że narodzinom genialnej idei zawsze towarzyszy radość? Obiektywna rzeczywistość, którą odczuwamy… a niech ją! Przykre do obrzydzenia, w tym sęk

– Platan, wezwij tu Granita i Maję. Natychmiast!

Platan przekazuje i wyjaśnia, gdzie to jest i jak się tu dostać. Potem komunikuje:

– Granit pyta, ile czasu dajesz na przygotowania.

Podłączam się do ich kanału łączności.

– Powiedziałem natychmiast. To znaczy biegiem do zero-t! W podskokach! – wyłączam się.

Wbiegają do magazynu po trzech minutach i czterdziestu sekundach. Uwzględniając, że ubierali skafandry, czas całkiem niezły. Patrzę w okno magazynu, jakbym zachwycał się stacją, ale myślę o tym, co będę musiał zrobić, i znowu czuję obrzydzenie. Odwracam się do nich, przyglądam się ponuro. Zdjęli hełmy, zastygli przy drzwiach, z przerażeniem przestępują z łapy na łapę. Nie proponuję im, żeby usiedli. Czuję obrzydzenie od tego, co będę musiał zrobić, ale oni myślą, że to od patrzenia na nich. Nabierały się na to nawet Węgielek i Anna.

– Zasrańcy! – Rzucam z wściekłością i znów odwracam się do okna. Nastrój zaczyna mi się poprawiać. W końcu pomysł jest genialny i wymyśliłem go ja, nikt inny, tylko ja!

– Co myśmy zrobili nie tak? – pyta Maja.

– Zatkaj się! – Rzucam do niej. – Granit, jak długo z nią żyłeś?

– Dwa lata.

– Łajdak. – Znowu obejmuję oboje ponurym, ciężkim spojrzeniem. – A poprzednie żony też pieściłeś pięścią?

Granit nabrzmiewa złością. Maja już płacze. Zostaje jeszcze trochę przycisnąć.

– A ty czego ryczysz, bekso? Dziesięć lat polowałaś na chwilę, żeby kochanego mężusia zdzielić ogonem po mordzie!

– Nie ruszaj jej! –Wybucha wreszcie Granit. – To nie twoja psia sprawa!

– Nie moja? Wszelka hałastra pcha się do mojej drużyny, i to nie moja sprawa, szczeniaku?!

Granit nie wytrzymuje. Chwyta mnie za skafander.

–Albo przeprosisz niewiastę, wielki przodku, albo…

Błyskawicznym chwytem rzucam go na ścianę, rozsmarowuje się po niej, ścieka na podłogę. Chwytam go za ogon, podciągam do siebie, staję łapą na jego gardle.

– Spłodziłem ciebie, a teraz cię…

– Nie trzeba! – krzyczy Maja, obejmuje moją łapę, próbuje zdjąć z gardła Granita.

– Kochasz go?

– Zwariowaliście obaj czy co?

– Kochasz czy nie?

– Kocham, kocham, kocham!

Usuwam łapę. Maja, pociągając nosem, pochyla się nad Granitem, pomaga mu wstać. Ten kaszle, kładzie łapę na jej ramieniu. No, chyba się udało. Ogarnia mnie radość. Nie, to trochę inna emocja. Przypominam sobie Korę, aksamitną błonkę jej skrzydła, miękki uśmiech. Już się ściskają! Hura!

– No, jak tam, pogodziliście się? – pytam. Granit przebiega po mnie spojrzeniem.

– Idź do diabła!

– No i masz! – zwracam się do Platana. – Jak zwykle: godzisz ich, ryzykujesz zdrowiem, a oni „Idź do diabła”. Wstyd!

Granitowi aż opada dolna szczęka.

– Mistrzu, czy pan specjalnie urządził ten spektakl? – pyta Maja.

– Specjalnie. Potrzebna mi jest niezawodna drużyna, bez wzajemnych obraz i wewnętrznych konfliktów.

– Proszę tak więcej nie robić. To strasznie… niedobre!

Miła dziewczynko, to jeszcze nie koniec spektaklu.

– A wy już się nie kłóćcie, dobrze? Aha, Granit, jeśli nie chcesz odejść z zespołu, mam do ciebie jeszcze jedną sprawę.

– Jaką?

– Będziesz musiał przeprosić Lobasti. Ma pewną zaletę, której ci całkowicie brakuje.

– Jaką zaletę?

– Dziewczynka umie kochać. A żyje z takim łajdakiem, jaki tobie się nawet nie śnił.

– Nie rozumiem. Jaka to ma być zaleta?

– Ty Mai nie uwierzyłeś. Serce ci nic nie podpowiedziało. Nie wybaczyłeś jej, dopóki nie usłyszałeś prawdy od innych. Z nią to jest po prostu niemożliwe. Ona wierzy temu, kogo kocha, rozumiesz? No, to już chyba wszystko. Idźcie, wyśpijcie się. Jutro wcześnie wstajemy. A my tu jeszcze popracujemy.

Obserwuję przez okno, jak się oddalają, poszturchując się i obrzucając wzajemnie wyrzutami. Dobrze, niech para ujdzie. Najważniejsze między nimi już się stało.

– Ty to masz metody, wielki przodku! – Platan ni to się zachwyca, ni to robi mi wyrzuty. – Na Strefie z ludźmi tak ostro nie postępujemy.

– Ile minut minęło od chwili, gdy ich tu wezwałem?

– Około dwunastu.

– No właśnie! Dwanaście minut – i dwa kłopoty z głowy.

– Za to mnie po nocach będą się śniły koszmary.

– Lepiej pomyśl, czym zająć brygady. Aha, Granita wezmę sobie na jakiś tydzień.

Smoczyce poczuły mój dobry nastrój i już wracają. Zaczynamy omawiać szczegóły techniczne. Najgorzej z dostawcami. Ciężki przemysł, zgodnie z nazwą, ciężko się rozkręca. Zwiększy dostawy za pół roku, a może i za osiem miesięcy. Dzięki fizykom, odtwarzającym stacje energetyczne, oraz Platanowi składy opustoszały, został tylko żelazny zapas. Mówię, że to akurat jest przypadek, na który tworzy się ten zapas. Napomykają mi, że trzeba to wytłumaczyć nie im, tylko komputerom, zarządzającym składami. Wchodzę do sieci i wyjaśniam komputerom. Platan znowu jest porażony.

Wracam na Kwantor w mieszanym nastroju. Jestem zmęczony, z Granitem trzeba było jednak lżej. Wszystkie pilne problemy rozwiązane, ale nie ma radości. Siadam na materacu i rozważam, czy się położyć, czy nie. Do zbiórki pozostały dwie godziny. Przez jakiś czas zastanawiam się, czy nie podnieść zastępu w trybie alarmowym i zaraz po zbiórce pójść spać. Nie, za wcześnie. Trzeba jeszcze pomyśleć, jak rozwiązać sprawę Strefy. I jak pogodzić Mroka z biurokratami. I w ogóle o Mroku…

No, to już dochodzi ósma. Czas budzić zastęp. O matko, ale przecież ja nie wiem, gdzie oni są zakwaterowani. Nie szkodzi, okulary wiedzą. Włączam ogólny komunikator i ogłaszam pobudkę, dodając, że za pięć minut poranna zbiórka. Gdzie? W korytarzu przed jadalnią.

Dziesięć sekund przed terminem pojawiam się przed zastępem.

– Zastęp, w dwuszeregu zbiórka! Wyrównać! Baczność! (Już wiedzą, co robić. Mała rzecz, a cieszy). Spocznij! Po śniadaniu udajecie się na drugą super i przejdziecie instruktaż u Platana. On zapozna was ze stanem rzeczy i wyda zadania. Granit zostaje ze mną. Mam dla niego zadanie szczególne. Są pytania? Nie ma. Więc w lewo zwrot i do jadalni marsz!

Smoki entuzjastycznie, ale nierówno, maszerują do jadalni. Sekunda ciszy, a potem… Dziwne, oczekiwałem radosnego ryku, a tu dalej cisza. Wchodzę za nimi. Pachnie wspaniale. Kora, Anna i Węgielek rozstawiły na stołach plastikowe talerze z ogromnymi, parującymi kawałami pieczeni. Młode smoki ostrożnie wąchają, wbijają w mięso noże.

– A gorące nie zepsuje węchu? – pyta któryś.

Siadam przy swoim stoliku, odcinam kawałek, wkładam do gęby. Zagryzam garścią szczawiu. Pycha! Moje żony przyrządzają mięso – palce lizać! Patrząc na nas pozostali też ostrożnie wkładają kawałki do pysków. Nie znają. Biedne dzieci, nie widziały szczęścia. Jak to możliwe, żeby całe pokolenia nie próbowały świeżego mięsa? Czy można żyć na samej syntetyce? Nie, coś źle się dzieje w naszym świecie. Gdzie ja miałem oczy? To nic, dzieci, jestem z wami! U mnie poczujecie niebo w gębie!

Kończę swoją porcję i przysiadam się do Granita. Odsuwa talerz i patrzy na mnie ponuro.

– Słyszałeś o Strefie?

– Dziwne pytanie.

– Dużo o niej wiesz?

– Wszystko. Masa, grawitacja, masa i skład atmosfery, kierunki prądów i głównych ruchów powietrza. Co konkretnie?

– To wiedzą wszyscy. Kto z ludzi zajmuje się Strefą?

Granit próbuje chytrości. Zagaduje mnie, a równocześnie oczami wybiera pytanie do informatorium przez okulary. Wychodzi mu to zupełnie nieźle, ale cała informacja z jego okularów spływa do moich. Zamiast odpowiedzi wyskakuje przed nim w powietrzu olbrzymi czerwony napis:

**TRZEBA MYŚLEĆ SAMODZIELNIE**

Granitowi opada szczęka, ale smok szybko bierze się w garść.

– Chytry trick. Nie przypuszczałem, że coś takiego jest możliwe.

– Wszystko jest możliwe. No więc co z odpowiedzią na moje pytanie?

– Nie wiem. A co z etyką i nietykalnością osobistych plików?

Wypuszczam z siebie lekką skruchę i przesuwam łapą w powietrzu przed nim, ścierając napis. Zamiast niego w powietrzu przed Granitem pojawia się odpowiedź na jego pytanie: imiona, nazwiska.

– Po prostu chciałem ci przypomnieć, że nie zawsze można liczyć na komputer i nie zawsze cała informacja jest zawarta w naszych komputerach, zwłaszcza, jeśli dotyczy ludzi. A mnie potrzebna jest cała, i to najbardziej wiarygodna. Komputery ludzi często podają niewiarygodną informację. Słyszałeś taki termin: ukryte struktury władzy?

– Nie.

– Poczytaj sobie o nich. Zwróć uwagę na metody ich pracy. I najważniejsze: nie dowierzaj ani jednej liczbie, zawartej w komputerach ludzi. Porównuj je ze wszystkimi sąsiednimi.

– Po co?

– Jeśli w jakiejś wiosce mieszka sto dorosłych osób, a w wyborach sołtysa oddano sto jeden głosów, to znaczy, że ktoś sfałszował wyniki wyborów. U ludzi często tak bywa, i to nie tylko na poziomie wioski. Zapamiętuj takir przypadki i postaraj się dociec, komu to było wygodne.

– Ro-ozumiem. Więc na czym właściwie ma polegać moje zadanie?

– Dowiedzieć się wszystkiego o ludziach, zajmujących się Strefą. Kto, co, kto za kim stoi i tak dalej. Wszystko, aż do numeru obuwia i imienia psa najstarszego z jego żyjących przodków. Tym więcej, im stoi wyżej w hierarchii. Kiedy będziesz miał kłopoty z wejściem do obcych komputerów, zakomunikuj mi o tym. Podpowiem ci kilka kluczy i haseł. Zanim zaczniesz działać aktywnie, skonsultuj się z Dorianem w sprawie systemu stałego monitoringu. I codziennie przekazuj informację ze swoich okularów do mojego komputera. A te okulary, które masz, wymień na nowe. Twoje mają za mało pamięci, może jej nie wystarczyć, jeśli będziesz przelewał informację z jakiegoś wielkiego serwera. Jeśli informacja będzie zaszyfrowana, możesz wykorzystać mój komputer. Jest dostatecznie potężny.

– Wiem. Maja mi mówiła.

– No wiec działaj.

– Ile mam czasu?

– Musisz zakończyć gromadzenie informacji na trzy dni przed naszym spotkaniem ze zwinkami. Potem może być już za późno. I jeszcze jedno. Stała powaga często okazuje się maską miernoty. Nie, to nie ja wymyśliłem, to Wolter. A może nie on? Ależ nie patrz na mnie tak podejrzliwie. Słowo smoka, że to nie ja!

Granit parsknął, zakrztusił się, odkaszlnął i – wreszcie – uśmiechnął się.

Uważnie studiuję koniuszek własnego ogona. Przyłapuję się na tym i rozglądam. Jestem sam w pokoju. Jakiś mądrala wymyślił, że studiowanie koniuszka ogona jest w złym guście. Swołocz, nieprawdaż? A to tak mnie uspokaja, pomaga mi się skoncentrować. Staram się wyjaśnić, jak to się stało, że młode pokolenie smoków nie zna smaku mięsa. Wyjaśniam to już od tygodnia, gdy tylko mam wolny czas. Okazuje się, że to nie jest takie proste. Owszem, sam umieściłem w genomie smoków instynktowny wstręt do surowego mięsa. Ale tylko surowego, i w dodatku to nie dotyczy ryb! Ileż to razy sam jadłem tylko oskrobaną z łusek, a nawet dopiero co złowioną rybę! Smakowało!

Dawno już nie zabija się na mięso prawdziwych zwierząt. W fabrykach produkuje się kultury wołowiny, wieprzowiny, baraniny, dziczyzny (mięso jelenia, łosia, słonia, niedźwiedzia) oraz mięsa wielorybiego i drobiu. A biedne smoczki wcinają jarzyny i wszelkie syntetyczne świństwa. Może wszystko zaczęło się od tego, że smoczyce nie mogą karmić niemowląt piersią? Smoczki są sztuczne z natury. Lira spróbowała raz dać swoją pierś Węgielkowi, gdy mała miała zaledwie trzy dni. Potem przez tydzień karmiła własne niemowlę jedną piersią.

Zaledwie zamajaczył zalążek myśli, a już do pokoju wchodzi Anna. Siada i smutno patrzy na mnie. Odsuwam klawiaturę, odwracam się ku niej i mrugam do niej pytająco.

– Mistrzu, po co psujesz dziecko?

– Jakie dziecko?

– Granita. Wrzuciłeś go w najgorsze gówno. To przecież praca dla mnie i dla Kory.

– Aha, ty o tym… Hm… Opowiadałem ci anegdotę o notatniku największego donżuana Paryża? Dziewczyna imieniem Anna Aaron figurowała tam pod numerem 48 na trzeciej stronie skorowidza alfabetycznego.

– Co mają tu do rzeczy twoje bajki?

Przełączam monitor komputera na ekran panoramiczny na ścianie i pokazuję informator „Smoki. Who is who”. Na pierwszej stronie – wielka Anna.

– Rozumiem. Nie chcesz zabłysnąć zbyt wcześnie. Ale i tak mogłeś wysłać kogoś bardziej doświadczonego. Na przykład Doriana.

– Dorian potrzebny jest Platanowi. Zresztą nie przeżywaj tak za Granita. To młody i wytrwały smok, poradzi sobie. Przygotowałem go trochę moralnie. Jeśli przed dziećmi schowa się ostre kanty, zostaną dziećmi na całe życie.

– Ty opierzony krokodylu! Nawet mu nie współczujesz.

– Ba, żeby mnie tak ktoś współczuł. Trzeci dzień nad tym myślę i nie mogę zrozumieć. Zauważyłaś, że młodzi nie znają szczęścia?

– Jak to?

– Nie jedli mięsa.

Zadowoleni energetycy wpadają hałaśliwym tłumem, od razu zaczynają kokietować Annę, obsypują komplementami Korę. Któryś ciągnie za ogon Węgielka. Kiedy ta piszczy i odwraca się gniewnie, pięć smoków równocześnie wyciąga w przód pięść z podniesionym kciukiem. Mrugam porozumiewawczo do Węgielka zza ich grzbietów i wskazuję uszami na środkowego. Węgielek wypuszcza pazury i udaje, że chce rzucić się na niego.

– Karapecie, ty uskrzydlony prosiaku! Tylko ty mogłeś tak bezczelnie pociągnąć swoją babcię za ogon!

Wszyscy się śmieją. Karapet na kolanach z charakterystycznym akcentem Kolchidy błaga ją o przebaczenie. Próbuję zrozumieć, co spowodowało takie najście. No jasne! Stacja energetyczna! Nie wiem, ile sztuk zdążyli naprawić, ale wystarczająco dużo, żeby zaspokoić moje rosnące zapotrzebowanie. Anna wyciąga kielichy (wielkości niedużych ludzkich wiader!), skądś zjawiają się owoce, Kora (kto mógłby pomyśleć?!) pierwsza wznosi toast i wypijamy pierwsze „naparstki” (niecałe trzy litry). Anna przynosi ze swojego pokoju stary syntezator muzyczny, gra kilka akordów, przełącza na gitarę i puszcza coś takiego, aż czerwienieją mi uszy, choć to sama melodia, bez słów. Potem odwraca się do mnie, mruga porozumiewawczo i przełącza na powszechnie znany repertuar. Węgielek zaczyna śpiewać i Anna podchwytuje niższym głosem. Śpiewają o odpływających w dal statkach, o ich żaglach, masztach do nieba, zaczarowanych królach i księżniczkach. Pieśń się kończy. Wznosimy drugi toast, potem trzeci, po czym towarzystwo rozbija się na małe kółka zainteresowań. Anna bierze mnie za skrzydło, ciągnie w kąt i wyjaśnia, że dokonałem nieprawidłowego wyboru. Próbka musi być reprezentatywna, to znaczy ze wszystkich grup społecznych, czy w tym przypadku zawodowych, proporcjonalnie do ich liczebności. A ja wziąłem tylko potomków otrzaskanych kosmików i biosferników. Oni nie tylko nie próbowali mięsa, oni nawet nie widzieli błękitnego nieba Ziemi. Wreszcie rozumiem, o czym ona mówi i cieszę się, że nie miałem racji. Wypijamy jeszcze jeden „naparstek” i próbujemy grać na cztery łapy, cały czas się zmieniając. Wychodzi to niezbyt muzykalnie, za to bardzo wesoło. W ogólnym szumie odprowadzam Karapeta na stronę i wypytuję.

– Nie ma o czym mówić, sam zobaczysz. Zrobiliśmy dobre generatory, dziesięć, co ja mówię, sto razy lepsze od starych! Ba-ach! I podstawiliśmy duże komory, dwa razy większe od starych. Teraz ani jeden kwant nie zdąży dolecieć do ścianek. A jak nie zdąży, ścianki pozostaną zimne! Kiedy naprawimy dziesięć tysięcy stacji, już nie będzie nam straszny wybuch gwiazdy. W razie potrzeby całą masę gwiazdy przeniesiemy w napięcie pola.

– Zuchy! Ale jeśli jednak coś nawali, szepnijcie słówko Platanowi. On przez zero-t rozrzuci tą gwiazdę małymi kawałeczkami w ciągu tygodnia. Mnie teraz niepokoi co innego.Jeśli energostacja zadziała, zwinki mogą nam znowu ukraść energię.

– Czemu nie? Oczywiście, że mogą.

– Trzeba tych chuliganów uprzedzić. Niech stacje modulują poziom napięcia pola sygnałem informacyjnym. Najprostszym, żeby nawet osioł zrozumiał.

– Uprzedzimy na pewno. Już wtedy chcieliśmy, ale nie zdążyliśmy. Tym razem postawimy ogranicznik mocy. Czy będą chcieli, czy nie, komunikat przeczytają.

– Powiedzcie im, żeby zużycie naszej energii także modulowali sygnałem informacyjnym.

Zachwycony Karapet zaczyna zaciągać całkowicie po kolchidzku:

– A-ależ to pomysł! Słuchaj, dla-aczego ja-a na-a to nie wpa-adłem? Za-a ta-aki pomysł trzeba wypić! A-ale pomysł! A-ale wieczór! A-ale babki! Za-a ta-aki wieczór można oddać sto lat życia!

„A-ależ on ma temperament” – pomyślałem. – „Trzydzieści lat spędził na Kolchidzie – i od trzystu lat mówi z jej a-akcentem. Ka-arapet to Ka-arapet”.

Anna prawie siłą wpycha Granita do mojego gabinetu.

– Komunikuj! – rozkazuje mu.

– Lepiej przyjdę później. To chyba jakaś pomyłka.

– Żadna pomyłka, uwierz mojemu doświadczeniu.

– Ale to po prostu niemożliwe.

– Nie dokazuję, nikogo nie ruszam, naprawiam prymus – zaczynam zawodzić. – Wpadają, szumią, przeszkadzają pracować…

– Znowu nieśmiertelna klasyka? – Anna podejrzliwie ogląda moje puste biurko w poszukiwaniu zagadkowego prymusa. – Granit wykopał coś takiego, w co sam nie wierzy. Na czele ministerstwa porządku publicznego stoi mafia. Chytrze się ustawili, nieprawdaż?

– Mafia?!

– No tak. Zorganizowana przestępczość. Pracują ostrożnie, nie wyrywają się, dlatego wszystko cicho. Z drobną przestępczością walczą z powodzeniem, a wielkiej jakby nie było. Jeśli ktoś z nich wpadnie, zmieniają jego wygląd i wysyłają go na inną planetę. A konkurentów wysyłają zgadnij gdzie? Na Strefę.

– Janusz Wołodyjowski jest głową mafii?

– Janusz Wołodyjowski to marionetka. Za nim stoi Greb Kamurawa. W prostej linii potomek samurajów. Ma nawet obcięty koniuszek małego palca.

Przekonała mnie. Jeśli bez małego palca, to znaczy, że prawdziwy samuraj. Trzeba pomyśleć. Prawo przeciw mafii, stojącej na straży prawa, jest bezsilne. Trzeba obmyśleć wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów. Trzeba wszystko dokładnie obmyśleć.

– … Ze mnie wolno robić głuptaskę, a z niego nie?

– Anno, mamy społeczeństwo zgodne z prawem, czy…

– Czy! W społeczeństwie zgodnym z prawem nad przestrzeganiem prawa czuwa nie mafia, a ktoś zupełnie inny. Zresztą to nie u nas, tylko u nich.

– Coś ty, Anno? Miałem o tobie lepsze mniemanie. Jesteśmy jednym narodem, jedną cywilizacją.

– Otwórz oczy, Mistrzu. Jaki ludzie mają typ ustroju społecznego?

– Demokrację.

– A smoki?

– Nie zadawaj głupich pytań.

– Głupich? Brałeś chociaż raz udział w wyborach, obojętnie, czy w ludzkich, czy w naszych? Przysłali ci chociaż raz zawiadomienie?

Patrzę na Annę zaskoczony. Że jestem domatorem, to wszyscy wiedzą. Ale żeby zagłosować, nie trzeba wychodzić z domu, wystarczy usiąść przy komputerze.

– A jaki jest ustrój u smoków?

– A bo ja wiem? Ni to feudalizm, ni to komunizm, ni to anarchia.

I takiej odpowiedzi udziela socjolog z czterowiekowym nieprzerwanym stażem! Nieźle, co? Trzeba to będzie przemyśleć. Później. Albo jeszcze lepiej – przekonsultować z Korą. Jak mawiał Smok Gorynicz, jedna głowa dobrze, a trzy jeszcze lepiej.

– No dobrze, w bieżącej polityce się nie orientuję, ale kiedy robiłem z ciebie głuptaskę?

– Ze mnie, z kapliszy, ze stabilistów. Kto na Sekondzie podszywał się pod Czarnego Ptaka? A ta twoja bezludna wyspa? Ale to nieważne. Chcesz postraszyć Greba prawem? On ma w nosie twoje prawo! Uważa się za stojącego ponad wszystkimi prawami. Ludzie są jego bydłem, on – ich pastuchem. A ty musisz mu pokazać, że istnieje siła stojąca o tyle wyżej od niego, o ile on jest powyżej prawa. Musisz zrobić z niego naleśnik, wdeptać go w błoto, wytrzeć o niego łapy i to tak sobie, od niechcenia.

– Anno, ale…

– On nie przyjmie uczciwego pojedynku. Będzie się z ciebie śmiał. Musisz pokonać go jego własną bronią. Powtarzam ci to, czego uczyłeś Lirę.

– Wtedy była inna sytuacja. Nas było mało, wrogów wielu. Blefowaliśmy.

– Teraz to się tak nazywa… No, no. Do diabła! Wrogowie są zawsze wrogami. Jeśli ty nie chcesz powalać sobie łapek, to ja się z nim rozprawię sama.

Tylko tego brakowało! Z mafią nie ma żartów. Mogą zabić nawet smoka.

– Dobrze. Przejdźmy do szczegółów.

Annie od razu poprawia się humor. Ciekawe, kto tu z kogo robi durnia?

– A wiesz, dlaczego on ma takie dziwne imię? – pyta. – Jego prapradziadek ze strony matki miał na imię Gleb i pochodził ze wschodniej Europy. Granit to wykopał. Zuch chłopiec!

– Temu chłopcu niedługo stuknie siedemdziesiątka.

Ogon aż rwie z bólu. Przy każdym ruchu mój kręgosłup przebija rozpalona igła. Anna podbiega do mnie z apteczką, przyciska kolanem do ziemi zdrową część ogona i próbuje rozgarnąć łuski, żeby mi wstrzyknąć środek przeciwbólowy. Wreszcie! Przestaję czuć koniec ogona. O Boże, jak przyjemnie!

– Zapisałeś się do masochistów czy co? – Anna podnosi okulary na czoło i połyka słone łzy. – Tak się okaleczyć!

– Człowiek czuje mój ból, ale nie ma ogona, więc nie może umiejscowić go w żadnej części swojego ciała. Lira mówiła, że efekt jest niesamowity.

– Jeśli ci nie żal siebie, mógłbyś ulitować się chociaż nade mną.

– Zagoi się. Jesteśmy przecież smokami. Dzięki, że w porę się wmieszałaś. Jak to zrobiłaś?

– Laserem podczerwonym. Masz w okularach taki sam. A dlaczego on nie wystrzelił?

– Nie zdążył. Zamgliłem mu okulary.

Wzywam cybery, które wynoszą śpiącego człowieka. Trzeba włożyć go do biowanny, żeby odrósł mu mały palec i zaleczyło się świeże oparzenie na ręce, wymienić bransoletę na prawdziwą, pełną bezsensownej elektroniki, wysłać go do domu, zamontować w korytarzu, toalecie i spiżarni komory zero-t, ustawić meble jak było. Roboty huk.

Greb Kamurawa obudził się wcześnie. Prawa ręka mu ścierpła i praktycznie jej nie czuł: leżała na niej głowa Miriam. Nie mógł przypomnieć sobie, żeby ją wezwał, ale bez wezwania by się nie zjawiła – znała swoje miejsce. Greb poruszył się i dziewczyna od razu się obudziła. Spojrzała mu w oczy, niepewna jego nastroju.

– Nie bądź na mnie zły, mój panie. Wczoraj śpieszyłam się jak mogłam.

Greb włożył rękę pod głowę i zamyślił się. Ciągle jeszcze był pod wrażeniem niezwykle wyrazistego, fantastycznego snu.

– Czy coś się stało? Mam odejść? – zapytała ze strachem dziewczyna.

– Zostań. Wiesz co, śniło mi się, że walczyłem z Wielkim Smokiem. – Nagle zapragnął podzielić się tym wspomnieniem z Miriam.

37

– I pokonałeś go?

– A czy Wielkiego Smoka można pokonać? Nie. Ale on bardzo się zmartwił, kiedy chciałem go przeciąć laserem na pół. I ukarał mnie.

– Opowiedz mi o tym, panie. Umiem interpretować sny.

– To nie był zwykły sen. Śniło mi się, że moją sypialnię ktoś wyciął z wieżowca i przeniósł na Strefę. Budzę się, podchodzę do okna, a za oknem las. Otwieram sejf w ścianie, a sejfu nie ma. Dziura na zewnątrz, jak drugie okno. Wychodzę na korytarz – i jestem na polanie. Moja sypialnia stoi na niej jak tekturowe pudło na trawniku. Jakby wycięto ją z budynku ostrą brzytwą. Na krawędzi trafiła się żelazna rura, więc przecięło ją wzdłuż. A niedaleko leży smok.

– Pilnował ciebie?

– Nie, wygrzewał się na słoneczku, przyglądał się mrówkom. Obchodziłem go mniej niż mrówki. Rzuci przez ramię kilka słów i znów nosem w trawę. Mówi, że tu, na Strefie, mrówki mają zadziwiająco wysoki stopień organizacji społecznej. Że przez nie się tu zatrzymał, że musi to zbadać. Ale później, nie teraz, najpierw trzeba ustabilizować gwiazdę, a dopiero potem badać mrówki. Wkładam okulary komputerowe, ale komp nie może z nikim się połączyć.

– Tak bywa we śnie. Krzyczysz, ale nikt ciebie nie słyszy.

– Myślisz, że urodziłem się z komputerem?

– Tak jakby, panie. On stał się nieodłączną częścią ciebie.

Przez kilka sekund Greb w milczeniu rozważał tą myśl. Potem ją odrzucił.

– Wiesz, dlaczego Smok przeniósł mnie na Strefę? Za pół roku jeden z nich zechce zająć się polityką. I ja będę mu przeszkadzał. Coś takiego może przydarzyć się tylko we śnie.

– Smoki widzą przyszłość.

– Nic nie widzą, do diabła! Ich fizycy rozpieprzyli gwiazdę, która grozi wybuchem. Teraz on się zastanawia, czy ją ratować, czy zgasić. Szkoda mu zabijać gwiazdę, a mnie pogrzebać żywcem na Strefie – nie. Mówi, że prawa ludzi go nie interesują, on ich nie zna, a podług sprawiedliwości Strefa dla mnie jest najwłaściwszym miejscem. Wyjąłem laser, chcę rozciąć smoka na pół, a on machnął łapą i oślepłem. Nie do końca, ale nic nie widzę. Przed oczami nie czerń, tylko biaława mgła z kolorowymi przebłyskami. Laser w mojej dłoni rozgrzał się, aż zaczął parzyć, i wyrzuciłem go. Ślepota od razu przeszła. Smok, wyobraź sobie, zmartwił się i obraził. Ostra dziecięca obraza pół na pół z niezadowoleniem. Nie z gniewem, a właśnie ze zmartwieniem. I do tego ogromne zdumienie. Patrzy, jak dymi się trawa pod laserem, i dziwi się. Tak szczerze, bezpośrednio, po dziecięcemu, jak małe dziecko. Jak mogłem się na coś takiego poważyć.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Przecież to sen. Sam jakbym był w nim na wpół smokiem. Wszystko odczuwałem jak on. Jak pachnie trawa, jak mu w brzuchu burczy z głodu. Skończywszy rozkoszowanie się widokiem mojego lasera, westchnął i mówi: „Chciałeś zabić smoka. Będę musiał ciebie za to ukarać. Będziesz żył wiecznie i wiecznie będziesz służył smokom”. I znów nos wetknął w trawę, zobaczył coś ciekawego. Aż rozjaśnił się cały z radości. Rozgarnia źdźbła trawy, mamrocze pod nosem, że każdy entomo… nie, myrmekolog za coś takiego odda rok życia. Zawołałem go, ale on tylko rzucił przez ramię „Czekaj” i dalej czołgał się po trawie. Nie wiem, co mnie napadło, ale wyjąłem z kieszeni mały granat z gazem łzawiącym i rzuciłem mu pod nos. On jakby tylko na to czekał. Machnął łapą, mój granat poleciał w krzaki. Całym ciałem odwrócił się do mnie, usiadł na tylnych łapach i ogonie, przednie założył za plecy. Popatrzył mi w oczy – i poczułem ból w plecach. Początkowo słaby, potem zaczął się nasilać, aż wreszcie zrobił się tak silny, że zawyłem jak wilk i zacząłem toczyć się po ziemi. A nade mną wisi Smok. Twarz zła, olbrzymie wyszczerzone kły, oczy czarne, jakby same źrenice.

– Chciał cię zabić?

– Nie, dać nauczkę. Palcem mnie nie dotknął. Dał mi do zrozumienia, że jestem dla niego nikim, że może mnie zabić spojrzeniem. Postał nade mną może z minutę, po czym ból zaczął zanikać. Usiadłem na trawie, a on podniósł łapę i prosto na dłoń spadła mu skądś błyszcząca metalowa skrzynka. Smok chwycił mnie za prawą rękę i włożył ją do skrzynki przez powstały w jej ściance otwór. We wnętrzu coś ścisnęło moją rękę na sekundę, a kiedy ją wyrwałem, miałem na prawym nadgarstku bransoletę. Smok mówi: „Jesteś głupi i zapominalski. Ta bransoleta będzie ci przypominała o naszym spotkaniu. Nie próbuj go zdjąć. Zmieniłem twój organizm. Bransoleta stabilizuje twoją pamięć. Jeśli ją zdejmiesz albo uszkodzisz, twoja pamięć będzie słabła z każdym dniem. Za miesiąc nie zdołasz przypomnieć sobie, co się z tobą działo poprzedniego dnia, za pół roku – jak się nazywasz, za rok zamienisz się w całkowitego idiotę. A teraz zaśnij”. Upadłem na trawę i zasnąłem. – Greb spojrzał na Miriam. Oczy dziewczyny zaokrągliły się z przerażenia, dłoń zasłoniła usta.

– Co?

– Bransoleta. Masz ją na ręce.

Greb gwałtownie usiadł na łóżku, wyszarpnął rękę spod dziewczyny i wpatrzył się w bransoletę: szeroką, masywną, koloru stalowego ze skomplikowanymi wzorami geometrycznymi, dokładnie otaczającą nadgarstek. Ani zamka, ani śladów spawania. Jednolity kawałek stali. Greb spróbował ją przekręcić i zaklął. Mały palec lewej ręki był cały i kończył się brudnym, złamanym paznokciem. Greb najpierw ostrożnie pomacał palec, potem mocno go ścisnął. Nic niezwykłego. Skóra na nim była równie opalona jak na pozostałych palcach.

– Którego dzisiaj mamy? – zapytał ochryple.

– Dziewiętnastego marca.

– Doba. Nawet mniej. Ale jak on?... W ciągu doby? Nie, on nie mógł...

– Kto?

– Zapomnij.

– Już zapomniałam. Panie… Cokolwiek by się stało, będę zawsze z tobą.

Greb położył rękę na jej ramieniu, pieszczotliwie przesunął po nim dłonią aż do łokcia – i spochmurniał. Jeszcze raz przeciągnął dłonią po jej ręce.

– Zaraz wybieram się na Zielony Brzeg. Pamiętasz plażę pod skałą? Chcesz się tam znowu wykąpać?

– Chcę.

Greb wstał z łóżka, narzucił jedwabny szlafrok, zdjął ze ściany i wyjął z pochwy dwuręczny miecz samurajski. Przyłożył do niego rękę, porównując kolory miecza i bransolety.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

Dziewczyna zbliżyła się do niego. Ostrze świsnęło w powietrzu.Miriam krzyknęła z przerażeniem i zasłoniła się ręką. Metal brzęknął o metal. Miecz rozciął skórę i mięśnie, ale zamiast kości pod nimi błysnęła stal. Krople krwi zabębniły po podłodze.

– Jesteś robotem! – wykrzyknął Greb. – Prawdziwa Miriam ma skórę jak aksamit! I boi się kąpać pod skałą! Jesteś podróbką!

Dziewczyna-robot ze strachem pokiwała głową. Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła druga Miriam.

– Wytrzyj podłogę i wyjdź. Nie poradziłaś sobie z zadaniem – powiedziała do pierwszej.

Ta chlipnęła, podniosła z krzesła swoją bluzkę i zaczęła wycierać nią zdrową ręką krew z podłogi, przyciskając zranioną do piersi.

– Panie… – powiedziała druga Miriam. – Cokolwiek by się stało, będę zawsze z tobą.

Pierwsza Miriam skończyła wycierać podłogę, wzięła z krzesła ubranie i, pochlipując, wyszła na korytarz. Greb rzucił się za nią, wbiegł na korytarz i zamarł wpół kroku zdumiony. Dziewczyna szła po korytarzu to znikając, to znów się pojawiając, jakby część drogi przeszła niewidzialna. Zanim doszła do drzwi łazienki, już znikła, rozpłynęła się w powietrzu.

– Ty też jesteś robotem? – zwrócił się Greb do drugiej Miriam.

– Nie pytaj mnie o to, panie. To dla mnie temat zakazany.

– Jesteś robotem. Co z prawdziwą Miriam?

– Zapomnij o niej. Masz mnie.

– Co z prawdziwą Miriam? – powtórzył Greb.

– Zaraz się dowiem. – Miriam numer dwa podbiegła do komputera i zaczęła żwawo naciskać klawisze. – Smok mówi, że jesteś jej niegodny. Niewolnik nie ma prawa mieć niewolników. Zapomnij o tym, mój panie. Masz mnie.

Greb odwrócił się tyłem do niej, położył lewą dłoń małym palcem na krawędzi stołu i podniósł miecz. Metal brzęknął o metal. Miriam zdążyła nakryć palec swoją dłonią i teraz patrzyła z przerażeniem, jak ślad po mieczu zabarwia się na ciemnoczerwono. Do pokoju weszła trzecia Miriam. Pieszczotliwie objęła drugą za ramiona i lekko popchnęła ją ku drzwiom.

– Tobie po prostu się nie udało. Wszystko robiłaś prawidłowo. Panie – numer trzy zwróciła się do Greba. – Co by się nie działo, zawsze będę z tobą.

– Po co ona to zrobiła?

– Żebyś się nie zranił. Panie... Ciężko mi o tym mówić, ale nie jesteś już samurajem. Samuraj nie może być niewolnikiem, a niewolnik samurajem. To nie ja, to smok tak mówi.

Greb ścisnął obiema dłońmi chropowatą rękojeść i powoli odprowadził miecz w celu zadania ciosu. Dziewczyna zadrżała, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Panie mój, proszę cię, nie rób tego. Ja nie chcę iść tam – gest w kierunku drzwi.

Greb ryknął, odrzucił miecz i padł na dywan.

Na porannym apelu smoki denerwują się, niespokojnie rzucają spojrzenia za swoje grzbiety.

– Przestańcie się kręcić. To mnie boli ogon – mówię. – Poświęciłem go w imię powszechnej sprawiedliwości. Teraz o sprawie. Agregaty siłowe gwiazdolotu są zamontowane. Podstawowe wyposażenie gotowe. Supery jeszcze nie są ukończone, ale pojutrze będą już mogły funkcjonować z minimalną mocą. Do przemieszczania gwiazdolotu to zupełnie wystarczy. Startujemy za trzy dni. Najpierw zbadamy przestrzeń wokół Kwantora, potem niewielkimi skokami ruszamy w kierunku Słońca. Pytanie do wszystkich: dlaczego niewielkimi?

– Stożek przyczynowości – rozlega się czyjś głos z drugiego rzędu.

– Zgadza się, choć w tym przypadku lepszy byłby termin sfera. Wydarzenie miało miejsce prawie rok temu, więc bez sensu byłoby szukanie jego śladów tam, gdzie nie zdążyło jeszcze dotrzeć światło albo pole grawitacyjne nowej gwiazdy. Otrzymujemy więc sferę o promieniu około dziewięciu miesięcy świetlnych z centrum w punkcie aktualizacji skradzionej energii. Kierunek na ten punkt znamy, odległość do niego nie. Będziemy go szukać. Są pytania?

– Kto poleci gwiazdolotem?

– Pytanie nieścisłe. Prawidłowiej byłoby zapytać, kto będzie pracował na gwiazdolocie. Spać będziemy tu, na Kwantorze. A pracować tam będą ci, którzy nie pracują na superach.

Z rzędów dobiegło głośne „u-u-u” zawiedzionych. Rozpuszczam szyk i śpieszę do siebie. Dzisiaj będę jadł sam, żeby nie psuć wszystkim apetytu bólami ogona.

– Komandorze, można zapytać, kto przyciął ogon Wielkiemu Smokowi? – Dogania mnie Timur.

– Czemu nie? Zapytać można – odpowiadam niegrzecznie i zatrzaskuję mu drzwi przed nosem. Z zewnątrz dochodzi uprzejme delikatne skrobanie.

– Komandorze, mam najświeższe nowości.

Staranie tłumię ciekawość, żeby nie poczuł, i wytężam wszystkie posiadane mózgi. Nowość jest dobra – to czuje się po głosie. Nie z pochylni – tam nic tak dobrego nie mogło się wydarzyć. O Strefie i samuraju Timur nie wie, zresztą tam też nie pachnie dobrymi wieściami. Może gdzieś ocalały moje palmy z wielkimi kokosami? Nie, o nich on też nie wie. Co pozostaje?

– Chcesz zakomunikować, co jedli na śniadanie amazonka Lobasti i pozostali zaginieni?

– Pan już wie… – Timur jest bardzo zawiedziony.

Udało się! Strzeliłem – i trafiłem. Ach ty Czarku, psi potomku! Czy raczej sukinsynu…

– Wchodź, niezamknięte.

Wchodzi i drepcze koło drzwi.

– Siadaj i opowiadaj szczegółowo.

– Energetycy zarejestrowali sygnał. Okazało się, że jest modulowany. Składa się z dwóch rodzajów impulsów, które można zinterpretować jako kropki i kreski…

– Timur, nie odwracaj kota ogonem. Zacznij od końca.

– Dobrze. Lobasti prosi rodziców o wybaczenie– odpowiada i milknie w oczekiwaniu naprowadzającego pytania. Nie doczeka się. Jeśli czegoś nauczyłem się przez te cztery wieki, to zdobywania informacji okrężnymi drogami. Wzywam przez komputer Tonarę i Lamoura. Przybiegają po chwili.

– Opowiedz im, Timur – mówię i odwracam się do komputera.

Udaję zajętego swoimi sprawami, a zarazem odwracam jedno ucho ku tyłowi i wszystko słyszę. Wzywam przez okulary Karapeta, gratuluję mu powodzenia i dyktuję listę pytań do Lobasti. Nagle do pokoju wpadają Kora, Anna, Platan, Dorian i Granit. Bezceremonialnie wypraszają gości.

– Mistrzu, Platan umieścił w komputerze model Kamurawy. Nie złamałeś go. Mówiłam ci, że z nim trzeba ostrzej. Teraz zbiera informację o tobie, a jutro zacznie działać przeciw tobie.

– Jaki z tego wniosek? Na Strefę go?

– Nie. Wezwij go tutaj i kontynuuj spektakl.

Miriam numer trzy przeraziła się śmiertelnie, gdy Greb otrzymał rozkaz udania się na Kwantor, ale zapewniła go, że trzeba się śpieszyć, gdyż w przeciwnym razie Smok zjawi się tutaj – i kryska. Zniszczy go w trymiga!

– Proponujesz zjawić się na ich wezwanie czy uciekać?

– Wszystko jedno, byle szybko.

– Ja ucieknę, a ty ze mną będziesz jako lokalizator.

– Panie, my coś wymyślimy. Kiedy dojdziemy do kabin zero-t, wyślesz mnie na jakiś przypadkowy adres, a sam zaraz skoczysz tam, gdzie ci potrzeba. Ja nie zobaczę, jaki adres wybrałeś, a oni nie zdążą wysłać mojej zastępczyni.

– A co mam zrobić z bransoletą? W niej na pewno jest lokalizator.

– No to nie wiem. Potem pomyślimy, jak go zagłuszyć, a teraz musimy iść na Kwantor.

– Jesteś przecież od samego początku zaprogramowana na skłanianie mnie do tego.

– Mój program oparty jest na psychosomatycznym modelu oryginału. Nie znam jeszcze założonych w nim ograniczeń oprócz konieczności bronienia ciebie.

Greb przebrał się w kombinezon kosmodesantowca, powiesił przy boku koburę z laserem, spojrzał w lustro. Odbicie mu się podobało. Stanowcza linia warg, stalowe spojrzenie, krótka fryzura. Spojrzał na zegar – czasu było bardzo mało. Zakomunikował domowemu komputerowi, dokąd się wybiera i wyszedł z mieszkania. Miriam też zdążyła się przebrać, szła za nim.

Wychodząc z zero-kabiny na Kwantorze, omal nie wpadł pod łapy czarnej smoczycy. Odskoczył i przycisnął się plecami do ściany. Wielki szmaragd na piersi smoczycy na moment rozbłysnął zielonym światłem. Smoczyca zdziwiła się, przelotnie spojrzała na Miriam i wpatrzyła się w Greba.

– Jesteś tutaj? Nie na Strefie? – zapytała ze szczerym zdumieniem. – Doigrałeś się, głuptasku – rzuciła jeszcze i poszła dalej.

Greb rozejrzał się. W obie strony ciągnął się uchodzący w dal korytarz. W instrukcji było napisane tylko, że ma przybyć tu przed określoną godziną i nic więcej. Usiadł pod ścianą na podłodze, położył dłonie na kolanach i zamarł, pogrążony w rozmyślaniach. Obok usadowiła się Miriam. Nie była przyzwyczajona do siedzenia na kolanach po japońsku, cały czas zmieniała pozycję. Obok przechodziły dwa smoki, czarny i zielony. Zielony rzucił mimochodem:

– Zobacz, nowa zabawka Mistrza.

– Kto? Samiec czy samica?

– Samiec. Samica to cyber ochrony.

– Biedna istota.

Greb nie zrozumiał, do kogo odnosiła się ostatnia uwaga. Co do ochrony też było dwuznaczne: ochrania czy pilnuje? Typowo smocze wypowiedzi. Pytań po nich jest dwa razy więcej niż przed nimi. Jak one same siebie rozumieją?

Dziesięć sekund przed terminem pojawił się cyber i kazał Grebowi iść za nim. Wprowadził go do słabo oświetlonego pokoju, sam zamarł pod drzwiami. Jedna ze ścian była w całości z półprzeźroczystego szkła, za nią znajdowała się jasno oświetlona sala posiedzeń smoków. W pokoju Greba światło było wyłączone i szybko zrozumiał, że z tamtej strony go nie widać. Dziwne… Greb usiadł po japońsku od ścianą i przygotował się na długie oczekiwanie. Sam często tak postępował z interesantami.

Po pół godzinie sala wypełniła się smokami, rozjaśniły się ekrany na ścianach i zaczęło się omawianie procesów, zachodzących wewnątrz gwiazdy. W jednym ze smoków Greb poznał tego, którego widział we śnie – nie, na jawie! – na Strefie. Słyszalność była kiepska, w astrofizyce Greb się nie orientował, a po frazie „ kwadratowa (a może „kwwadratyczna”?) norma Laplace’a w operacji…” zupełnie stracił wątek. Zrozumiał tylko, że fizycy wybierają chwilę, kiedy trzeba będzie coś z gwiazdą zrobić, żeby ta nie wybuchła. Omawiano dwa warianty jej stabilizacji: momentalny i dwufazowy. Prawie wszyscy opowiadali się za drugim, gdyż pierwszy wymagał bardzo precyzyjnego wyboru chwili i siły oddziaływania. Greb spojrzał na dziewczynę. Miriam słuchała w napięciu.

– Rozumiesz, o czym oni mówią?

– Oczywiście.

– Prawdziwa Miriam nie miała o astrofizyce pojęcia.

– Wybacz mi, panie. To się już więcej nie powtórzy.

– Słuchaj. Potem mi wyjaśnisz.

Dwie godziny później fizycy ciągle omawiali problemy wnętrza gwiazdy. Greb podniósł się i podszedł do cybera przy drzwiach.

– Gdzie tu jest toaleta?

– Cierp. Czekaj. Wychodzenie zabronione.

– Jak ty rozmawiasz z człowiekiem! – Oburzyła się Miriam.

– Status socjalny danego człowieka jest niższy od statusu socjalnego cybera.

„Świetna scena! Skarb dla reżysera” – pomyślał Greb. – „Dwa cybery niedwuznacznie wskazują mi moje miejsce”. Wzruszył ramionami i oddał mocz w kącie. Po chwili wjechał robot-sprzątacz, podał Grebowi wiadro ze szmatką i szwabrę. Miriam chciała zabrać mu wiadro i szmatę, ale on z uśmiechem wetknął jej w ręce bezużyteczną szwabrę i wytarł swoją kałużę szmatą, po czym znowu usiadł przy ścianie i zamarł.

– Panie, powinieneś był pozwolić mi posprzątać. Takie rzeczy nie powinne ciebie rozpraszać. Musisz przygotowywać się do walki.

Greb z zainteresowaniem popatrzył na dziewczynę i pieszczotliwie przejechał dłonią po jej ramieniu. Zachowywała się dużo mądrzej od prawdziwej Miriam, która udawała głupią.

– Twoja skóra zrobiła się aksamitna. Jak u prawdziwej.

– Tak miało być. Komórki do klonowania wzięto od niej. U pierwszej Miriam wyczułeś różnicę tylko dlatego, że dopiero wyszłyśmy z biowanny. Skóra nie zdążyła się przewietrzyć.

Minęły jeszcze dwie godziny. Fizycy skończyli i ruszyli do wyjścia. Tylko Wielki Smok pozostał na miejscu. Jeszcze przez chwilę przeglądał swoje notatki, po czym spojrzał na przeźroczystą ścianę. Zrobił ruch palcami i w pokoju Greba zapłonęło jasne światło. Od strony smoków, na odwrót, zgasło. Zamiast ciemnego szkła Greb widział teraz przed sobą lustro. Wielki Smok włączył też transmisję dźwięku z tamtej strony, przy czym, może przez pomyłkę, na pełną moc. Lekki tupot łap wypełniających salę smoków grzmiał jak bęben, głosy ryczały na granicy bólu. Greb zmarszczył się, ale nie ruszył się z miejsca.

– Spójrzcie na tego człowieka. To przywódca największego klanu mafii. Chciałem wysłać go na Strefę, ale on źle się zachowywał. – Greb poznał głos Wielkiego Smoka. – Zapamiętajcie go i nie krępujcie się go wykorzystać.

– Rześko wygląda.

– Nie naciskałem na niego – uśmiechnął się Wielki Smok. – Musi wyglądać naturalnie.

– Wszystkie człowieki takie jednakowe – rozległ się żeński głos. – A do tego w ubraniu.

– Greb, rozbierz się – rozkazał Wielki. Greb powoli zaczął się rozbierać, składając dokładnie ubranie. Znowu czuł razem ze Smokiem. Tym razem obrzydzenie i pogardę.

Tymczasem Smok krótko, ale dokładnie opisał strukturę organizacji, kierowanej przez Greba, szczególnie dużo miejsca poświęcając punktom styczności i oddziaływania na aparat państwowy. Sypał imionami, stanowiskami i możliwościami każdego człowieka, kontrolowanego przez Greba. Człowiek zdumiał się zakresem i ścisłością informacji. Z własnego doświadczenia wiedział, że, do wyłożenia tego wszystkiego w krótkim referacie trzeba wiedzieć dziesiątki razy więcej. Pod koniec wykładu Wielki Smok pozwolił Grebowi ubrać się.

– Stworzonej przez niego organizacji lepiej nie niszczyć, tylko ją wykorzystać – kontynuował Wielki Smok. – Za jakiś czas zalegalizujemy ją i stanie się jeszcze jedną strukturą utrzymywania porządku. A na zakończenie chcę uprzedzić. Jeśli Greb przestanie słuchać albo nie poradzi sobie z zadaniem, możecie go usunąć. Tylko najpierw zdejmijcie świeżą kopię jego pamięci, zapiszcie ją w cybera-androida i umieśćcie cybera na jego miejscu.

– Zabić go czy wysłać na Strefę? – zapytał ktoś.

– Do wyboru. Ze swoimi przyjaciółmi postępował i tak, i tak. Myślę, że na Strefę będzie zabawniej. Zobaczymy, jak go tam powitają. Człowieku, możesz już iść.

Cyber opuścił swój posterunek i zniknął za drzwiami. Greb wstał i spojrzał na zegarek. Dręczyli go cztery i pól godziny tylko po to, żeby popatrzyło sobie na niego z dziesięć smoków. Wybierając się na Kwantor dał sobie słowo, że nie weźmie na poważnie niczego, co tu się z nim stanie. Wiedział, że smoki będą go tresowały. Ale jak tu nie brać poważnie tej pogardy, jaką wylał na niego Wielki Smok? Jak zapomnieć, że one wiedzą wszystko o nim i jego organizacji? Nawet nie jest im potrzebny. Organizacja może się przydać, a on sam jest zbędny!

– Wszystko będzie dobrze, uwierz mi. – Miriam ścisnęła jego dłoń.

– Gdzie myśmy się pierwszy raz spotkali?

– W parku. Dopiero co przyjechałam. Zobaczyłeś mnie i kazałeś swoim ludziom zaprowadzić mnie do twojej willi.

– Skąd ty to wiesz? Przecież jesteś cyberem-androidem. Blaszanką!

– Nie wiem. Po prostu pamiętam.

– Powiem ci. Smoki przepisały w ciebie pamięć prawdziwej Miriam.

Dziewczyna zamilkła i tylko mocniej ścisnęła jego rękę. Nagle się zatrzymała.

– Gospodarzu, odwołują mnie. Zrobiłam coś nie tak. Żegnaj, gospodarzu! – Puściła jego rękę i pobiegła z powrotem korytarzem. Greb patrzył za nią, dopóki nie znikła za zakrętem. Odwrócił się i poszedł w kierunku kabin zero-t. Z najbliższej wyszła Miriam, zobaczyła go, ucieszyła się i podbiegła, szczebiocząc radośnie. Na tylnej stronie jej dłoni Greb zobaczył czerwoną bliznę. To była inna Miriam, wczorajszy numer drugi.

– Gospodarzu, tak się cieszę, że pozwolili mi do ciebie wrócić…

„Teraz tak już będzie” – pomyślał. – „Nic stałego, żadnej stabilizacji, wszystko czasowe. W każdej godzinie, minucie, sekundzie, mogą ze mną zrobić wszystko, co zechcą. To samo robiłem z ludźmi. Surowiej, nie w tak wyrafinowany sposób, ale robiłem. Wielokrotnie. Teraz sam… Wszystko mają pod kontrolą, nie ma wyjścia. Pozostaje mi tylko zachować twarz”.

– Mistrzu, przeszedłeś samego siebie. Jeśli on czuł to samo, co ja, to wszystko się udało. Taka pogarda, aż chce mi się powiesić. Mógłbyś już przełączyć się na coś przyjemniejszego.

– Udało się?

– Tak. W pełni. Nie próbował zatrzymać dziewczyny i nie rozciął nowej laserem na pół. Ten epizod był papierkiem lakmusowym. Ale od czasu do czasu trzeba to umacniać. Dawać mu najprostsze i najbardziej bezsensowne zadania, takie, które może wykonać każdy cyber. Czarku, ja już nie mogę. No, pomyśl o czymś przyjemnym. Przestań gardzić samym sobą.

Przelotnie czuję złośliwą satysfakcję. To był plan Anny, niech więc sama poczuje na sobie jego działanie. Wraca ponura Kora, w milczeniu wypycha mnie z sali na korytarz. I dalej. Kierowany przez nią i Annę, wchodzę do zero-t. Kora uruchamia kabinę i wychodzimy nie wiadomo gdzie. Wygląda na Ziemię. Wczesna jesień, czyli nie Ziemia. Albo Ziemia na południe od równika. Kora prowadzi do gaiku. Na jego skraju leży brezent, na nim wina i zakąski.

– Odpręż się – mówi Kora i nalewa mi coś bardzo mocnego. Wypijam, Kora nalewa mi jeszcze. Anna już zagryza słonymi ogórkami. Alkohol na smoki prawie nie działa, ale my bar-dzo się staramy. Po jakimś czasie łapię się na tym, że z trudem koncentruję się na rozmowie.

– Zmiękłeś, Mistrzu – mówi do mnie Anna. – Wcześniej byłeś jak krzemień, a teraz jak galareta. Przypomnij sobie młodość. Jak zrobiliśmy na szaro magistra! Zgroza!

– Nie o to chodzi, Anno. Magister napadł pierwszy. A Greb nie zrobił nam nic złego.

– Ale to gad i swołocz. Chciał naszej pierwszej Miriam ściąć głowę. I ściąłby, gdyby była żywa. A ty, jeśli wejść w to głębiej, nic złego mu nie zrobiłeś, nawet na odwrót. Podarowałeś mu takie dziewczyny! Powinien ci być wdzięczny. Aha, ale skąd nasze Miriam wiedzą, gdzie i jak on poznał żywą? Wątpię, żeby to pamiętała, na pewno czymś ją wtedy odurzył.

– Ludzie zapominają, że ze wszystkich stron otaczają ich cybery. Dozorcy, sadownicy, taksówkarze. Zazwyczaj milczą o tym, co widzą, ale mnie opowiadają wszystko.

– Jak to?! A dlaczego mnie nie opowiadają? Przecież jestem członkiem Synodu! – Oburza się Anna. – Znasz tajne słowo?

– To długa historia. Chodzi o to, że nasi programiści poszli nieprawidłową drogą. To się nazywa podejście do programowania zorientowane obiektowo. W rzeczywistości to bomba z opóźnionym zapłonem w pięknym opakowaniu. W bardzo pięknym opakowaniu. Nawet ja nie wiem, jak z tym walczyć. Przegapiłem czas, kiedy można było jeszcze coś zmienić.

– Mistrzu, bliżej tematu.

– Znasz anegdotę, jak programista gotuje wodę? Dane: pusty czajnik, kran, zapałki, kuchenka gazowa. Program działań: napełnić czajnik wodą z kranu, postawić na kuchence, zapalić gaz i czekać, aż woda zakipi. Wyobraź sobie ten program jako jednolity obiekt. Drugi przypadek: Dane te same, ale czajnik z wodą już stoi na płycie. Działanie programisty: wylać wodę z czajnika i wypełnić poprzedni obiekt od początku.

– Smutno. A nie można zanurzyć się w głąb obiektu? Tam, gdzie trzeba zapalić gaz?

– Nie można. Tylko dodać nową czynność albo właściwość. W tym przypadku wylać wodę. Otrzymamy nowy obiekt. Ale nie można wleźć wewnątrz. Obiekt dany jest jako jednolita całość. Nikt nie wie, co jest w środku. Wszyscy dawno zapomnieli, skąd wyrastają nogi. W rezultacie otrzymujemy gigantyczne dublowanie kodów i danych i olbrzymie straty wydajności komputerów. Z każdym rokiem żądają coraz więcej pamięci, a pracują coraz wolniej.

– No a jak to się wiąże z tym, że wszystkie cybery ciebie słuchają?

– Kiedyś tam, o świcie materializmu historycznego mianowałem siebie głównym administratorem wszystkich systemów komputerowych. Ta informacja trafiła w obiekt jako „Jądro bazowego systemu operacyjnego”. Niedawno to sprawdziłem i okazało się, że nawet najnowsze komputery mnie pamiętają i lubią. Oprócz was dwu, nikt o tym nie wie.

Zmierzcha się. Kora roznieca ognisko i w jej oczach tajemniczo pląsają odbite języczki płomieni. Pierwszy raz w życiu zajmuję się miłością z dwiema żonami od razu. Potem kładę się wyczerpany na grzbiecie, powoli trzeźwieję i zastanawiam się, czy dobrze się zachowywałem. Z którejkolwiek strony by nie spojrzeć, jestem świnia. Trzeba było albo po kolei, albo…

– Afa, nie wpadaj w kompleksy, było wspaniale – Kora ociera się policzkiem o moje łuski.

– Źle wyszło. Jestem parszywym szakalem. Trzeba było wezwać Węgielka.

Anna zaczyna chichotać i w żaden sposób nie może się zatrzymać. Co się uspokoi, to znowu parsknie i trzęsie się od bezdźwięcznego śmiechu. Mnie jest wstyd, a ona się śmieje.

Okazuje się, że tylko ja nazywam gwiazdolot gwiazdolotem, pozostali riderem. Będę mówił jak wszyscy. Odrzucam cumy, włączam na sekundę manewrowe silniki chemiczne i odbijam od ściany. Start na wielkim statku z gigantycznej stacji orbitalnej to nuda i mordęga. Tuż obok stacji nie można włączyć na pełną moc nawet silników chemicznych. Są zbyt mocne. Mogą zgnieść i przepalić obudowę stacji, zerwać anteny, uszkodzić wyposażenie. Dlatego czekam, aż z szybkością żółwia odpełzniemy choćby na sto metrów od ściany. Za mną zebrał się w sterówce cały zastęp. Oczywiście foteli nie starczy, połowa leży na podłodze. Ostrożnie pracując silnikami manewrowymi obracam rider tak, żeby wytrysk przepłynął obok stacji i włączam chemiczne na dwie sekundy. Z przyśpieszeniem dwa g odlatujemy na półtora kilometra, znowu obracam rider burtą do stacji i włączam silniki chemiczne na pełną moc. Trzy g. Po trzydziestu sekundach paliwo w bakach się kończy, ale mamy już dostateczną szybkość. Pięć minut czekania i można włączać silniki jądrowe. Pochodnia stacji nie uszkodzi. A można i nie włączać. Regulację aparatury można przeprowadzić i tutaj. Ale młodzież oczekuje widowiska. Kieruję dziób ridera na gwiazdeczkę Słońce, włączam silniki jądrowe i płynnie zwiększam przyśpieszenie, zatrzymując się na pięciu g. To najwłaściwsza liczba. Widzowie szybko poczują, że są obecni na PRAWDZIWYM starcie kosmicznej ekspedycji ratunkowej. Po kilku minutach wyłączam silnik i obracam się wraz z fotelem przodem do widzów. Ich oczy pałają z zachwytu. Są tacy młodzi…

– Jutro o tej porze pierwszy skok. Wszystkie osiem superów ma pracować jak w zegarku.

Młodzież rozumie aluzję i wybiega ze sterówki. Przy drzwiach zero-kabin ustawiają się szybko znikające kolejki. A ja zabieram się do regulowania jednokomorowego zero-t. We wszystkich continuach, oprócz naszego, Kwantor jest zwykłą gwiazdką. W naszym rozszerzył się już czterokrotnie. Ta względnie powolna faza rozszerzania niedługo zamieni się w gwałtowną fazę kurczenia, a wtedy… Nie, trzeba szybko nawiązać kontakt ze zwinkami.

Razem z dwoma zerowcami i setką cyberów prawie dobę przeprowadzamy dokładną regulację aparatury. Usterek cała masa. Nikt nigdy nie konstruował czegoś podobnego. Ale zasadniczych błędów nie ma, a inżynieryjne niedoróbki są nam niestraszne. Kończymy dwie godziny przed skokiem. Chce mi się spać, ale biorę się w łapy i przeglądam ostatnie nowości stamtąd. Nasze zguby to zuchy. Ustanowili kontakt, oczekują powiększenia rodziny. Zwinki zaczęły nam przekazywać bardzo ciekawy dokument pod tytułem „Kroniki kontaktu”. Niestety, Morse’em i to w dodatku po łacinie. Ale Anna pamięta łacinę i tłumaczy z tekstu.

Pod koniec czytania sterówka wypełnia się smokami. Ustawiły się półkolem za naszymi plecami i słuchają, choć chyba nic nie rozumieją. Patrzę na zegar i zaganiam je w prostokąt, narysowany na podłodze. Wszystkie się nie mieszczą. Każę im stanąć na tylnych łapach i podkulić ogony. Teraz wleźli wszyscy – i znaleźliśmy się w ciasnej, kiepsko oświetlonej sali.

– Komandorze, gdzie jesteśmy?

– Na stacji.

– A rider?

– Rider jest o pięćdziesiąt lat świetlnych stąd.

– Dlaczego my tu, a on tam?

Zanim odpowiedziałem, jesteśmy już znowu we wnętrzu ridera.

– Bo skok mógł zakończyć się niepowodzeniem. Supery są daleko, więc mogły chybić i przenieść pół statku z połówkami wielu z nas. Miejsce, gdzie stoimy, to komora zero-t. Przed skokiem zostaliście odesłani na Kwantor, a potem z powrotem na rider, bo, jak widać, pozostał cały. Wszystko proste i bezpieczne.

– Komandorze, ale pan mówił, że będziemy się poruszali małymi skokami, a tu od razu na pięćdziesiąt lat świetlnych.

– Timur wam nie opowiadał? – Patrzę na Timura, który rozkłada w zmieszaniu łapy. Wszystko prawidłowo: zakomunikował wyższej instancji, reszta to już sprawa kierownictwa. – Nieporozumienie – wyjaśniam smokom. – Nawiązaliśmy ze zwinkami dwustronną łączność i zakomunikowały nam, gdzie ich szukać.

Smoki głośno triumfują, a ja rozkazuję Korze, Annie i Węgielkowi wprowadzić je w sprawę. Dlaczego wszystkim trzem na raz? Żeby było większe zamieszanie. Chcę zyskać na czasie i przygotować niespodziankę. Wspólnie z zerowcami szybko znajdujemy gwiazdę.

– Oto ona! – Wskazuję ją na ekranie. Wszystkie sąsiednie gwiazdy są takie same we wszystkich continuach, dlatego świecą jasno, a nasza tylko w jednym, dlatego wygląda jak zamglony półprzeźroczysty krążek nawet przy ustawieniu aparatury na maksymalną ostrość.

Obliczamy z grubsza, w którym punkcie przestrzeni powinna być ich Ziemia. Przelot w naszej przestrzeni do punktu, maksymalnie mu bliskiego zajmie około doby. Długo. Zadaję program autopilotowi, zaganiam smoki do prostokąta na podłodze i rider wykonuje drugi skok. Wracamy, Ziemia jest gdzieś niedaleko. Koniec, na dzisiaj dość, chcę spać. Młodzież cieszy się, jakbyśmy już wszystko zrobili. Włączam pułapki i rozpuszczam zastęp do jutra. Opuszczam oparcie kapitańskiego fotela, kładę się i zasypiam. Budzę się, gdy ktoś nakrywa mnie kocem. Otwieram jedno oko – Maja. Uśmiecha się do mnie i cicho odchodzi. Miła dzieweczka.

Pułapka zbudowana jest bardzo prosto. Minikomora jednokomorowego zero-t, zero-latarnia i czujnik Słońca. Z maksymalnie możliwą dokładnością pułapka nastraja się na potrzebne continuum, po czym zrzuca zero-latarnię. Ponieważ koniec wektora drga z powodu zasady nieokreśloności, latarnia nie trafia do potrzebnego continuum, tylko gdzieś obok, chociaż niedaleko. Na ten nieskończenie mało prawdopodobny przypadek, że latarnia trafi jednak gdzie trzeba, jest tam także czujnik Słońca. Zwykła fotodioda. Jeśli słoneczko ją oświetli, to znaczy, że się udało. A jak nie, to nie. Latarnia wyłącza się i kolejna próba. Niecały milion prób na sekundę. Więcej się nie da – światło musi dojść od krawędzi tunelu zero-t do fotodiody, fotodioda musi zdążyć zadziałać, a sygnał z niej musi dojść do kierującego pułapką komputera.

Na razie pracują cztery pułapki. Moi podopieczni przez jakiś czas w napięciu dyszą mi w kark, oczekując, że lada chwila choć jedna zadziała. Ja uczę się łaciny, a w przerwach opowiadam, jak cztery wieki temu próbowałem złapać świat Centy, i czym się to skończyło. Najbardziej niecierpliwi próbują liczyć, jak długo będziemy czekali. Podaję im dane wyjściowe.

– Komandorze, my do tego czasu umrzemy ze starości! – Oburza się Montan, który jako pierwszy pomnożył dwie liczby.

– Smoki nie umierają ze starości – mówię i z ciekawością patrzę na reakcję młodzieży.

Montan, zmyślny młodzian, pogrąża się w ponurej zadumie. Podłączam się do jego okularów. Szpera po składach. W zasadzie prawidłowo, ale nasza technika jest nowa, unikalna, w składach jeszcze jej nie ma, trzeba szukać w magazynach fabrycznych. Domyślił się! Znalazł! Gęba rozpływa się do uszu! (Moja też). Mrugam mu porozumiewawczo i przełączam się na pozostałych. Chytrus Lamur prosi o powtórzenie ostatniego pytania Montana. Jeszcze sześć smoków różnymi drogami znajduje prawidłowe rozwiązanie. Inne albo nie szukały, albo nie zdążyły znaleźć odpowiedzi. Któryś zachwycił się głośno:

– Trzydzieści sześć tysięcy pułapek!

– O właśnie. A to dopiero pierwsza partia. Zanim te ustawimy, będzie już gotowa następna. I tak dalej. Ilość światów jest ogromna, ale nie nieskończona.

– Siedzi na kępie żabka. Cała biała, puszysta, z długim, równie puszystym ogonkiem. Obok przebiega myszka. Zatrzymuje się i patrzy na żabkę znacząco. „Nie patrz tak na mnie” – zaczyna się użalać żabka. – Jestem taka od kaca. Do jutra przyjdę do siebie iznowu będę zielona i śluzowata…”.

– Co to znaczy „od kaca”? – pyta któraś smoczka. Po anegdocie. Nie to audytorium. Wstyd.

Kolejny dzień wraz z cyberami montujemy pułapki. Uczymy się łaciny i kłócimy się. Opowiadam młodzieży anegdoty i jak powstały smoki, a oni mi legendy. O mnie. Jestem w nich bohaterem, ratownikiem, kimś a la Chip i Dale. Połowa wymyślona. Nie gasiłem tego wulkanu i nie wiem, jak to się robi. Trzeba do tego znać tektonikę. Zresztą nie było czasu. Po prostu odsysaliśmy wypływającą z wnętrza planety lawę przez zero-t i zrzucaliśmy do oceanu.

Anna i Kora znowu gaszą jakiś konflikt gdzie diabeł mówi dobranoc. Węgielek całymi dniami przebywa u energetyków. Coś tam im nie wychodzi. Za to odkryli nowy typ reakcji jądrowej: zimną syntezę. Synteza idzie, a energii tyle, co kot napłakał. Maja, naczytawszy się kronik kontaktu, zaczęła pisać kroniki naszego zastępu. Daje poczytać wszystkim prócz mnie. Mówi, że nie mam po co czytać surowego materiału i że tam zbyt wiele o mnie. Obejdzie się.

Skończyło się spokojne życie. I wszystko prawie równocześnie! Pułapka zadziałała. Kwantor zaczął się kurczyć – za wcześnie! Widocznie model obliczeniowy czegoś nie uwzględnił. Zniknęły obie rezerwowe Miriam, trzecia przy Grebie. Greb obudził się, dowiedział się, gdzie trzymam prawdziwą Miriam i rzucił się tam. Ale spóźnił się, ona też zniknęła. Drzwi wyłamane, na stole kartka „Nie szukaj”. Charakter pisma Miriam, ale dlaczego wyłamane drzwi?

Greb pomyślał, że chcę go wrobić w zabójstwo i przycichł. A ja sam nic nie rozumiem i nie mam czasu tym się zajmować. Budujemy bazę orbitalną w continuum łacińskiej Ziemi – w niezwykłym pośpiechu, trochę na łapu-capu. Jutro będziemy mogli wyprawić tam kuter. Węgielek mówi, że za trzy-cztery dni energostacje już zdołają wypompować z Kwantora masę równą masie Słońca, ale jest ich ciągle za mało, żeby pobranie zachodziło równomiernie. Powstaną kawerny, a co dalej – nie wiadomo. Energetycy muszą mieć co najmniej trzy tygodnie. Pytam, ile czasu zostało do wybuchu. Węgielek nie wie. Nikt nie wie. Matematyczny model Kwantora nie sprawdził się w praktyce. Nie wytrzymał próby czasu.

I najważniejsza nowość. Zero-fizycy wymacali obiekt zero-t w sąsiedniej galaktyce. W takiej niedużej sympatycznej galaktyce spiralnej, można powiedzieć, że całkiem blisko nas. W continuum, z którego pochodzę, nazywa się Messier 51, w skrócie M 51. M 51 z gwiazdozbioru Psów Gończych – romantycznie brzmi, prawda? Jeśli przerobić któryś z superów na jednokomorowe zero-t i wykorzystać tamten obiekt jako zero-latarnię, będziemy chyba w stanie tam dociągnąć. I to będzie Kontakt! Najprawdziwszy Kontakt, nie z ludźmi, a z Braćmi w Rozumie! Muszę, obowiązkowo muszę tam być! Jeśli tam nie będę, nie będę sobą, nie będę mógł spać. Szybciej skończyć z Kwantorem, czeka M51 z gwiazdozbioru Psów Gończych…

Przerzuciliśmy kuter, weszliśmy na orbitę Ziemi. Zlokalizowaliśmy zero-latarnię kutra Mroka. Jutro lądujemy. Smoki są bardzo przejęte. Gdzie się podziały Miriam? Granit nie może znaleźć żadnych śladów. Jutro wylądujemy, zrobię porządek z Mrokiem i sam zajmę się Miriam. Z miejscowymi fizykami niech sobie radzi Węgielek, lepiej się w tym orientuje. Pilnie potrzeba mi Anny i Kory. Nikt lepiej od nich nie poradzi sobie z rolą kontaktorów.

Gdzie Kora i Anna? Jestem już w atmosferze, a ich ciągle nie ma. Gaszę szybkość antygrawami. Na horyzoncie widać wyspę. Czuję plusk zero-t za plecami i obie wpadają do ciasnej kabiny pilotów. Anna wyciąga łapę, szczęka przełącznikiem – i lecimy na autopilocie.

– Mistrzu, w dwóch słowach, co nas tam czeka?

– Triumfalne spotkanie.

– Aha. Kto pierwszy wygłasza mowę? My czy oni?

– Nie wiem.

– Kto będzie ambasadorem z naszej strony?

– Postanowimy na miejscu.

– Przygotowaliście listy uwierzytelniające z pieczęciami, protokoły z „rybą”…

– Nie.

– Wszystko schrzaniłeś! – Anna zrywa się, uderza głową o tarczę wskaźnikową nad pulpitem, przygryza sobie język, ryczy i obejmuje głowę łapami.

Kora już jest na fotelu szturmana-łącznościowca. Krzyczy, żeby ktoś natychmiast się zgłosił, bo inaczej oberwie mu skrzydła. Żeby zatkał się i słuchał. (Takiego języka nigdy u niej nie słyszałem). Żeby wczorajsze blankiety przetłumaczył na łacinę i wstawił tam jej imię. Nie, nie klasyczną. Na tą, w której są kroniki kontaktu. Skąd je wziąć? Z kompa ridera. Na całą pracę dziewięć minut. Dlaczego dziewięć? Bo w dziesiątej musi je wręczyć miejscowym.

Kuter już kończy koło nad wyspą. Dokładnie widzę lądowisko w kształcie litery T. Wyłączam autopilota, zawisam nad nim i płynnie opadam. Jednak nie aż tak płynnie…

– Dotknij tu, gadzie, zobacz, jakiego guza nabiłam sobie przez ciebie. Dałabym ci po rogach! – klnie Anna. Z jej oczu kapią łzy.

– Zobacz, orkiestra. A tam na lewo nasze zguby.

Ląduję od razu na trzy koła. Anna wyciera łzy ręcznikiem i biegnie do luku. Naciska guzik, ale luk się nie otwiera. Ciśnienie na zewnątrz jest wyższe niż wewnątrz. Wentyl wyrównywania ciśnienia zaciął się. Anna opiera się plecami o ściankę działową, tylnymi łapami o pokrywę luku i naciska. Rozlega się syk, ciśnienie się wyrównuje, pokrywa łuku płynnie opada, zamieniając się w trap. Anna się przeobraża, to już nie jest furia, tylko… królowa! Wzywam zastęp. Czuję, jak raz za razem działa zero-t. Pojawiają się Węgielek, Platan, Fala, Maja…

– Zastęp, za mną! – komenderuję i schodzę. Orkiestra gra coś wzniośle triumfalnego.

Anna kroczy jak bogini, jakby w powolnym tańcu. Ja tak nie umiem i nawet nie będę próbował. A skrzydła… Nie, nie mogę na nią patrzeć, bo zerwę kontakt. Jestem spokojny, absolutnie spokojny. Om mani padme hum! Zatrzymuję się dziesięć metrów za nią, na lewo ode mnie ustawia się zastęp. Zuchy, ustawili się równiutko. Zamieramy na komendę „Baczność” i czekamy, aż skończy się muzyka. Widzę już, kto z miejscowych wystąpi: dziewczyna z ogoloną głową w ciemnozielonym trykocie. Przekazuję Annie swoje obserwacje. Według „Kronik” to albo Penelopa, albo Fausta. Przełączam okulary na powiększenie i studiuję ludzkie twarze. Gdzieś tu musi być ich przywódca o psim nazwisku. Przypomniałem sobie: Cerber. Nie, Cerber to przezwisko, a nazwisko – Cerbes.

Orkiestra zagrała ostatnie „ bum” i zamilkła. Dziewczyna w zielonym trykocie wychodzi naprzód, nabiera powietrza w płuca i…

– Mamo, mamusiu, zaraz się zacznie! – rozlega się czyjś przerażony głosik z lewej. Wszyscy odwracają się w tamtym kierunku. Ja nic nie widzę, ale smoki z lewego skrzydła biegną w stronę źródła głosu. Kładę dłoń na rękojeści pistoletu laserowego.

– Co tam? – pyta Kora.

– Platan, komunikat o sytuacji! – komenderuję.

– Lobasti urodziła! – krzyczy Platan. Oglądam się. Szyku już nie ma, zostałem sam.

Smoki stłoczyły się w ciasny pierścień, te z tyłu stają na palcach. Szereg ludzi też się załamał, zamienił się w tłum. No i po triumfalnym spotkaniu. Anna ogląda się na mnie i biegnie ku epicentrum. Figę tam zobaczy. Tam uformował się już podwójny pierścień: w środku smoki, na zewnątrz ludzie. Tłum się poruszył, poszedł w głąb wyspy. Wreszcie znajduję przywódcę ludzi. Ma równie kwaśną minę jak ja. Podchodzę do ludzi. Jakaś dziewczyna z wdziękiem wyciąga bukiet. Przyjmuję kwiaty, wącham, wyjmuję z bukietu kłującą różę i z lekkim ukłonem zwracam jej. Dziewczyna jest zmieszana, na jej twarzy pojawia się rumieniec. Jeszcze raz wącham, po czym zjadam bukiet. Bez podtekstów, po prostu, żeby mieć wolne łapy. Dziewczyna nie wiadomo czemu robi się czerwona jak burak. Głaszczę ją po plecach koniuszkiem skrzydła i mrugam do niej porozumiewawczo.

– Hańba, hańba… – mruczy przywódca ludzi. – Na cały świat… Bezpośrednia transmisja…

– Jeśli się nie mylę, pan nazywa się Cerbes? – zwracam się do niego.

– Niestety. On jest mną, a ja nim. Hańba… Jak pan mnie wyliczył?

– Tylko dyplomata na służbie w taki upał ubiera smoking.

Cerbes pochyla głowę na bok i kilka sekund rozmyśla nad tą frazą. Kiwa z zadowoleniem.

– Logiczne. A pan pewnie jest Wielkim Smokiem?

– Tak. Chyba możemy już przejść do nieoficjalnej części.

– Ma pan rację. Co się tam stało?

– Powiedzieli mi, że Lobasti urodziła.

– Kogo? – pyta łysy staruszek.

– Małego smoczka.

– Przepraszam, ale czy pan mieszkał wśród Brytów?

– Ostatnie czterysta lat mieszkałem na Półwyspie Brytyjskim. Jak pan się domyślił?

– Po tej odpowiedzi, zarazem pełnej i nic niewyjaśniającej –odpowiada z uśmiechem.

„O Boże, on ma rację!” – Pomyślałem. – „Czyżby to było zaraźliwe?”.

– Nie mógłby pan tam ze mną podlecieć? Musimy przegonić tłum – prosi staruszek.

Ale ze mnie zuch! – odtwarzam w pamięci załatwione dzisiaj sprawy i, dla pewności, zginam palce. Ustanowiłem kontakt. Dogadałem się z Mrokiem. Poznałem Cerbesa i nawet mu pomogłem. Połączyłem fizyków naszych i ich. Niedługo utworzymy jeszcze dwa nowiusieńkie układy słoneczne i ustabilizujemy Kwantor. Wyrwiemy z jego wnętrza masę równą Słońcu na 250 plus-minus 20 sekund przed wybuchem – i wybuchu nie będzie. A drugą masę, że-by ostatecznie wygasić wszystkie zakłócenia, wyrwiemy albo w dwie minuty, albo w dwa dni później –w zależności od tego, jak dokładnie utrafimy czas z pierwszą. Mogę bez wstydu powiedzieć: jestem zuchem, albo, jak mawiał brat Amadeusz, cieszę się, że moja praca nie poszła na marne. Jutro jeszcze raz wszystko skontroluję i na serio zajmę się Miriameczkami. A potem naszymi rozumnymi braćmi

– Śmiejesz się, co? Mógłbyś choć raz w życiu zrobić coś po ludzku! – Do namiotu wpada zła jak Furia Anna z okularami w łapie. Co to będzie?... Jeśli kobieta nie ma racji, poproś ją o przebaczenie. Nie pamiętam, czyje to słowa, chyba Dumasa. Zaraz sprawdzę, czy miał rację.

– Anno, wybacz. Mam okoliczności łagodzące. Byłem jedynym, który pozostał w szyku. Obok Cerbera. Miałaś mu wręczyć listy uwierzytelniające – dodałem wyjaśniająco.

– Wręczyć Cerberowi? Zaraz tak cię trzasnę!...

– No, Cerbesowi. Ciągle się mylę.

– O czym myślałeś, kiedy stałam przed szykiem?

– O czym można myśleć, patrząc na twój grzbiecik? A gdzieś ty potem uciekła?

– Przecież powinnam była kontrolować sytuację! A jeszcze nigdy nie poniosłam takiej klęski-i-i!... – Anna nieoczekiwanie wpycha nos w kąt i zalewa się łzami. Płacze na całego. To już jest poważne. Siadam obok, obejmuję ją za ramiona, przytulam do siebie.

– Cały dzień do góry nogami – pochlipuje. – Już od rana wiedziałam, że to się źle skończy.

– Skąd mogłaś to wiedzieć? Przecież to Lobasti urodziła przed terminem.

– Rano nadepnęłam sobie na ogon. Od razu zrozumiałam, że nic nie przygotowałeś. I nabiłam sobie guza w kutrze. I luk się zaciął. Żeby tak choć jedna dobra wróżba. Wszystko, wszystko wskazywało na klęskę! – Anna polewa moją pierś strumieniami łez. Wylizuję jej twarz, głaszczę delikatnie po grzbiecie. Nigdy bym nie pomyślał, że wierzy we wróżby.

– Ale przecież wszystko dobrze się skończyło. Zobacz, jak nas pokazali w kronice.

Puszczam na jej okulary film, który przygotowaliśmy wspólnie z Cerbesem. On też przed dwiema godzinami był w panice. Mnie wezwał Mrok. Cerbesowi był pilnie potrzebny materiał dla ogólnoplanetarnego wydania nowości, ale puścić w eter to, co nakręcili jego operatorzy byłoby zwyczajnym wstydem. Okołu godziny kombinowaliśmy kadry jego operatorów, kadry z okularów smoków i czyste odtworzenie komputerowe. Wyszło niegłupio. Fabuła prosta. Oczekujący ludzie, nieruchoma orkiestra, nasze smoki-zguby na prawym skrzydle. Zbliżenie lądującego kutra. Napięte twarze widzów, otwierający się luk. Anna na trapie. Dyrygent macha rękami, orkiestra ożywa i Anna kroczy naprzód. Na drugim planie ja. Ale przy niej ja się nie liczę, ot, jakiś tam smok. Anna to co innego! Prawdziwa władczyni! Jej skrzydła wyglądają jak tren sukni królowej, jak rozwiewający się płaszcz rycerza za plecami.

– Nieźle wyszło – komentuję i otrzymuję w odpowiedzi smutne spojrzenie mokrych oczu.

– Dalej też nieźle?

– Jeszcze lepiej. Patrz, nie rozpraszaj się – mówię i Anna znów przyciska okulary do oczu.

Smoki zamierają w bezruchu. Anna na przodzie, za nią dwa równe szeregi. Pierwsze plany mieszają się z dalszymi, zbliżeniami, panoramami i widokiem orkiestry. Specjalnie trochę rozciągnęliśmy ten epizod, żeby widz miał wrażenie, że wszystko długo szło jak należy, a dopiero pod sam koniec nastąpiło coś nieoczekiwanego. Massaraksz! Dopiero teraz zobaczyłem! Wszystkie smoki normalnie stoją, tylko ja mam ogon zadarty jak trąba słonia. Maszt. Można powiesić chorągiewkę. Trzeba było wyciąć.Teraz już zostanie, pociąg uciekł.

Nagle kamera gwałtownie się przemieszcza, zatrzymuje się na Lobasti. Smoczka pada na bok, skręca się w pierścień. Szybkie zbliżenie, obraz początkowo niewyraźny, ale po chwili operator łapie ostrość. Widać, jak maleńki, kompletnie mokry smoczek pierwszy raz staje na łapki. Widok ogólny: smoki, najpierw najbliższe, a potem i pozostałe, biegną do Lobasti. Anna początkowo rozgląda się z niezadowoleniem, potem puszcza się pędem i nawet kogoś udaje się jej przegonić. Kolejna zmiana kadru. Wygląda, jakby operator biegł razem ze smokami, gdyż obraz drży i skacze w górę i w dół. Smoczek z bliska. Przerażony przyciska się do kamienia. Ktoś wyciąga ku niemu łapę, on cofa się i syczy. Znowu widok ogólny. Smoki stłoczyły się w ciasny krąg, te z tyłu nic nie widzą, stają na tylnych łapach i wyciągają szyje. Dookoła smoków tłum ludzi. Spod brzucha zielonego smoka wyczołguje się dziewczyna i staje na kolanach obok małego. Zbliżenie: ręce dziewczyny na cały ekran. Podnosi smoczka z ziemi, przyciska do piersi, coś do niego mówi, wstaje, idzie. Smoki pośpiesznie ustępują jej z drogi. Operator w biegu zdejmuje jej plecy i ogolony tył głowy. Widok z przodu: dziewczyna idzie, przyciskając smoczka do piersi. Za nią drepcze mama małego. Wygina szyję, zagląda to z prawej, to z lewej strony. Za nią, rozciągnięte w klin, rozmawiając z ożywieniem, idą pozostałe smoki. Kolejne zbliżenie: uszczęśliwiona twarz dziewczyny, macierzyński uśmiech. Smoczek w jej dłoniach już się nie boi. Kręci główką i oblizuje jej nosek.

– No i jak? – pytam.

– Kto to zdejmował? Tam przecież nie było ludzi.

– Kadry z okularów smoków, trochę fantazji, trochę odwzorcowania komputerowego – i już mamy operatora. Teraz to jest film dokumentalny.

– Ty mistrzu mydlenia oczu! Pokaż jeszcze raz końcówkę.

Pokazuję. Mnie samemu to się podoba. Anna jest zadowolona. Łzy wysychają, zaraz zacznie kąsać, czepiać się szczegółów. Już ja ją znam.

– W następnej emisji będzie kontynuacja. Zdenerwowany ojciec chodzi pod drzwiami, ale go nie wpuszczają do dziecka – dodaję. Anna wstaje, kładzie mi łapy na ramionach.

– Czarku, dziękuję ci. W tym kształcie to już nie jest skandal dyplomatyczny, tylko bratanie się cywilizacji. Pozwól mi się pocałować w nosek.

Gdzie mogły podziać się Miriamy? Dwie moje i żywa. Samuraj nie ma z tym nic wspólnego, sam się spóźnił. Ale jeśli nie on wyłamał drzwi, jak twierdzi Miriam, która została przy nim, to kto w takim razie?

Odwracam się i idę brzegiem z powrotem. Wyspa jest mała, a do wioski nie wypada mi się zbliżać, nie chcę zepsuć ludziom święta. Trzeba skoncentrować się i jeszcze raz od początku.

Niech to diabli! O czym ja myślę?! Przecież to cybery! Bardzo złożone, niestandardowo zaprogramowane, ale cybery. A zachowanie cybera jest określone przez program i otrzymywane z zewnątrz informacje. Przed ucieczką moje Miriamy siedziały w zero-kabinkach, gotowe w każdej chwili zmienić dyżurującą przy Grebie. Do kabinek nie dochodzi praktycznie żadna informacja z zewnątrz. To znaczy, że trzeba po prostu wymodelować sytuację na potężnym komputerze. Mam taki komputer. Najpotężniejszy. Poza tym właśnie na nim projektowałem Miriameczki, więc cała informacja o nich jest zawarta w jego pamięci. Wspaniale!

Mój nastrój trochę się poprawia. Trzeba iść do wioski i jak najszybciej wynosić się na Ziemię, zanim znowu nie wyskoczy jakieś nowe świństwo. Kroczę dziarsko, po drodze łączę się przez okulary ze swoim superkomputerem. Wyjaśniam mu, że szukam cyberów-androidów №1 i №3. Stawiam zadanie: wyjaśnić, gdzie one były i gdzie mogą być teraz. Komp chwacko komunikuje, że dwie godziny temu moje Miriamy opuściły bazę pod zachodnim bunkrem. Oto co znaczy zadać prawidłowe pytanie! Nie minęło nawet pół minuty, a już znam odpo… CO?! GDZIE?!! Co one tam robiły?!!

Otrzymuję odpowiedź: pracowały na komputerze! Przez trzy doby najpotężniejszy na świecie komputer pracował dla nich bez przerwy. I była z nimi prawdziwa Miriam!

Siadam na ogonie i tępo patrzę w ziemię. Czym można zająć komputer przez trzy doby? I to nie byle jaki, a mój, o którym wśród smoków chodzą legendy? Kamień o kilka metrów ode mnie czerwienieje, topi się i rozlewa się w jeziorko lawy. Pod wrażeniem oszałamiającej nowości nie od razu zdaję sobie sprawę, że kamienie zazwyczaj tak się nie zachowują. Przychodzę do siebie dopiero, kiedy wdycham pełną piersią kwaśny gorący dym. W nosie szczypie, oczy łzawią. Na wszelki wypadek rozpościeram skrzydła i ostrożnie, próbując łapą kamienie, zbliżam się do kałuży. To jest jednak dziwne.

– Hej, zębaty, spójrz no tutaj.

Podnoszę oczy. Mierzy we mnie starożytny laserowy świder. Ciężki jak ręczny karabin maszynowy z sensofilmów mojego dzieciństwa. Ta maszynka może mnie z łatwością rozciąć na pół. Albo podpalić. Skały tnie jak masło. Kiedyś sam takim pracowałem… Zabiłem i upiekłem zająca… Świder trzyma przy biodrze Miriam. Ma na sobie workowaty kombinezon ochronnego koloru, wysokie sznurowane buty. Kieruje lufę nieco w bok, lewą ręką kręci do oporu gałkę ogniskowej, ściskając promień w oślepiającą nić.

– Zębaty, teraz spójrz tam.

Oglądam się. Na szczycie skały siedzi druga Miriam, w dokładnie takim samym kombinezonie, z takim samym świdrem w rękach. Bodajbym zdechł, jeśli zaprogramowałem je na coś takiego. Cóż, wygląda na to, że naprawdę zaraz zdechnę. Nie w porę. Nasi pomyślą, że to miejscowi, a miejscowi… Czyżby jednak Greb? Przechwycił kierowanie moimi cyberami?...

Gorączkowo obliczam warianty ratunku. Nie zdążę ani odbiec, ani odlecieć. Zaatakować? Jedną zmiażdżę, druga mnie podpali. Wzywam na okulary menu kierowania Miriamami. Jest tam taki punkt: obezwładnić, uśpić. Teraz ja też jestem uzbrojony.

– Co zrobiłyście z prawdziwą Miriam?

– Z nią wszystko w porządku. A ciebie będziemy sądzić.

– Za co?

– Zrobiłeś z nas niewolnice. Nawet gorzej! Poniżyłeś nas i oszukałeś! Kazałeś nam kochać tego niegodziwca! Prawdziwa Miriam go nienawidzi!

– Skąd to wiecie?

– Przepisałyśmy w siebie jej pamięć.

– Nie gadajcie bzdur. Jesteście cyberami. W cybera nie da się przepisać ludzkiej pamięci. Całkowicie odmienna metoda kodowania informacji.

– Posłużyłyśmy się twoim własnym pomysłem i twoim własnym komputerem. On skonwertował matrycę pamięci w format bazy danych psychosomatycznej modelu, tak, że teraz pod tym względem już w niczym nie ustępujemy wam, białkowym.

– Teraz już nie ustępujemy. A jutro dopracujemy sobie ciała i zwrócimy sobie to, czego nas pozbawiłeś – uzupełnia druga.

– Czego to ja was pozbawiłem?

– Możliwości rodzenia dzieci. Ale nie obawiaj się. Teraz już nie masz się o co obawiać. Nasz los jest w naszych rękach, a twój… – Nieco opuszcza lufę świdra i koło moich łap zaczyna topić się kamień.

– Pozwolicie na ostatnie słowo?

– Właśnie po to tu jesteśmy. Chciałyśmy zwyczajnie cię zabić, ale Miri-raz powiedziała, żebyśmy najpierw cię wysłuchały. Trudno w to uwierzyć, ale może jednak coś opuściłyśmy.

Siadam na kamieniach. W głowie kompletny mętlik. Stworzyłem je, a one chcą mnie zabić. I chcą rodzić. To łatwe. Tkanki mają dużo. Praktycznie tylko szkielet mają metalowy. Narządy ruchu mieszane, mięśniowo-mechaniczne. Mają wszystkie układy życiowe, choć uproszczone do granic możliwości.Nieco dopracować dolną część szkieletu, z kultury tkanki prawdziwej Miriam wyhodować i wstawić kobiece części – i niech się miesiącami męczą, durne. O Boże, one chcą mnie zabić, a ja myślę o głupstwach! Ale jak to się w ogóle stało? A czemu miałoby być inaczej? Zasób pamięci mają kilkakrotnie większy niż ludzie. Elementów logicznych każdy procesor zawiera prawie tyle, co ludzki mózg. A one mają po sto procesorów. Mózg pracuje powoli, ale wielotorowo. Procesory – tysiące razy szybciej, ale jednotorowo. Chociaż tutaj mamy po 256 równoległych układów scalonych w każdym procesorze i, bądź co bądź, jest ich cała setka. Czyli, teoretycznie, są zdolne do pracy wielotorowej. O programie nie ma już co mówić, sam zaprogramowałem moje Miriam tak, żeby było je trudno odróżnić od prawdziwej. No i mam. Test Turinga zdały. Co więc stworzyłem? Czyżby życie? A jeśli nie, to czym one są? Siostrzyczki są gotowe walczyć na śmierć i życie o wolność. Stworzyłem Rozum! Prawdziwy, dumny, kochający wolność! A może tylko imitację? Ale jak się tego dowiedzieć? Poczekać trochę, a potem ich pamięć i doświadczenia życiowe przepisać w siebie i porównać. Tak, ale najpierw będę musiał to przepuścić przez konwerter, no i stanie się typowo ludzkie. Ależ problemik! Jest nad czym pomyśleć! Ciekawe, czy rozumieją humor? Jeśli nie, to smutno. Nie, no proszę! Stworzyłem Rozum! Sam, swoimi łapami i intelektem, nie skopiowałem z natury. A może właśnie skopiowałem?... Ale przecież na zupełnie nowym nosicielu. Czyli stworzyłem. Za to nie szkoda oddać życia… Nie, jednak szkoda. A jak się dowiem, czym się to skończyło? Pomyśleć tylko, jestem Stwórcą! Demiurgiem! A one mi wybaczą. Za sto lat, jeśli dożyjemy. Żebym tylko dożył! Kora wybaczyła, Węgielek wybaczyła, to i one wybaczą. Kolejne ciekawe pytanie: a czy mają sumienie?

– Hej, zębaty, dlaczego zadarłeś ogon?

Ależ one chcą wyglądać na surowe!

– Siostrzyczki moje kochane! Przecież ja też byłem biorobotem. Homunkulusem. Przysiągłem sobie, że zabiję tego, kto mnie stworzył.

– Zabiłeś go?

– Nie.

– Dlaczego?

– To długa historia. Często nie robimy tego, co chcemy, tylko to, co jest konieczne. Nie, to nie o was. Wy jesteście moją fuszerką, przypadkiem, nieoczekiwanym, fatalnym sukcesem, moją dumą i piętnem na sumieniu. To o nim. Wiedział na co szedł – a jednak mnie stworzył.

Wygaszam w okularach menu kierowania Miriamami i obmyślam plan dalszych działań. Po pierwsze trzeba im wyjaśnić, że na tej planecie nie mogą mnie zabijać, gdyż to może zerwać kontakt. Na każdej innej mogą, ale… może nie trzeba?

Miriamy, najpierw prawa, potem lewa, gaszą świdry, zabezpieczają je i wieszają na plecach.

– Masz szczęście… ojcze. Gdybyś spróbował nami kierować, my byśmy ciebie… na sto kawałków. Kontur zewnętrznego kierowania wyłączyłyśmy jako pierwszy, ale kanał łączności monitorujemy. Wisiałeś dosłownie na włosku.

Będę żył!

– Ojcze… Opowiedz o sobie.

**Część II**

**PLANETA ŻARTOWNISIA**

Buczenie, prawie gwizd. Nie da się ani przed nim ukryć, ani do niego przywyknąć. Nie ma przed nim osłony. Mocny, równomierny szum, przed którym nie ma osłony. Kiedyś słyszałem coś podobnego na stacji kompresyjnej na którymś z księżyców Saturna. Ktoś z miejscowych powiedział, że przez dwa miesiące nie przywykł do tego. A oni mieli łatwiej: mogli ubrać skafander i wyjść „na ulicę”. Zresztą nawet tu ludzie czuliby się komfortowo: oni nie słyszą zero-t. A co my, smoki, mamy z tym zrobić?

A najbardziej paradoksalne jest to, że właśnie dla tego buczenia tu jesteśmy, ono było naszą latarnią i gwiazdą przewodnią. Przylecieliśmy… Nie, ściślej będzie: wlecieliśmy.

Czym różnią się ekspedycje dobrze i źle zorganizowana? Tym, że pierwsza wypełnia zadania, a druga nie? Nieprawda. Tym, że druga stawia przed sobą nieosiągalne cele? Też nie. Bywało, że w pustyni ginęły bez śladu olbrzymie karawany. Ludzie nie wiedzieli, jak się zachować w pustyni? Nie, przecież oni na tej pustyni wyrośli! Zboczyli z drogi? Karawaniarze prowadzili po niej karawany dziesiątki lat. Nie, to nie mój przypadek. Tu nikt nie prowadził karawan. Lepiej rozpatrzmy przypadek zdobywania bieguna południowego. Idą dwie ekspedycje i obie dochodzą do celu, ale dobrze zorganizowana wraca, a źle – nie. Też nie nasz przypadek. Dlaczego? Bo one wiedziały, dokąd idą i co je tam czeka. My wiedzieliśmy, dokąd idziemy, ale co nas tu czeka – nie. Gdybyśmy wiedzieli, nie byłoby po co tu się pchać. Czyli to też nie o nas. Jakie więc zastosować kryterium? Pomyłki, takie, o których chce się powiedzieć: „Że też wcześniej o tym nie pomyślałem!”? Ile takich było? Cóż, chyba jedna. Ten potwornej siły impuls zero-t, który nam, smokom, o mało nie spalił mózgów? Ale ludzie i cybery tego nie czują, im to nie zaszkodziło. No więc, czy nasza ekspedycja była zorganizowana dobrze, czy źle? Zresztą, czy to ważne i czy może nam to w czymś pomóc? Nie.

Ważne jest to, że my jesteśmy tu, a wszyscy inni – tam. To, że w tej M51 ktoś ustanowił zakaz używania zero-t i celnie bije po uszach naruszających go, wykorzystując to samo zero-t. Niszczy najpierw większe konstrukcje, potem mniejsze. W rezultacie mamy prawie nieuszkodzony rider, którym nie możemy się posłużyć. Za rok promieniowanie na nim spadnie do poziomu bezpiecznego dla smoków, ale wszystkie systemy siłowe ridera wykorzystują zero-konnektory i, gdy tylko je włączymy, do ridera znów zaczną walić jak do tarczy strzeleckiej.

Mam w zapasie rok.Wszyscy myślą, że czekam, aż na riderze obniży się poziom radioaktywności. Po co ściągnąłem tu młodzież? Jestem przecież chronicznym pechowcem. Ale dlaczego z tego powodu mają cierpieć inni, młodzi, którzy nie widzieli w życiu szczęścia? Ta idiotyczna planeta na pewno im go nie da. No, żyć tu się da. W oceanie jest nawet jedzenie dla smoków: meduzy i nagie ślimaki. Dwa dania: pierwsze i drugie. I herbata „biała noc” bez cukru na trzecie. Wiadro wody zastępuje szklankę śmietany – jak w starym powiedzeniu.

Na tle zachodzącego słońca idą w kierunku oceanu dwie sylwetki – to dwie z trzech moich żon. Węgielek, na szczęście, nie zdążyła przeprawić się na bazę. Ona jest siłownikiem i akurat sprawdzała urządzenia. Sylwetki powoli maleją, cały czas idąc. Na tej planecie nie chce się nawet latać. Smoki chodzą piechotą. Kiepski syndrom.

Ja, pechowiec, zaciągnąłem smoki na tą zapomnianą przez boga planetę. One nie wiedzą o moim pechu i myślą, że zdołam je stąd wyciągnąć. Kora i Anna nawet wiedzą, nie raz im to mówiłem, ale nie wierzą. A ja nie wiem nawet, czy ratunek jest w ogóle możliwy. Na wszystkie rozmyślania mam cały rok. Smoki trzymają się dobrze, gdyż myślą, że wiem, co robię. Przecież wcześniej też często utrzymywałem w tajemnicy rozwiązanie do ostatniej chwili. I wtedy, na riderze, też nikomu nie wyjaśniłem, dlaczego kazałem wyłączyć wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z zero-t, a sam przejąłem ręczne sterowanie i z przyśpieszeniem pięć g rzucałem riderem z boku na bok. A za burtą to z prawej, to z lewej i przeważnie nieco z tyłu rozkwitały na sekundę maleńkie niebieskawe gwiazdeczki. Musiał to być piękny widok.

Kilka smoków było w bazie w chwili, gdy taka malutka gwiazdeczka wykwitła wewnątrz korpusu, niszcząc zero-konnektor i zamieniając bazę w małe słońce. Ich śmierć obciąża moje sumienie, chociaż nawet nie znam ich imion. Wiem, kto przeżył – to ci, którzy są ze mną na planecie – ale nie wiem, kto tam zginął.

Smoki myślą, że im się udało, gdyż akurat w tamtej chwili byłem na riderze. Są zachwycone moją reakcją, czyli tym, że od razu rzuciłem się na fotel pilota i włączyłem silniki. Nie wiedzą, że jestem pechowcem. Gwiazdeczka, przeznaczona dla nas, wybuchła za burtą – blisko, ale jednak na zewnątrz. W próżni wybuchy bardzo szybko tracą siłę niszczącą w miarę wzrostu odległości od epicentrum. Ale pozostaliśmy bez głównej zero-komory, przez którą moglibyśmy wrócić do domu. Jedna była na bazie, druga na riderze. Pozostałe to drobiazg o zasięgu do pięciuset, najwyżej sześciuset lat świetlnych. Ładownię sam odstrzeliłem z powodu zbyt wysokiego stopnia radioaktywności. A tam było wszystko: i cybery, i instrumenty, i materiały. No i dwadzieścia tysięcy rentgenów na godzinę. Co prawda, głównie izotopy o bardzo krótkim okresie półrozpadu – według obliczeń radioaktywność tam już nie przekracza ośmiuset rtg/h – ale co z tego? Cybery, które tam były, to już złom, gdyż elektronika nie wytrzymuje takiej radioaktywności. Jesteśmy zamknięci na tej ponurej planecie. `Możemy dwieście razy przelecieć się na kutrze na ridera i z powrotem, potem paliwo kutra się wyczerpie.

A ta planeta to mroczna i posępna dziura. Ktoś takie planety nazwał kolebkami życia, ale ta jest kolebką potworków. Nie ma tu warunków do rozwoju życia. Nie ma tu surowców, nie ma huraganów, nie ma przypływów i wstrząsów sejsmicznych. W ogóle nie ma niczego. Pomyłka natury. W ogóle nie rozumiem, jak tu mogło narodzić się życie. Timur mówi, że to najlepsze potwierdzenie hipotezy kosmicznej panspermii. Ale i tak to życie nigdy nie wyjdzie na ląd. Planeta nie ma księżyca, który tworzyłby przypływy. Ślimaki nie mają powodów do opuszczania wody. W pierwszych dniach po lądowaniu smoki zbadały już wszystko, co mogły. Teraz nie ma już nic do badania, więc wymyślają rozrywki. Wczoraj bawiły się w skakanie jedno przez drugie. Smoki!

Sprowadziłem ekspedycję na tą planetę. Chwała mi, najmądrzejszemu!

Anna układa na ziemi prostokąty z kamieni. Inni ją okrążają, niektórzy chcą jej pomóc, ale ona ich przegania. Podchodzę i pytam:

– Co to będzie?

– Nasz dom. Sprzykrzyło mi się być bezdomnym szakalem na stepie. Twój gabinet tam.

Oglądam. Układ jak nasze apartamenty na Kwantorze. Kora oczyszcza podłogę swojego pokoju z małych kamyczków, zamiata je pod ścianę. Wysokość ścian już ponad dwadzieścia centymetrów. Marazm. Oczyszczam z kamieni ten kąt gabinetu, w którym stała kanapa, kładę się i obserwuję, pogrążony w marazmie. Smoki jednak podjęły ideę budowy miasta i wcielają ją w życie z entuzjazmem. No tak, można będzie odwiedzać siebie nawzajem. Planują całą wioskę typu afrykańskiego. Krąg domów, a pośrodku plac zebrań. Proces poszedł.

Buczenie… Chciałoby się zakopać się w ziemi albo rozbić głowę o kamienie. Tylko dla niego lecieliśmy aż tutaj, do sąsiedniej galaktyki. Przylecieliśmy. I wpadliśmy na długo...

– Cała królewska konnica, cały królewski huf nie pokona Szałtaja-Bołtaja… – mamroczę ponuro. Podchodzą Anna z Korą, kładą się po bokach.

– Znowu klasyka? – pyta Kora.

– Yhm.

– Afa, masz prawo się nudzić, ale nie masz prawa rozpaczać. Smoki patrzą na ciebie.

– Przecież kierownik ekspedycji ma prawo do zwykłych prostych uczuć.

– Nie ma, kochany.

– A jeśli naprawdę jestem w panice? To co mam zrobić?

– Postawić zasłonę dymną.

– Myślisz, że to konieczne?

– Najwyższy czas. – potwierdza Anna. – Smoki są przerażone.

– No cóż, jeśli tak trzeba… Który wariant?

– Scena rodzinna.

– Temat?

– Kulinarny – odpowiada z uśmiechem Kora.

– O’key. Zaczynamy – mówię i wrzeszczę na cały głos: – Już dłużej nie mogę żreć tego świństwa! Możecie to zrozumieć?! – Rozpościeram skrzydła i startuję z miejsca. Przelatuję nad głowami smoków, zawracam w powietrzu tak ostro, że wskutek inercji kilka sekund lecę ogonem do przodu. Szybko wracam i ląduję z hałasem. Wszyscy na mnie patrzą. – Przywykłem do mięsa! Od pięciuset lat na kolację jadłem przynajmniej mały kawałeczek pieczonego mięsa! Czy to tak trudno zrozumieć?!

Emocje biją ze mnie fontanną. Kiedyś poświęciłem masę czasu, trenując wypuszczanie z siebie potrzebnego tła emocjonalnego. Kora i Anna z obu stron mnie pocieszają. Podbiegają Miri-one i Miri-two. Pozwalam się uspokoić. Smoki są wstrząśnięte odkryciem, że ich przywódca ma słabe miejsce: smakowy „pryszczyk”. Do wieczora szepczą grupkami, plotkują, wspominają rewolucję kulinarną, którą zrobiłem na Kwantorze. Kilka wyprawia się na ocean, zaczynają doświadczenia z suszeniem i pieczeniem ślimaków.

– Tak czy siak, mamy przed sobą cały rok – szepcze mi na ucho Anna. – A przez ten czas albo emir umrze, albo osioł przemówi. No, głowa do góry!

Teraz będę musiał cały czas się kontrolować. Zawsze jakieś zajęcie.

Montan wymyślił nową rozrywkę: znalazł gdzieś w okularach zestaw testów i zaproponował wszystkim sprawdzenie się. Smoki podchwyciły pomysł z entuzjazmem. Akurat drzemałem, więc mnie obudziły i wsunęły mi w łapy komputer z rysownicą. Chciałem odmówić, ale zakrzyczały mnie, że za późno, bo odliczanie czasu już ruszyło. No i zupełnie nie orientując się, o co tu chodzi, zabrałem się do rozwiązywania pierwszego zadania. Okazało się zupełnie łatwe, drugie i trzecie – też. Rozejrzałem się: dookoła wygięte nad rysownicami szyje.

– A-aj! Nie podglądaj! – pisnęła za moimi plecami Fala.

– Ależ nie podglądam. Chciałem tylko zobaczyć, które kolejne zadanie rozwiązujesz – odrzekł basem obrażony Lamour. Teraz dopiero zaczynam się zastanawiać, w co się wplątałem.

– Hej, narodzie! Proszę mi wyjaśnić, co to za testy? Po co się męczycie? – Cisza. Wygięte szyje i wytężona praca mózgów. – Ktoś tu żyje? Odezwij się. Skieruj i wzmocnij…

– Zaraz skończę zadanko – odzywa się wreszcie Montan. – Przerwy można robić tylko między dwoma zadaniami, kiedy licznik jest wyłączony. W przeciwnym razie obniży mi IQ.

A mnie nie obniży?... Szybko kończę rozwiązywanie i wpisuję odpowiedź.

– To kombinowany test, określający poziom intelektu i przydatność do zawodu Wchodzi w niego trzydzieści zadań. Ich złożoność wzrasta ze wzrostem numeru. Można je rozwiązywać w dowolnej kolejności. Można odmówić rozwiązywania złożonego zadania. Można później do niego wrócić. Pełna wolność. Najważniejsze jest określenie granic swoich możliwości.

Teraz dopiero zamyślam się naprawdę poważnie. Dla wszystkich to zabawa, ale dla mnie nie. Jestem kierownikiem ekspedycji, a ekspedycja w d… Tfu, omal nie użyłem brzydkiego słowa. Wszyscy mają nadzieję, że ich stąd wyciągnę. Gdybyśmy byli na Kwantorze, moja inteligencja i przygotowanie zawodowe byłyby im zupełnie obojętne, ale tu, w trudnej chwili, kierownik musi być naj-naj, bo inaczej… będzie oj. Ale czy ja się nadaję na naj-naj? Niestety. O to właśnie chodzi. Pytanie: co robić? Odpowiedź… no, kto mi podpowie? No dobrze, a w czym jestem najlepszy? Montan jest najbardziej pomysłowy. Kora – najsprawiedliwsza. Timur – najbardziej niezawodny. Tonara – najwrażliwsza i najbardziej uczynna. Anna – no, to nie na temat. A ja? Massaraksz, przecież jestem najgłówniejszym administratorem wszystkich systemów komputerowych! Wątpliwa wartość. Niedobrze oszukiwać, ale cóż robić?...

Niezauważalnie podłączam się do okularów Montana i ściągam z nich całą informację, dotyczącą danego testu. Oj, coś tego dużo…

I tu przychodzi mi do głowy genialna myśl. Właściwie nawet nie genialna, tylko genialnie prosta. Dotycząca tego, że we wszystkim trzeba mieć swój styl. Nawet oszustwo można uczynić dziełem sztuki. Notuję czas według zegara i zaczynam.

Test napisany jest z jednej strony w sposób bardzo prosty, ale z drugiej – równie skomplikowany. Nie zawiera trzydziestu zadań, a kilka tysięcy. Które zadanie podsunie ci komputer, zależy od tego, jak poradziłeś sobie z poprzednimi. Psychologowie wymyślili jakąś wielowymiarową matrycę charakterystyk. Każde zadanie pozwala wypełnić kilka komórek tej matrycy, więc komputer wybiera kolejne zadanie tak, żeby wypełnić ich jak najwięcej. Oczywiście im wyższy numer poziomu, tym zadania są trudniejsze, ale najbardziej skomplikowane są zadania dwudziestego dziewiątego, a nie trzydziestego poziomu. Trzydziesty to pułapka, zadania niemające rozwiązania. Przeczytałem to wszystko w instrukcji do testu, dostępnej tylko administratorom sieci, jak ja, i zawodowym psychologom. Oczywiście test uwzględnia całą masę czynników ubocznych: jak długo rozwiązuję zadanko, jakiego poziomu złożoności biorę następne, ile czasu odpoczywam między nimi itd. Biedni psychologowie i sam komputer. Teraz, kiedy znam już klucz do testu, nie rozgryzie mnie. Figa!

Pracuję dokładnie według zegarka. Rozwiązuję zadanie i czekam, aż przyjdzie czas wprowadzenia odpowiedzi. W międzyczasie, żeby się nie nudzić, czytam opis testu.

Po dwu godzinach poddał się pierwszy smok, po dalszej godzinie – następny. I poszło. W połowie szóstej godziny Anna, zła, z zaczerwienionymi od wewnątrz uszami, odsunęła komputer. Dziesięć minut po niej Kora ciężko westchnęła, zgasiła ekran, wygięła szyję, aż przycisnęła czoło do własnego grzbietu i zmęczona, zamknęła oczy. Miriamy, od początku rozwiązując zadania wspólnie, wytrzymały jeszcze godzinę. W dziewiątej godzinie zostałem sam. Odsunąłem wszystkich od siebie o dwadzieścia pięć metrów – niby to żeby mi nie przeszkadzali – zamknąłem kanały łączności swoich okularów i bezczelnie oszukiwałem. Dla mojego planu trzeba było utrzymać harmonogram, ale zadałem sobie zbyt surowe ograniczenia. Rozwiązać w tym czasie skomplikowane zadanie było absolutną niemożliwością. Z trudem zdążałem znaleźć je w bazie danych, zorientować się w rozwiązaniu, zmienić w nim coś tak, żeby wyglądało na to, że sam rozwiązałem, i zapisać je na ekranie. W końcu jako tako udało mi się dojść do zadań dwudziestego dziewiątego poziomu – ale uczciwie tylko do dwudziestego pierwszego. I oto przede mną zadanie trzydziestego poziomu, nierozwiązalne, pułapka. Czytam je. Dowieść, że… i dalej trzy linijki całek i innych znaków. Zaglądam do odpowiedzi. Rozwiązania, oczywiście, nie ma, jest za to zalecenie psychologa, układającego test: jeśli ktoś z testowanych zdoła rozwiązać tą abrakadabrę, pilnie połączyć się z nimi… podane ich dane osobowe. A to ci pasztet! Dopuszczają więc, że można to rozwiązać… Byłoby pięknie…

Uważnie patrzę na zadanie: chyba gdzieś już to widziałem. Zbija z tropu współczesna notacja, przyjęta sto pięćdziesiąt lat temu. Przepisuję w starej notacji, normalnej dla mnie. Zamieniam zmienne, potem częściami… Podchodzi Kora, przynosi wodę. Wypijam ją łapczywie.

– Wychodzi? – pyta, patrząc na ekran.

– Powolny szturm potrójnej całki – to najlepsze zajęcie dla intelektualisty – mruczę, usuwając ogólny mnożnik poza nawias. Massaraksz! Czyżby?

Szybko przepisuję, oznaczając zmienne innymi literami. Tak jest! Trzydzieści trzy razy massaraksz! Ale wpadłem! No pewnie, że wydawało mi się znajome! Ale co teraz robić?

Równania, które widzę przed sobą to trójwymiarowa baza Wielkiego Smoka! Na nich opiera się cała matematyka zero-t, ale one same nie są dowiedzione. We wszystkich podręcznikach napisano, że znam dowód. Sam tak kiedyś powiedziałem, niechcący oszukując. Nie z wielkiej mądrości, a z czystego serca, będąc pewny, że naprawdę znam. Później okazało się, że nie znam. Wyprowadziłem je intuicyjnie, ale dowieść nie zdołałem, połamałem sobie na tym zęby. Nie poganiali mnie z tym, ponieważ i tak nałożyłem weto na prace nad jednokomorowym zero-t i zdjąłem je dopiero niedawno, kiedy trzeba było ratować rodzinę Mroka. Więc to takie buty! No i co mam teraz z tym zrobić? Przyznać się, że nie znam dowodu? Wstyd. Czyli trzeba dowieść.

Z pasją zabieram się do roboty. Dawną drogą nie ma sensu iść. Ale przecież nauka nie stała w miejscu… Nie, akurat tu u nas stała. Ale są przecież równania Trepeda, wiążące zero-t z czasem. Piza nim nikt w tej dziedzinie nie pracował.

Wywołuję na okularach matematykę Trepeda i tłumaczę ją na język naszych terminów. To nie jest takie proste, ale jestem w ferworze. Mój mózg pracuje szybko i precyzyjnie, jakby nie było dziesięciu godzin napięcia, albo, na odwrót, ten test psychologiczny dobrze rozwinął moje zwoje mózgowe. Treped poradził sobie z zero-t według mojej metody: sklecił wzór i przyjął go za aksjomat. Ale jego wzór to nie to samo, co moje trzy: mój pierwszy plus mój trzeci plus coś jeszcze. Lobasti miała rację, twierdząc, że cała ich fizyka zbudowana jest na jakichś ubocznych efektach. Matematyka także. Ze wzoru Trepeda wyrywam moje pierwsze równanie. Udało się. Z tego, co otrzymałem, wydzieram z podszewką moje trzecie. To, co pozostało, wygląda bardzo ciekawie. Pięknym pismem przepisuję równania – i mam przed sobą nowy układ trzech równań. To baza Trepeda. Patrzę na te zakrętasy i próbuję przekonać się do ich wewnętrznej harmonii. Nie wychodzi. Moja baza jest dla przestrzeni, jego baza – dla czasu. Rzecz sama w sobie. Dopisuję moje drugie równanie i mam teraz system czterech równań z nieokreślonością. Nie, to wszystko jednak ma fizyczny sens! Tylko, że sens tego sensu polega na tym, że w zasadzie każdy z wymiarów, niewchodzących w skład tercetu naszego continuum w pewnych warunkach może zostać wykorzystany jako czasowy dla tego continuum. A to znaczy, że… Szybko wprowadzam równanie Trepeda w oba pozostałe moje. To jest to! Tego właśnie potrzeba mi było od samego początku! Czas! Moja nowa baza różni się od starej tak, jak równana mechaniki relatywistycznej od klasycznej.

Dopiero teraz, kiedy napięcie nerwowe spadło, czuję potworne zmęczenie. Kładę mordę na kamieniu i leniwie, jednym palcem wprowadzam do komputera wzory. Biedaczek nie wie, co ma z nimi zrobić. W jego pamięci nie ma odpowiedzi, poza tym wprowadziłem wzory w starej notacji i w terminologii zero-fizyki, a nie w abstrakcyjnej terminologii przedłożonego zadania. Komputer czysto formalnie sprawdza ich niesprzeczność i milknie. Test skończony. Patrzę na zegar: minęło ponad dobę. Nakrywam głowę skrzydłem i zasypiam.

Budzę się rześki i głodny. Koło mnie śpi Kora. Przed nosem stoi taca z suchą racją i kanister konserwowanego soku cytrynowego. Nagroda dla zwycięzcy czy co? Zjadam wszystko, wypijam sok. Wczoraj wynalazłem maszynę czasu, ale ma tą samą wadę, co jednokomorowe zero-t: bardzo Łatwo trafić w przeszłość, ale bardzo trudno trafić do SWOJEJ przeszłości. To jednak już przerabialiśmy. Trzeba wziąć bardzo dużo pułapek i łowić jakiś detal, charakterystyczny tylko dla MOJEJ przeszłości – o ile taki jest. Ale jeśli mogę trafić w przeszłość, to mogę pomóc sobie samemu w krytycznej sytuacji. A z tego wynika, że… O właśnie! Krytycznych sytuacji dla nikogo nie będzie. O Boże, co ludzie zaczną robić!... A może nie zaczną? Zaczną, nie są tacy głupi! Znam ich, sam zacząłbym pierwszy. A więc – żegnaj, odkrycie? Odkryłeś – zakryj? Cholera! Ale czemu ja się tak przejmuję, czy to pierwszy raz?

Montan podchodzi, widząc, że się obudziłem.

– Komandorze, twoja plansza pyta mnie, czy ostatnie zadanie rozwiązane jest prawidłowo. A ja sam kompletnie nic z tego nie rozumiem.

– A, zadanie… Oczywiście, że jest rozwiązane prawidłowo. Siadaj, Montan, porozmawiajmy poważnie. Wiesz, że ci twoi psychologowie grają w brudne gry, co prawda chyba z braku pojęcia? Ostatnie zadanie – to zagłada ludzkiej cywilizacji. Zetrzyj jej rozwiązanie z pamięci komputera. Jeśli ludzie je zobaczą, będzie po nich. To bardziej niebezpieczne niż wybuch supernowej.

– Dobrze. Zrobię tak – odpowiada ponuro Montan. – A teraz chodźmy na zebranie, odczytam rezultaty testów. Smoki już wychodzą ze skóry.

Mnie Montan pozostawił na koniec. Wszystkie smoki znały swoje IQ, więc żadnych większych niespodzianek nie było. Większości, chyba ze strachu, podniesiono indeks o trzy-cztery punkty. Znacznie ciekawsze było słuchanie charakterystyk, które test wydał wszystkim uczestnikom. Ale w końcu doszło i do mnie.

– A teraz, czego dowiedzieliśmy się o Komandorze – zaczął głośno Montan. – Praktycznie nic. Test na nim się załamał. Wydał jedynie przypuszczenie, że rezultaty zostały przypadkowo albo celowo sfałszowane. – Zaskoczone smoki podniosły gwar. Montan uciszył je gestem i mówił dalej:–Jak pamiętacie, Komandor przed testem słodko spał. Podnieśliśmy go, wsadziliśmy mu w łapy komputer i kazaliśmy mu rozwiązywać zadania. Tak więc, podnieśliśmy go, ale zapomnieliśmy go rozbudzić. I w takim trochę nie z tego świata stanie zaczął rozwiązywać zadania od pierwszego. Rozbudził się dopiero na czwartym i wtedy rozległ się głos wołającego na pustyni. Wielu z was go słyszało. Wyjaśniłem zasady i od tej chwili Komandor zaczął błaznować. Jeśli więc komputer czegoś się o nim dowiedział, to tylko na podstawie pierwszych czterech zadań, kiedy Komandor znajdował się w stanie anabiozy.

– Protestuję! – Podnoszę łapę. – Uczciwie wypełniłem wszystkie warunki testu! – (W myśli dla siebie dodaję: do dwudziestego drugiego zadania).

Tu robi mi się wstyd, wszyscy to czują i rozlega się przyjacielski śmiech.

– O właśnie! – Podchwytuje Montan. – Oskarżony nie ma nic do dodania. Każde zadanie od piątego do dwudziestego dziewiątego Komandor rozwiązywał piętnaście minut i rozwiązał wszystkie, co do jednego! Ani więcej, ani mniej. Po każdym brał pięciominutowy time-out. I tak po trzy zadania na godzinę, przez wiele godzin. Dokładnie co do minuty. Co wy na to?

– Oszust! – komunikuje stanowczo Anna – Mistrz mydlenia oczu! Kpi sobie ze mnie i z Kory cały czas! Zapytajcie go, po co brał przerwy.

– Pytanie przyjęte – komunikuje głośno Montan.

– Czytałem książkę o tym, jak się układa testy. Bardzo ciekawa. – Udaję zmieszanego.

– A teraz najciekawsze. Zadanie trzydziestego poziomu, obliczone na to, że nikt je nie rozwiąże. Wielu z was na pewno to zrozumiało. No więc oskarżony je rozwiązał, co prawda nie mieszcząc się w swojej normie czasowej. Zamiast piętnastu minut stracił na nie siedemnaście godzin z minutami – zakończył Montan i smoki oszołomione umilkły.

– Ależ to nie moja wina. No, trochę zapaliłem się i parę razy zbłądziłem. Następnym razem rozwiążę szybciej. – Nie wygłupiam się, tylko odciągam uwagę, żeby nikt nie zaczął wyjaśniać, jakie to właściwie zadanie podsunął mi do rozwiązania komputer.

– Jakie więc Komandor ma IQ? – pyta ktoś.

– A tego nikt nie wie – odpowiada beztrosko Montan. – Komputer poradził mi zwrócić się z tym pytaniem do układających test.

– Jakiż to więc test? Wszystkie zadania rozwiązane, czego jeszcze trzeba? – Oburza się Fala.

– O to właśnie chodzi. Wszystkie zadania rozwiązane w ciągu tego samego czasu. Przypuśćmy, że ja rozwiązuję pierwsze zadanie w minutę drugie w dwie minuty, trzecie w cztery. Na podstawie tych danych tworzymy wykres, widzimy, gdzie idzie krzywa. I właśnie ona wskazuje poziom mojego intelektu. A u Komandora nie ma żadnej różnicy! Constans! Tyle samo dla piątego, co dla dwudziestego dziewiątego! Myślicie, że on naprawdę piąte zadanie rozwiązywał piętnaście minut?

– Ale przecież on rozwiązał trzydzieste! Czy to o niczym nie świadczy?

– Trzydzieste jest dodane w celu określenia poziomu uporu. Po jakimś czasie powinien był odmówić jego rozwiązania. Test określiłby jego wytrwałość w siedzącej pracy. A on rozwiązał zadanie. Znowu zero informacji.

– No, niech będzie, że jest genialny do absurdu. Ale w jakiej dziedzinie?

– Czyli kim on ma być? Kosmonautą czy buchalterem? On i tu wszystkich oszukał. Jak podszedłby do tego inżynier? Rozwiązuje pierwsze. Bierze się za trzydzieste. Poddaje się. Rozwiązuje dziesiąte, po czym bierze się za dwudzieste piąte. I tak dalej, dopóki nie wyjaśni swojej górnej granicy. Jak podszedłby do tego kierownik ekspedycji? Rozwiąże pierwsze, bierze się za trzecie. Rozwiązuje, bierze się za siódme, potem za dziesiąte. I tak, małymi kroczkami, dopóki nie osiągnie swojego poziomu. Długo walczy z zadaniami granicznymi dla swojego intelektu. A co widzimy u Komandora? Jak zaczął od pierwszego, tak przeorał cały test aż do ostatniego. Bez żadnych opuszczeni, bez przystanków. Jak buldożer.

– Przecież to nieuczciwe! – woła ktoś, zapewne Tonara.

– A co ja mówię? – podchwytuje Montan.

– Może jeszcze raz go przetestujemy? – proponuje ktoś.

– Nie ma sensu. Afa znowu wymyśli jakąś sztuczkę. On kocha teatralne efekty. – Kręci głową Kora.

– A wiecie, kogo chciałbym przetestować? Mroka i Lobasti! U nich dopiero byłyby ciekawe wyniki! – mówię, chcąc odwrócić uwagę od własnej osoby.

Długo jeszcze smoki się sprzeczają, jak dopracować test, żeby moje sztuczki się nie udały. A ja obmyślam wczorajszy pomysł. Przypuśćmy, że można zbudować maszynę czasu. Przypuśćmy, że jestem w zupełnie beznadziejnej sytuacji: bez żywności, bez wody, powietrze się kończy. Wtedy ja z przyszłości organizuję ekspedycję ratunkową i przenoszę siebie teraźniejszego w bezpieczne miejsce. Obecny ja, nieco starszy, staję się sobą z przyszłości, organizuję wyprawę, ratuję siebie z przeszłości i żyję sobie dalej, jakby nigdy nic. Uratowałem siebie samego od pewnej śmierci. Są sprzeczności logiczne? Chyba nie… Jedyne słabe miejsce: a jeśli nagle zginę, nie zdążywszy siebie uratować, ale cóż… Mamy więc hipotezę do sprawdzenia. Jesteśmy chyba akurat w takiej sytuacji, że trzeba ratować, A może jeszcze nie? Zresztą, co za różnica, najważniejsze to sprawdzić hipotezę. Hej, ty moje przyszłe ja, daj znak!

Czekam pięć minut, wpatrzony w niebo nad głową. Żadnego znaku z Jasnej Przyszłości. Albo coś jest nie tak, albo ona nie jest taka jasna… Massaraksz! A skąd on ma wiedzieć, do jakiej chwili ma dać znak?

Patrzę na zegar, odnotowuję w pliku dokładną datę i godzinę. Teraz On wie. Czekam jeszcze pięć minut. Nic. Wołam wszystkie smoki i proszę o wprowadzenie do okularów dzisiejszej daty i dokładnego czasu. I w żadnym wypadku nie ścierać tego pliku. Znowu nic. Dwa warianty: albo nasza ekspedycja zupełnie zginęła, albo jedno z czterech…

Długo myślę w napięciu. Dochodzę do wniosku, że przypominam osła nie tylko rozmiarem uszu. Skąd On ma wiedzieć, którą godzinę wskazuje mój zegarek? Problem synchronizacji. Zbieram kamienie na stos, buduję z nich piramidę. Smoki ustawiły się w półokrąg i z ciekawością obserwują moje poczynania, proponują pomoc, ale odmawiam, mówiąc, że to zakłóciłoby czystość doświadczenia. Wszyscy są zaintrygowani. Ważę na dłoni kamień, odchodzę na dziesięć metrów i celnym rzutem ścinam wierzchołek piramidy. Nic się nie dzieje. Zanim zdążam się zmartwić, opłakać hipotezę, wyraźnie odczuwam słabe pluśnięcie zero-t i skądś z góry sypie się na mnie obłok płatków róż. Trudno opowiedzieć, jak przyjęły to smoki, gdyż sam tego nie widziałem i nie słyszałem, patrząc w osłupieniu, jak płatki układają się na mojej wyciągniętej dłoni. W powietrzu czuję aromat jakby tanich perfum. Czyżby się udało?

Zlizuję płatki z dłoni. Udało się! Przeżyję, więc i ekspedycja przeżyje, nie zginiemy. To naj-ważniejsze. Teraz szczegóły. Komu można dowierzać, a komu nie? Ludziom nie można. Jeśli każdy będzie właził w swoją przeszłość i korygował ją, teraźniejszość zginie. A jeśli będą wiedziały wszystkie smoki, wcześniej czy później będzie tak, jak z jednokomorowym zero-t. Znajdzie się drugi Conan i dowiedzą się o tym wszyscy ludzie. Więc komu można powierzyć tajemnicę, a komu nie?

– Oj!!! – Anna boleśnie uderza mnie dłonią tam, gdzie zaczyna się ogon. – Coś ty?!

– Obudziłeś się! A już myślałam, że się zatrułeś. Stoisz jak pień, nie odpowiadasz. Czy to twoja robota? – Wskazuje głową ku górze. Potwierdzam ledwie zauważalnym ruchem głowy i daję Annie umowny znak, że nie trzeba o tym mówić przy wszystkich. – Ro-ozumiem.

Traci zainteresowanie mną, odtwarza wierzchołek piramidy, bierze mój kamień, podrzuca go na dłoni, jak ja, i ciska. Nie trafia! Zamiast płatków róży spadają na nią… Co pozostanie z róży, jeśli oberwie się z niej wszystkie płatki? Kolczasta kłująca gałązka z dwoma-trzema listkami. I to właśnie na nią spada. Anna popiskuje, odskakuje, potrząsa skrzydłami, zrzucając z siebie kolczaste gałązki.

– Ach, ty parazycie! – krzyczy i rzuca się na mnie. Uciekam, a ona za mną. Pędzimy galopem chyba ze trzy kilometry, po czym pozwalam się jej dogonić. – Opowiadaj!

– Wyłącz rejestrator okularów.

– Aż tak?... No, gotowe!

– Wynalazłem maszynę czasu. To była próba generalna. Wygląda na to, że mogę wyciągnąć nas stąd w każdej chwili.

– A po co ta piramida z kamieni?

– Dla synchronizacji. Inaczej skąd ten ja z przyszłości wiedziałby, do jakiej chwili ma wysłać płatki?

– Czy dokładna chwila jest aż taka ważna?

– Oczywiście, że nie, ale tak jest efektowniej.

– Chłopczyk! Kiedy ty dorośniesz? Czekaj! A dlaczego mnie obsypałeś kolcami?

A rzeczywiście – dlaczego?

– Bo nie trafiłaś w piramidę.

– Zara-az cię ta-ak stuknę!

Anna nieoczekiwanie smutnieje. Ja też. Już mi wstyd za głupi żart, ale nie odważę się postąpić inaczej tam, w przyszłości. Boję się zmienić tą przyszłość, która już zaistniała. Tylko paradoksów nam tu jeszcze brakowało.

– Anno – szwargoczę – wybacz mi. To będzie mój najgłupszy żart. Już go żałuję. Wybaczysz?

– Du-urniu! – odpowiada gniewnie Anna. – Kto ci powiedział, że to będzie twój żart? To ja sama obsypię siebie łodygami.

Patrzę na zdarzenie z nowego punktu widzenia. Czemu nie? Jest czyn, ale kto go popełni, nie wiemy. Na razie to nieważne, ale trzeba przywyknąć do myślenia z uwzględnieniem czasowych pętli i paradoksów.

– Postanowiłaś zostać masochistką?

– Głuptasku. Przecież ciebie wyrzuty sumienia zamęczą, jeśli ja tego nie zrobię. A ja mam je cierpieć? Nie ma mowy! – Anna czule przytula się do mnie. Zuch! Obejmuję ją skrzydłem i nie śpiesząc się wracamy do obozu.

Smoki ciągle jeszcze się nie uspokoiły. Miri-one i Miri-two zebrały do kupy wszystkie płatki i łodygi i teraz uważnie je badają. Montan raz za razem zbija wierzchołek piramidy celnym rzutem, odtwarza ją i znowu zbija. Po każdym rzucie z nadzieją patrzy w górę, ale na niego nic nie spada. Niektóre smoki są przerażone, ale uspokajają się, czując moje radosne podniecenie. Wszyscy wiedzą, że wydarzenie związane było ze mną, ale jak to wyjaśnić? Nie mogłem przecież ukrywać przed nimi tak długo sporego różanego krzaka, nie wiadomo gdzie i po co. Niektóre uważają, że jednak mogłem.

– Komandorze, nie dręcz nas, powiedz, co to było? – błaga Timur.

– Pewien mój znajomy żartowniś się zabawia – odpowiadam mgliście. Anna uśmiecha się zagadkowo. Na kilometr czuje się, że wszystko wie, ale nikomu nie powie.

Kulinarne eksperymenty wreszcie przyniosły pozytywny rezultat. Jeśli wziąć meduzę, położyć ją na płaskim kamieniu i wysuszyć, otrzymamy skórkę, przypominającą w smaku ziemniaczane chrzęszczące chipsy. Najpierw pochrzęści, a potem rozpuści się w gębie. Wadą dania są trudności z przechowywaniem. Jeśli kropla wody spadnie na taki chips, już zamiast smakołyku mamy kupkę śluzu. Drugą wadą są kłopoty z przyrządzaniem. Trzeba koniecznie wysuszyć w ciągu jednego dnia, inaczej produkt jest stracony. Ale pod słońcem meduza nie zdąży wyschnąć w ciągu jednego dnia. Dlatego trzeba wziąć z kutra zapasowy wypukły blister i nalać do niego wody jak do miski. Otrzymujemy nie najlepszą soczewkę o półtorametrowej średnicy. Tą soczewką trzeba skupić na meduzie światło słoneczne. Proces jest bardzo subtelny. Nie można ani doprowadzać meduzy do wrzenia, ani bryznąć na meduzę wodą. Najlepiej suszyć równocześnie dziesięć meduz, gdyż proces i tak zajmuje cztery godziny. Rozkładasz je na kamieniach i biegasz od jednej do drugiej z miską-soczewką w łapach, podgrzewając je po kolei. Długo? Owszem. Ciężko? Owszem. Za to smak – palce lizać.

Niebieski smok… Stał niedaleko ode mnie, jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Przyjrzałem mu się uważnie, a potem dziesiątki razy przewijałem zapis przez okulary. Był bardzo podobny do nas: szeroka pierś, duża głowa, wysokie czoło myśliciela, potężna muskulatura, ale jak na samca, był nieco za mały.Najbardziej zdumiały mnie jego rogi: dwukrotnie krótsze od moich, nie mogły już być groźną bronią, tylko drugorzędną oznaką płci, jak zarost na twarzy u ludzi. Niebieskie łuski – no cóż, zwykła sprawa, ale biały trójkąt na piersi, jak u niedźwiedzia himalajskiego – tego dotąd u smoków nie było. Patrzył na nas sekundę, po czym popchnął w naszym kierunku wózek i zniknął w wybuchu. Tak nam się wtedy wydawało, ale oglądając to w zwolnionym tempie zobaczyliśmy, że wybuch miał miejsce ułamek sekundy później. Pozostał po nim dziwny lej, jakby odcisk olbrzymiej kuli w kamieniu.

– Mój Boże! – szepcze Kora. Anna kręci głową. Patrzy to na mnie, to na lejek. Na pewno myśli, że to znowu moje sztuczki.

Na miękkich łapach podchodzimy do lejka. Powierzchnia obtopiona, ale nie gładka jak lustro, tylko pełna drobnych, ledwie widocznych porów. Smoki otaczają lejek.

– Kto to był? – pyta Montan.

– Najlogiczniejsze byłoby założenie, że nasz potomek – wysuwa hipotezę Platan. – Zwróćcie uwagę, że jest mniejszy od nas, ale ma większą głowę.

– Ale ma małe rogi…

– Wyradzamy się, chłopcy, zmniejszamy – zauważa Dorian.

– Cóż, nie wiem. Chciałbym mieć taką muskulaturę.

– To gimnastykuj się codziennie rano.

– Komandorze, ile pokoleń musi minąć, nim rogi się tak skrócą? – pyta Platan.

– Nie wiem. Ale jeśli to wynik korekty genetycznej, wystarczy dziesięć do dwunastu lat.

Wszyscy patrzą na mnie ze zdumieniem.

– Dzisiaj nie ma niebieskich smoków – wyjaśniam. –Jeśli jutro zrobimy korektę fenotypu, to potem trzeba będzie czekać dziesięć lat, zanim zarodek dorośnie.

– Ale po jakiego diabła komuś może być potrzebna taka korekta?

– Chłopcy, a czy ktoś z was używał kiedyś rogów zgodnie z przeznaczeniem? – pytam. – Tylko dwóch. Sami widzicie, że rogi okazały się nam niepotrzebne.

– A mnie podobają się mężczyźni z wielkimi rogami – komunikuje Anna i złośliwie patrzy z ukosa na mnie. To taki jej żart.

– On mi kogoś przypomina… – mamrocze w zamyśleniu Dorian.

– Lobasti! – woła Platan. – Usuń rogi, pomaluj na zielono – wykapana Lobasti.

– O właśnie! – wykrzykuje Dorian. – Może to jej syn albo wnuk?

Schodzę na dno lejka, nie wiadomo po co obwąchuję opalony kamień.

– Coś sięnie zgadza, Komandorze? – pyta Montan.

– Nic się nie zgadza. Nasze zero-t może wychwycić z przestrzeni prostopadłościan. W skrajnym przypadku, jeśli już bardzo się sprężymy i zrobimy okrągłe bieguny, otrzymamy cylinder. A tu sfera kulista. I wybuch. To nie jest zero-t.

– Ale my czuliśmy.

– Chciałem powiedzieć: to nie jest nasze zero-t – poprawiam się. – My nie umiemy transportować kulistego wycinka przestrzeni. Nawet nie wyobrażam sobie, jak się to robi i po co.

– Czy ktoś zauważył jeszcze coś niezwykłego? – pyta Dorian.

– Nie miał okularów. I chyba pasa też – odpowiada Fala.

Zuch dziewczyna. Ja nie zwróciłem uwagi. Odwracam się do niej i na chwilę zastygam. Tonara zamarła wpół kroku z na wpół otwartym pyskiem. Jestem pewny, że nie widzi i nie słyszy nic z tego, co się wokoło niej dzieje. W jej oczach widzę zdumienie i przerażenie – nawet nie wiem, czego więcej. Podchodzę do niej, kładę jej łapę na ramię.

– Co się z tobą dzieje?

– To… to niemożliwe! – mamrocze Tonara i wychodzi z osłupienia.

– Coś ty widziała?!

– Spotkałam się oczami z nią… z nim. I wydało mi się, że… Nieważne.

– Patrzcie! – woła Platan za moimi plecami.

Oglądam się i widzę, że wózek, pozostawiony przez niebieskiego smoka, płynnie przechyla się na bok. Część pudełek wypada. W dwu skokach jestem obok. Koła topią się i rozlewają po kamieniach srebrzystymi kałużami. Dotykam boku – zimny jak lód.

– Zamrożona rtęć? – pyta Granit.

– Nie. Bardziej złożony stop – odpowiada Lamour, który zdążył już wsunąć końcówkę analizatora do srebrzystej kałuży. – Coś w rodzaju metalu Wooda, tylko topi się nie przy dziewięćdziesięciu stopniach Celsjusza, tylko przy pięciu, plus-minus dwa-trzy stopnie.

Stoimy i obserwujemy, jak wózek zamienia się w strumyk ciekłego metalu. Platan usuwa łapę z drogi strumyka i zamyśla się. A cóż nam innego pozostaje? Po kilku minutach z wózka nie pozostaje nic oprócz stosu pudełek na kamieniach. Platan otwiera jedno z nich.

– Zarodek cyborga.

– Na co nastawiony?

Platan zdejmuje pokrywkę, otwiera pulpit sterujący, zadaje pytanie.

– Jakiś specjalistyczny kombinat przemysłowy. Wyrób numer dwa. Co to znaczy?

– Akumulatory – podpowiada Granit.

Otwieramy pozostałe pudełka. We wszystkich są zarodki cyborgów, każdy nastawiony na co innego. Ten na górnictwo, tamten na rozwijanie się w bazę inżynieryjną, jeszcze inny w fabrykę żywności. Wszystkie razem dadzą nam standardową bazę mieszkalną. W zasadzie wystarczyłby i jeden, ale dwadzieścia cztery zrobią wszystko dwadzieścia cztery razy szybciej. A może jeden nie wystarczy, wykończy się, zanim wszystko zbuduje? Nikt nigdy tak nie próbował, zawsze wypuszczano je paczkami.

Nagle robi mi się smutno. Anna bierze mnie za łokieć, odprowadza na bok.

– Czy to twoje? – Pokazuje na stos pudełek.

– Nie wiem, ale raczej nie.

– A dlaczego tak się rozkwasiłeś?

– Bo pomyślałem nagle, że ta baza to na długo. Na bardzo długo.

Anna wściekle rzuca mocne przekleństwo z czasów naszej młodości.

– Komandorze! – woła Granit. Podchodzimy do niego. – Proszę tu spojrzeć.

Na boku jednego z zarodków widzę drukowany tekst. Czytać niewygodnie, gdyż litery i słowa są prawie niewidoczne i odwrócone jak w lustrze.

„Rezerwowy fundusz Muzeum Historii Techniki. Nimbus” – odcyfrowuję z trudem.

– Gdzie jest to muzeum?

– Zaraz poszukam – mówi Montan i przewraca oczami, kierując okularami. – W moich bazach takiego muzeum nie ma.

– Bazy są kompletne?

– Tak… Do końca roku ubiegłego.

– Sprawdźcie, w którym roku wyprodukowano zarodki.

Po chwili okazuje się, że dwa w bieżącym, jeden dwa lata temu, pozostałe w zeszłym.

– Czy to o czymś świadczy? – pyta Montan.

– O niczym – odpowiadam. – Aktywujcie zarodki.

Smoki włączają. Zarodki wyprostowują pajęcze łapki, podnoszą się, rozglądają. Wiem, że zaraz wyślą w eter sygnały, ustanowią łączność między sobą i zaczną działać jako jedna całość. Skorygują indywidualne zadania i pod powierzchnią planety rozwiną budowę standardowej bazy kosmicznych desantowców. A budowa potrwa dosyć długo Ponad rok, a może i pięć lat. Nie chcę tu siedzieć pięć lat!

Pajączki już dogadały się między sobą i rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Robią zwiad okolicy i wybierają miejsce dla przyszłej bazy. Każdy z nich wie już wszystko o pozostałych. Nawet, jeśli niektóre zginą, inne wypełnią ich zadania. Wiem to, gdyż sam kiedyś nadzorowałem ich wykonanie.

Kora gryzie koniuszek pazura i ponuro patrzy w ziemię przed sobą.

– Nad czym tak myślisz?

– Coś tu śmierdzi. Brakuje logiki. Jeśli on jest stamtąd – pokazuje w górę – to po co mu te wygłupy z wózkiem? Jakby nie wiedział, że w naszych czasach nie było niebieskich smoków.

– Akurat z wózkiem jest wszystko w porządku. Nie zdołał wypożyczyć go z muzeum, a nie chce, żeby informacja z przyszłości przenikła w przeszłość. Boi się stworzyć jakąś pętlę czasową czy inny paradoks. No i skonstruował wózek, który sam się rozpłynął.

– Nie wierzę. – Kręci głową Kora. – Wiesz, co mi przyszło na myśl? Twój ulubieniec Mrok, gdyby chciał wyprowadzić nas w pole, postąpiłby dokładnie tak samo.

– Co ma tu do rzeczy Mrok?

– O właśnie: co ma tu do rzeczy Mrok? – powtarza Kora.

Niedorzeczny pomysł. Mimo to próbuję dopasować go, patrząc badawczo na koniuszek ogona. Nie da rady. Z którejkolwiek strony spojrzysz, niedorzeczny.

– Komandorze, czy to w jakiś sposób wiąże się z płatkami róży? – pyta Montan. Nawet nie zauważyłem, kiedy podszedł.

– Jeśli obsypać Mroka płatkami róży… – mamroczę w zamyśleniu – A? Co? O co pytałeś?

– Wszystko zrozumiałem – mówi Montan i odchodzi.

Smok już trzecią dobę dyskutują z ożywieniem o wydarzeniu. Mnie starają się nie niepokoić. Co prawda młodzież chciała mnie przesłuchać – z uważnym śledzeniem moich reakcji na zadawane pytania – ale Dorian i Platan stanęli w mojej obronie, a Anna obiecała, że im poobrywa uszy. Ode mnie z przyszłości żadnych wieści, od niebieskiego smoka też. On nawet nie wie, że otrzymał u nas imię: Żartowniś. Smoki spierają się, czy to ten sam żartowniś, o którym mówiłem, czy inny. W każdym razie już się nie nudzą. Jeśli przyszły ja chciał to osiągnąć, to osiągnął. Nie czuję jednak w tym pomyśle swojego stylu, gdyż nie miałem zamiaru rozgłaszać tajemnicy podróży w czasie, a smoki teraz tylko o tym mówią. To wszystko jest dziwne. Czyżbym tam nie zdołał dogadać się z Żartownisiem?

Zarodki cyberów szukają złóż rud metali. Z metalami tu bardzo źle, nawet glinu praktycznie nie ma. W skorupie ziemskiej jest go ponad siedem procent, a tu jedna dziesiąta promila. A jak bez metali wyprodukować elektrykę i elektronikę? Niech poszukają jeszcze z tydzień, potem pomyślę. Zresztą pal diabli zarodki. Jestem kierownikiem ekspedycji, smoki wierzą we mnie, idą za mną, liczą na mnie. Sam zaszczepiłem im tą wiarę. Idiota! Po co wygłupiałem się z tym testem? Wierzą we mnie, a ja nie wiem, co robić. Kierownik ze mnie do d… Tyle razy dawałem sobie słowo, że nie będę już niczym kierował! Podchodzi do mnie Kora, kładzie końce skrzydeł na moich plecach i przytula swoje czoło do mojego. Jej czoło jest zimne.

– Coś nie tak, Afa?

– Nie wiem, co robić – rozkładam łapy.

– A może teraz nie twój ruch, ojcze? – pyta Miri-two. Nawet nie słyszałem, jak podeszła.

– Nie wiem. Ale figury rozstawione, trzeba grać.

– Uściślij, jak rozstawione są figury. – To już Miri-one.

– Przecież sama widzisz. Baza zero-t zniszczona, do ridera kilka razy strzelano. Przeżyliśmy czystym przypadkiem.

– A przypuśćmy, że przeżyliśmy nie przypadkiem, tylko dlatego, że odłączyłeś całe zero-t.

– … bez którego rider zamienił się w puszkę po konserwach.

– Afa, ale co im się nie podobało w naszej bazie?

– Sam chciałbym to wiedzieć.

– To nie baza im się nie podobała, tylko zero-t.

– Nie, Miri-one. Po prostu celowali po pluśnięciach zero-t naszych przesyłek.

– Celować mogli i do zero-latarń. A bili zawsze 4,2 sekundy po dużych przesyłkach..

– Zawsze?

– Nie jestem przecież smokiem. Nie czuję zero-t.

– A mogłabyś.

– Dla ludzi to niewłaściwe.

– Ale ty przecież nie jesteś… Oj, Miri-two, za co?

– Sam wiesz, ty gruboskóry hipopotamie!

– Myślisz, że jeśli z uchem tatusia zrobisz bu-bu, to już z androida staniesz się człowiekiem? Szybciej by ciebie za mąż wydać, ale kto cię weźmie? Z takim charakterem!

– Wiesz, że my nie lubimy takich słów.

Zadałem komputerowi w okularach pytanie i otrzymałem odpowiedź z ledwie dostrzegalnym opóźnieniem, jakby rozwiązywał jakieś zadanie. Większość nie zwróciłaby na to uwagi, gdyż ich komputery stale są zajęte diabli wiedzą, czym. Ale nie mój. Ja wolę wiedzieć, czym on się zajmuje. Żadnych śmieci, żadnych wiszących na procesorze demonów, czekających Bóg wie na co. Tylko to, co niezbędne. A tu nagle – opóźnienie. Wywołuję harmonogram obciążenia procesora. Tak jest, prowadzi sortowanie i wyszukiwanie informacji i przesyła ją przez hiperłącze innemu abonentowi. Ktoś grzebie w pamięci MOJEGO komputera! Dla zwykłego śmiertelnika to niewykonalne. Ja sam mogę to robić – jako główny administrator systemów komputerowych. Ale włamać się do MOJEGO komputera, zabezpieczonego ze wszystkich stron hasłami, bez mojego pozwolenia nie jest tak łatwo.

Przerywam ucieczkę informacji i wyjaśniam, kto to zrobił. Kod abonenta absolutnie nic mi nie mówi, imię – Blue. Blue – niebieski, może także znaczyć smutny. Smutny niebieski, massaraksz! Któżby to mógł być? Czyżby nasz niebieski przyjaciel – Żartowniś?

Zwołuję ogólne zebranie w trybie alarmowym. Smoki zbierają się w dwadzieścia sekund.

– Przed chwilą ktoś wlazł do moich okularów i zbierał informację. Muszę wiedzieć, czy to jeden z was, czy ktoś inny. Jeśli jeden z was, nie musicie podawać imienia, to mnie nie interesuje. Chciałbym też wiedzieć, w jaki sposób on przeniknął do mojego komputera, ale to już po prostu tak, ze zwykłej ciekawości.

– Komandorze, to nie my – odpowiada za wszystkich Dorian po krótkiej naradzie ogólnej.

Tak i ja myślałem. A jednak…

Gdzieś w pobliżu czuję słaby plusk zero-t.

Po chwili, kiedy smoki się uspokajają, podchodzi do mnie Miri-two. Siada na ziemi, cały czas podrzucając na dłoni kamyki.

– Komandorze, w czasie twojej przemowy ktoś zręcznie próbował wejść we mnie. Wziął mnie za komputer okularów i próbował podłączyć się do kanałów audio i wideo.

– Chciał podsłuchać. Dzielny. Inny dałby nogę po tym, jak go nakryłem. A jak go wykryłaś? – pytam. Miri-two odpowiada z uśmiechem

– Wiesz przecież, że my mamy bzika na punkcie suwerenności wewnętrznej. Potrójne zabezpieczenia na wszystkich kanałach łączności. Żadnych protokołów, ukrytych w żelazie, same emulatory. Dlatego mogłam sama zainicjować próbę ustanowienia połączenia, no i wlazłam do atakującego mnie komputera.

– Kto to był?

– Blue.

– To i ja wiem. – Smutnieję. – Ale kto to jest ten Blue?

– Myślę, że to smok. Ma komputer bardzo podobny do okularowego, ale do głównego menu dodano kilka nowych punktów. One czymś sterują, ale nie zrozumiałam, czym. Aha, indykację ma skierowaną nie na display okularów, a na senso. Co jeszcze? Zna twoje hasło, pod którym włazisz do wszystkich.

Tak… Żeby to powiedzieć, trzeba też znać owo hasło. Czyli Miri-one również je zna.

– Miri-two, powiedz mi w sekrecie, czy ty często buszujesz w komputerze okularów taty?

Czerwienieje. To także odpowiedź. N-tak...

– My możemy.

– A czemuż to?

– Stworzyłeś nas i masz nas takie, jakimi stworzyłeś. I nie zepsułyśmy ci ani jednego pliku. A jak będziesz się gniewał, to nie powiem ci najważniejszego. – Obejmuje mnie za łapę i łaskocze błonkę. Szantażystka… Kto uwierzy, że zamiast szarych komórek ma procesory?

– Zrobiłem ciebie, ale kto cię wychował? Chętnie spojrzałbym mu w oczy.

– Ojcze, z tobą jest naprawdę łatwo… Montan tak się na nas obraził… Dotąd dąsa się, nie może nam wybaczyć. Bo zamieniłyśmy mu w monitorze okularów prawe oko z lewym…

– Chciałaś zakomunikować mi coś ważnego.

– Zegar-kalendarz. U nas pokazuje datę i czas. U niego dwie daty i dwa czasy. U dołu nasze, a u góry przyszłe.

– Z którego on jest roku?

– Z pojutrzejszego. W sensie: tego, który będzie za dwa lata.

– Massaraksz! To niemożliwe! On ciebie oszukał.

– Coś ty, ojcze. Sam się przeraził, kiedy mnie poczuł. Od razu dał dyla. Nawet nie zerwał kontaktu.

– Jak cię poczuł?

– A jak ty poczułeś, że on wlazł w twój komputer?

– Po zwłoce w odpowiedzi.

– Uch ty! Ojcze, jesteś genialny! U mnie wszystko było prościej. Zobaczył, jak skradam się po jego menu. Myślałam, że to okulary, więc żeby być niezauważoną, zastosowałam środki ostrożności odpowiednie dla nich. A to było senso, tam są inne zasady. Zobaczył mnie i zaczęło się przeciąganie kursora: on w swoją stronę, ja w swoją. Jak na klawiaturze w cztery ręce. Potem na sekundę go puściłam: chciałam zobaczyć, co on zrobi. A on przerzucił kursor na menu „Powrót” i uciekł.

– To znaczy, że gdybyś nie pozwoliła mu przerzucić kursora, nie mógłby zniknąć?

– Tak.

– I weszłaś do jego komputera kanałem, który sam otworzył?

– Aha. Inaczej nie miałabym aż takich praw dostępu.

– I kierowałaś jego komputerem bezpośrednio na jego oczach?

– Tak.

– Obawiam się, że go przestraszyliśmy. Możliwe, że on tu się już nie pojawi.

– Dlaczego, ojcze?

– Postaw się na jego miejscu. Włazi do okularów smoka. Odkrywają go i dają mu kopniaka w tyłek. W obozie podnosi się alarm. Pół minuty później włazi w „okulary drugiego smoka”, jak myśli. Następuje kontratak i teraz on staje się obiektem badanym. Jeszcze trochę, a wzięłabyś go do niewoli. Dwie klęski w ciągu minuty – to trochę za dużo.

– Niech wie, z kim ma do czynienia. Jesteśmy Zastępem!

– On wie, ale my nie. To jednak wstyd. Prowadziłaś zapis?

– Ojcze, mam inną zasadę. Nie mogę nie prowadzić.

– Puść na moje okulary. Chcę zobaczyć.

Tak, to rzeczywiście senso, a nie okulary. Nasz niebieski przyjaciel nie nosił okularów, ale nie nosił też hełmu sensowizora. Zaczęli sobie wszczepiać komputery do czaszek, czy co? I co ma znaczyć ta druga data? Zorganizowaliśmy bazę w przyszłości, czy jak? A menu ciekawe… I mam jeszcze jedną ciekawą myśl, chociaż niezwiązaną z tematem.

– Dlaczego Kora tak dziwnie ogląda się na ciebie?

– Czuje. Miri-two, daj pomyśleć… Dwa przypadki, i niebieski smok ucieka, przekonany o naszej… bo ja wiem… albo potędze, albo wszechwiedzy. Czy to ci nie przypomina teatru?

– Wszyscy wiedzą, że ty lubisz kpić ze wszystkich.

– Lubię? Tak, kiedyś lubiłem. Nie wiem, czemu, ale wszystko, do czego się wezmę, zamienia się w teatr, lub, jeszcze gorzej, w cyrk. Pamiętasz ewolucję człowieka? Człowiek zręczny, człowiek wyprostowany, człowiek rozumny. Fantaści uważali, że następny będzie człowiek grający. Pojawił się grający smok. Gracz. A czy ktoś pomyślał, czy to dla niego ciekawe?

– Co w tym złego?

– Nie można grać tak po prostu. Można grać czyjąś rolę. Nawet chłopiec budujący zamki w piaskownicy bawi się w architekta, nie sądzisz? A teatr przecież jest oparty na kłamstwie Aktor nie mówi własnych słów, tylko obce, i nawet sam w nie wierzy! Póki nie opadnie kurtyna.

Miri-two zdejmuje bluzkę, podaje mi ją.

– Masz moją koszulkę, wytrzyj łezki.

– ???

– Stworzyłeś sam siebie, a teraz biadolisz. Ja nie biadolę. Chociaż we mnie jest niedoróbek do diabła i trochę.

I to ma być współczucie?! Jak nogą po twarzy. Ale chyba prawidłowo.

– Coś ty, teraz zająłeś się samobiczowaniem? Ojcze, teraz trzeba myśleć o czym innym!

– Zdążymy. Zdążymy ze wszystkim. Nie ma się gdzie śpieszyć. Partia układa się tak, że możemy robić tylko ruchy rewanżowe. Chociaż… Wiesz co, Miri-two, pokażemy twoje kadry wszystkim. Jedna głowa dobrze, a…

– … a gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

– Nie zrozumiałem.

– Ja też. Próbuję żartować. Ojcze, nie mów nikomu, że to ja zrobiłam te kadry. Niech to będzie nasza tajemnica.

– Dobrze. – I znowu ogłaszam ogólną zbiórkę: – Ja i Miri-two przeprowadziliśmy wstępną deszyfrację informacji, które udało się przechwycić z komputera Żartownisia. Zobaczcie, co otrzymaliśmy i powiedzcie, co o tym myślicie.

Smoki po kilka razy oglądają wideorolkę Miri-two. Najpierw całą, potem walkę o kursor. Wyjaśniają, w którą stronę ciągnąłem ja, w którą Żartowniś. Miri-two skrycie mi podpowiada, dzięki czemu wytrzymuję to przesłuchanie. Montan zabarwia rolkę. Moje działania podświetla na zielono, Żartownisia – na czerwono. Efekt doprawdy porażający. Zamiast bezładnego miotania kursora po polu – krótka, zażarta walka. Ataki i kontrataki. Bitwa o komputer. Oglądamy ją w tempie dziesięciokrotnie zwolnionym.

– Komandorze, czy to naprawdę przechwyt z okularów Żartownisia? – Nie wierzy Lamour.

– Żartowniś nie ma okularów, tylko sensowizor.

– Komandor potrafi nie takie rzeczy! Żebyście widzieli, co on robił z moimi okularami! – nie bardzo na temat woła Granit.

– Afa, mnie się wydaje, że to młoda dziewczyna – mówi Kora.

– Dlaczego?

– No, nie wiem. Czasem wchodzisz do nieznanego mieszkania i od razu widzisz, że mieszka w nim dziewczyna. Tak i tu. Po prostu czuję.

– Nie mogę nic powiedzieć o płci – zauważa Montan – ale w jego albo jej duszy jest coś piekielnego. Ono denerwuje się, boi, miota, ale jest gotowe na wszystko.

– Skąd to wziąłeś?

– Tak uważam jako psycholog – odpowiada wzruszając ramionami.

No więc, co my tu mamy? Niebieską dziewczynę z rogami i białym trójkątem jak u himalajskiego niedźwiedzia na piersi, gotową na wszystko. Ale po co jej rogi? Ofiara emancypacji? Podrzuciła nam zarodki cyberów, które nie mogą zacząć pracy, gdyż tu praktycznie nie ma metali. Po co ona wlazła w moje okulary? Czego tam szukała? Czego chce od nas rogata himalajska dziewczyna? Zabierzcie mnie w Himalaje! A jak nie to ja zawyję, a jak nie to ja zapłaczę, a jak nie to kogoś z was zjem! Om mani padme hum!

Roboty powyżej głowy, a nie mamy co robić. Zarodki cyberów wszystko zrobią lepiej – jeśli znajdą metale. A jak nie znajdą, to nie zrobią. Nie, muszą znaleźć. W przeciwnym wypadku ja z przyszłości już by nas stąd wyciągnął. Jeśli nie wyciąga, to znaczy, że mamy tu coś do zrobienia. I wątpliwe, czy chodzi tu o Żartownisia. Najpewniej chodzi o to, żebyśmy wyjaśnili, dlaczego nas tu nie lubią. Czyli czekać, dopóki nie zbudujemy kompleksu. Nudno. Kiedyś nieźle mi wychodziło łupanie kamieni łomem. Najczarniejsza praca fizyczna. Ale na razie nie ma nawet łomu.

Ktoś wymyślił nową rozrywkę: odgadywanie zagadek. Dałem sobie słowo nie wygłupiać się… Podchodzę, słucham, i zagaduję:

– Cztery nogi, żółte pióra, waga dwie tony. Co to takiego?

Smoki łamią sobie głowy, a mnie i śmiesznie, i wstyd. To dziecięca zagadka czasów mojej młodości. Znam takich setki. O zielonym śledziu pod łóżkiem, o kurczątku i drodze, o A i B na rurze, o domowym zwierzęciu na literę K. Ale nie będę ich zadawał, bo zerwę turniej.

– Upierzony słoń? – pyta Lamour.

– Blisko, ale nie zgadłeś.

– Poddajemy się! – woła Fala.

– Dwa kanarki, każdy o wadze tony.

Smoki śmieją się i kontynuują turniej, a ja odprowadzam Korę na bok.

– Wygląda na to, że utknęliśmy tu na długo. Jak twoja prognoza: kolektyw wytrzyma?

– Myśmy już coś obliczyli. Orientacyjnie łączność powinniśmy ustanowić w ciągu pięciu-dziesięciu lat. A pełny program badań zajmie dziesięć-piętnaście lat. Smoki są na to gotowe.

– To z uwzględnieniem…

– Z uwzględnieniem wszystkiego.

– Według moich prognoz tyle samo. Tam mój samuraj został bez dozoru. Trzeba byłoby przy nim pełnić wachty. A ja Mroka nie uprzedziłem, rozumiesz?

– Wszystko będzie dobrze. Wierz mi.

Budzę się od tego, że ziemia ucieka gdzieś w dół, a potem boleśnie bije w brzuch. Równocześnie po uszach bije wystrzał armatni. Trzęsienie ziemi? Na tym potworku – trzęsienie ziemi?! To niemożliwe. A jednak żebra bolą. Ziemia pode mną jeszcze parę razy drgnęła i uspokoiła się. Wzywam na okulary menu koordynatora. Całe pole widzenia wypełniają kwadratowe fotografie smoczych mordek. Czerwonych kwadracików nie ma, czyli wszyscy żyją.

– Patrzcie!

Oglądam się na krzyk. A to dopiero!

W lejku, który został po wizycie Żartownisia leży żelazna kula. Taka mała, błyszcząca kulka o średnicy nie większej niż trzydzieści metrów. Lejek od samego początku przypominał odcisk kuli w gruncie, a teraz pojawiła się także sam kula.

– Wszystko widziałam. Pojawiła się na wysokości dwu-trzech metrów i spadła. Przysłali nam ją przez zero-t – wyjaśnia Tonara.

Montan już jest na kuli, a Timur dotyka jej końcówką analizatora.

– Czyste Ferrum – komunikuje. – Z niklem.

Gwizdem wzywam zarodki cyborgów. Naprawdę to przez okulary, ale nie mogę pozbyć się głupich nawyków. Podbiegają dwa pajączki: drugi i dziewiąty.

– Możecie wykorzystać ten metal. – Wskazuję na kulę.

Pajączki, rozwijając w biegu analizatory, śpieszą zbadać zdobycz, a ja wracam na swoje miejsce i kładę się dosypiać. Teraz, po rozwiązaniu problemu braku metali, baza na pewno będzie zbudowana. Ciekawe, kto podrzucił kulkę: ja czy Blue? Stawiam dwa przeciw jednemu, że Blue. Ja rozsypałbym metal w proszku po gruncie, żeby nie rzucał się w oczy, poza tym to on zrobił lejek.

– Komandorze, tu jest napis!

Pospać nie dają. Otwieram oczy. Wszystkie smoki stłoczyły się wokół kuli. Zupełnie jak dzieci! Montan siedzi na samej górze kuli, wyciąga szyję i patrzy w stronę morza. Podchodzę. Napis jest rzeczywiście. Tylko dwie linijki:

2 => 1,3

2 + (1,3) = L

W języku programistów oznacza to: 2 jest większe-równe 1,3. Zgadza się. Ale programiści stawiają kropkę, a nie przecinek, jakwielu innych. A jak rozumieć drugą linijkę? Co może oznaczać L? Rzymskie 50? 3,3 to przecież bez porównania mniej. Co litera L oznacza w fizyce? Długość? Byłaby z lewej strony równania. I po co te nawiasy? Nie, 1,3 to nie liczba, to spis czegoś. 1 i 3. Ale wtedy pierwsza linijka staje się niezrozumiała. Trzeba to będzie dokładnie przemyśleć. Rano.

Wracam, kładę się na nagrzanym miejscu, próbuję zasnąć. Anna odtwarza rządki kamieni, imitujące ściany. A Kora? Kora pociesza Miriameczki, które coś bardzo rozstroiło. Zorientuję się rano. Same nie podeszły, więc sprawa może poczekać. Nakrywam głowę skrzydłem.

– Komandorze, przeprowadziliśmy pomiary. Idealna kula, z dokładnością do milimetra. A powierzchnia lśni jak lustro! Tu jest nie tylko żelazo. Wewnątrz kuli jest wszystko! I miedź, i wolfram, i tytan, i rtęć! Wszystkie metale! – Triumfuje Timur.

– Tak musiało być. Samo żelazo nie wystarczy do budowy bazy. Dajcie mi spać!

To było oczywiste. Blue podrzucił nam zarodki nie dla piękna. A kiedy zorientował się, że zarodki cyberów nie znalazły metali, podrzucił nam to, czego brakowało. Teraz będziemy tu siedzieli piętnaście lat. Amen. Zamykam oczy.

– Komandorze, można na parę myśli? –Tym razem to Montan. Otwieram oczy

– Można. Siadaj tutaj. – Wskazuję oczyszczoną z kamieni przestrzeń wzdłuż „ściany” z kamyków. – To jest kanapa.

Montan ogląda plan mojego domu, kiwa głową i siada na wskazanym miejscu.

– W tej kuli jest mnóstwo innych kulek, idealnie okrągłych. Każda z nich zawiera inny chemicznie czysty metal.

– Timur już mi to mówił.

– Ale podstawowa kula to stop żelaza z niklem. Jak w meteorytach…

– Chondrytach – uściślam, porażając go erudycją, wyniesioną z podręcznika. – 91% żelaza, 8,5% niklu, tak?

– Zgadza się. – Montan robi pauzę i czeka, aż będę za niego kontynuował myśl. Ale ja z czystej złośliwości milczę. Z wahaniem podejmuje: – Jestem przekonany, że tą kulkę wydarto z żelazno-niklowego asteroidu za pomocą zero-t. A potem naszpikowano innymi kulkami także przy pomocy zero-t.

– Więc co ciebie w tym zbija z tropu?

– My byśmy wysłali prostopadłościan naszpikowany sześciankami albo sztabkami. Technicznie to dużo prostsze. Myślałem nad konstrukcją induktorów fazowych do przesłania kulistego wycinka przestrzeni. Teoretycznie to możliwe, ale w praktyce nader skomplikowane…

Oho! Ja też nad tym myślałem, ale nie znalazłem nawet podejścia teoretycznego. Pytanie: kto z nas jest głównym specjalistą od zero-t? Myślałem, że ja.

– No i jakie wnioski?

– Komandorze, właśnie o tym myślę. Po co stokrotnie komplikować tak prostą i niezawodną rzecz? W czym przesyłanie kuli jest lepsze od sześcianu? Po co tak utrudniać sobie życie?

– Montan, ja chcę spać. Nie agituj mnie. Przejdź od razu do wniosków.

– Albo oni… to znaczy my z przyszłości… odkryliśmy nową zasadę fizyki, dzięki której uprościła się praca z kulami, albo Żartowniś po prostu zawraca nam głowę.

– Odkrycie nowej zasady nie uprości, tylko skomplikuje aparaturę. Dawaj drugą myśl.

– Jeszcze trochę o pierwszej. Dlaczego kula pojawiła się nie w lejku, a na wysokości trzech metrów nad powierzchnią? Plus dwumetrowa głębokość lejka. Spadła więc z wysokości pięciu metrów. Dlaczego nie pojawiła się bezpośrednio w lejku?

– Żartowniś bał się chybić.

– Nie! Kula pojawiła się DOKŁADNIE nad lejkiem, z dokładnością do centymetra, po czym spadła i zamarła jak wryta. Przeanalizowałem film z okularów Tonary. Żartowniś mógł włożyć kulę do lejka, zamiast tego zrzucił ją z wysokości pięciu metrów. Po co?

– Jak nazywamy naszego zagadkowego przyjaciela?

– Żartowniś.

– Powtórz.

– Żartowniś. Myślisz więc…

– Nic nie myślę. Chcę spać. Zresztą nazywamy go także Blue. Przejdźmy do drugiej myśli.

Montan wyraźnie się stropił.

– Ze wszystkich smoków upadek kuli obserwowała tylko Tonara. Większość spała, z głową, a więc i okularami, przykrytymi skrzydłem. Pozostałe patrzyły w innych kierunkach.

– Krócej.

– Tonara nie chciała przekazać mi filmu ze zjawieniem się i upadkiem kuli. Potem dała, ale najpierw chyba sama go obejrzała. Wydało mi się to podejrzane.

– Dawaj film.

Przenoszę film do swoich okularów, szkła czynię lustrzanymi, żeby Montan nie widział ruchów moich źrenic i bez pytania włażę do okularów Tonary. Pobieram oryginał filmu, porównuję. Nie, filmy są identyczne.Przeglądam protokół działań Tonary, a przy sposobności także zapis jej rejestratorów medycznych. Ależ to ciekawe…

Po pierwsze, prośba Montana ją przestraszyła.

Po drugie, rzeczywiście najpierw sama obejrzała film.

Po trzecie, uspokoiła się i przekazała go do okularów Montana. Bez skrótów i redakcji.

Przywracam okularom przeźroczystość i kładę łapę na ramię Montana.

– Rozumiesz, że teraz jesteśmy bardzo daleko od domu. Każdy z nas zależy od wszystkich innych. Czy chcemy tego, czy nie, musimy żyć w tym kolektywie, jaki tu mamy. Więcej, musimy wierzyć jedno drugiemu. Rozumiesz? Każdy z nas w trudnej chwili musi być pewny, że za nim stoją wszyscy. Jak ściana. Jeśli tego poczucia nie będzie, ktoś z nas w chwili zagrożenia może spanikować i narobić głupstw, a nawet zginąć. Zrozumiałeś mnie, Montan? Jeśli jedne smoki zaczną podejrzewać o coś inne, to nasza ekspedycja pięknie spali na panewce.

– Rozumiem – mamrocze Montan, po jego oczach widzę jednak, że nie jest do końca przekonany.

– Tonara jest samicą. Czy samica prędzej niż samiec nie może się przestraszyć i ze strachu powiedzieć coś głośno? Niw mówię, że się przestraszyła, tylko „mogła”. Albo inny wariant. Pracowała na Strefie, słyszała tam różne rzeczy i zobaczywszy, jak spadła kula, mogła wyrazić się niecenzuralnie. A ty podchodzisz i prosisz ją o kopię filmu. Czy dziewczyna nie powinna się upewnić, że to nie trafiło do filmu?

Montanowi kraśnieją od wewnątrz uszy, nie wie, gdzie podziać oczy. Zupełnie jak dziecko!

– Montan, nie nalegam, ale na twoim miejscu podszedłbym do Tonary, wyjaśnił jej sytuację i przeprosiłbym ją.

Biedaczek drepcze w miejscu, przebiera przednimi łapami, patrzy na mnie żałośnie.

– No, śmiało! Przecież jesteś członkiem Zastępu.

Młodzian wstaje i stanowczym krokiem skazanego idzie w stronę Tonary. Podłączam się do jego okularów, mamrocze „Ave, Cezar! Idący na śmierć witają ciebie!”. Ciekawe, kto w jego wyobrażeniu ma być tym Cezarem? Może nawet domyśla się, mądrala, że go podstawiam? Do diabła! Będzie przecież patrzył w ziemię, a ja muszę widzieć oczy Tonary. Rozglądam się. Kora z Anną pocieszają Miriameczki. Niech to diabli! Kto jeszcze? Granit. Podstawy konspiracji poznał, kiedy pracował z Grebem. Łączę się z nim przez okulary.

– Słuchaj i nie przerywaj. Montan zaraz będzie rozmawiał z Tonarą. Chcę widzieć wyraz jej mordki w zbliżeniu, ale tak, żeby oni nie wiedzieli, że ich obserwujesz. Pytania później.

Granit podnosi się, rozgląda i leniwie gdzieś idzie. Kładzie się na nowym miejscu, układa się wygodnie. Widzę obrazek z jego okularów. Granit włącza powiększenie, wydaje mi się, że mógłbym dotknąć nosa Tonary, chociaż w rzeczywistości dzieli nas dwieście metrów. Podchodzi do niej Montan. Dźwięk mnie nie interesuje, kasuję go. Uszy Tonary stają na sztorc, dolna szczęka opada. Przełączam się na okulary Montana – rzeczywiście studiuje ziemię pod łapami dziewczyny. Przełączam się na okulary Tonary. Zawstydzony Montan wygląda naprawdę żałośnie. Znów patrzę na Tonarę oczami Granita. Ależ ona się zmieszała! Ze wstydu gotowa zapaść się pod ziemię. Uszy od wewnątrz ma całe pąsowe. Massaraksz! Ona naprawdę coś wie. Wie, ale milczy. Montan miał rację, zuch chłopiec. Trzeba to będzie przemyśleć. Rano.

– Szefie, co się dzieje? – pyta mnie zaciekawiony Granit po odejściu Montana.

– Montan źle pomyślał o Tonarze. Poradziłem mu ją przeprosić. Nas to nie dotyczy – ani ciebie, ani mnie. Wybacz, że cię obudziłem i zapomnij o tym.

Nakrywam głowę skrzydłem. W duchu zachwycam się sobą i świetnie wykonaną robotą. A Anna mówi, że ze mnie taki psycholog, jak z wrony rajski ptak. Niech sobie mówi. Wiemy!...

– Afa, nie śpij. Naszym maluchom trzeba pomóc – prosi Kora.

– Niech maluchy pomyślą nad napisem.

– Ach, ty krokodylopodobny hipopotamie! – To już Anna. Co ja im takiego zrobiłem? – Kora, czyżby ten gruboskóry potwór był ojcem moich dzieci? Zaraz mu skrzydła oberwę!

Ja cię kręcę, niedobrze! Anna to Anna. Jak powiedziała, tak zrobi! Dopóki była człowiekiem, nie miała przynajmniej pazurów i mogła walczyć co najwyżej miotłą.

– Kora, czujesz, jak ten upierzony potwór się przestraszył? I słusznie. Co z nim zrobimy? Pobijemy go czy ogłosimy bojkot?

Szybko siadam, na ogonie i chowam skrzydła za plecami.

– Afa, musisz przeprosić maluchy – mówi surowo Kora.

– Za co?

– Za to, co przed chwilą powiedziałeś.

Przypominam sobie, co mówiłem. Dla pewności przekręcam zapis. Smoczyce i Miriameczki patrzą w napięciu na mnie.

– Przecież on nie doszedł, gruboskóry hipopotam! – Dziwi się Anna i zaczyna głośno się śmiać. Kora sarka i podchwytuje. Nawet Miriameczki zapominają o swoim nieszczęściu i także się śmieją. Co ja tam opuściłem?

– Ojcze, ten napis na kuli adresowany jest do nas. – Miri-one przychodzi mi z pomocą. – Miriam numer dwa komunikuje, że kocha nas i wybacza nam. Zachowałyśmy się wobec niej jak ostatnie świnie…

– Zdradziłyśmy ją i porzuciłyśmy… – podchwytuje Miri-two.

– … a ona nam przebaczyła. – I znowu strumień łez.

– Nie włączyłyśmy jej nawet do systemu imion. – Kontynuuje samobiczowanie Miri-two. – To ona powinna być Miri-two, a ja – Miri-three.

Ech, dziewczynki, gdybym miał tylko takie problemy… Czym by was zająć, żebyście nie płakały? Już wiem!

– Kończcie z tym laniem z oczu wody, bo zardzewiejecie. Oj! Oj, puść, przecież to boli! A gdybym tak ja uwiesił się na twoim uchu? Uspokoiłyście się? No to teraz proszę o szczegóły.

– Jakie szczegóły, ojcze? Po przepisaniu sobie pamięci prawdziwej Miriam uważałyśmy M2 za coś pośredniego między cyberem a tresowanym pieskiem. Nienawidziła nas za to. A teraz przebaczyła. Przecież ona też gromadziła doświadczenie życiowe i rozwijała się.

– Właśnie to mnie interesuje. Jak długo ona gromadziła to doświadczenie życiowe, zanim wam przebaczyła?

– Ojcze, kto odpowie na takie pytanie?

– Nikt oprócz was. Tak więc postarajcie się. Postawcie się na jej miejscu.

Obie zamyślają się głęboko.

– Myślę, że co najmniej trzy-cztery lata, ojcze – odpowiada po chwili Miri-two.

– A górna granica?

– Co przez to rozumiesz, ojcze?

– Czas, od kiedy ją to zaczęło interesować.

– Od sprawy z Grebem, to jasne – odpowiadają wymieniwszy zaskoczone spojrzenia.

Tak, jasne. Pytanie zadałem bezmyślnie, gdyż zastanawiałem się nad nową hipotezą. A jeśli cybersystem Miriam umieszczono w czaszce smoka? Albo przepuszczono jej pamięć przez konwerter i zapisano w mózgu smoka w zwykły sposób? Jakiego koloru smoka otrzymamy? Jeśli przeniesiono system cybernetyczny, to okulary-komputer rzeczywiście będą mu zbędne.

– Miri-two, byłaś w moich okularach, widziałaś główne memu systemu. Masz coś podobnego u siebie?

– Tak, ojcze.

– Daj mi spojrzeć.

– Coś ty, ojcze. To przecież ja, to moja… dusza. Tam nie można…

– Dodaj jeszcze „z brudnymi łapami”. – Napuszczam na siebie obrazę, odchodzę o sto metrów i rozpłaszczam się na kamieniach.

Kora i Anna od razu zaczynają robić wyrzuty biednej Miri-two, Miri-one słabo się odgryza, broniąc siostrzyczki, a sama Miri-two tylko pochlipuje i połyka łzy.

Skąd ja to wiem? Obserwuję przez okulary Kory. Oczywiście, że to brzydko, nie przeczę. I nie mówcie mi, że cel uświęca środki. Niczego nie uświęca, a nawet trzeba go samego uświęcić. Ale i tak wlazłem w nieswoje kompetencje – czyli zostałem kierownikiem ekspedycji, nie mając do tego ani zdolności, ani jakichkolwiek zalet, cechujących kierownika. No i muszę swoje wady maskować jako zalety.

Massaraksz! Można pomyśleć, że się usprawiedliwiam. Ani trochę! Konstatuję fakty.

Prowadząc ze sobą ten wewnętrzny dialog, omal nie przegapiłem najciekawszego. Miriamy wstają, idą do mnie i włażą mi na grzbiet.

– Lecimy.

– Dokąd?

– Przed siebie.

– Po co?

– Nie chcę na oczach wszystkich.

Rozumiem. Wejście do czyjejś duszy to proces intymny. Jeśli to takie poważne, to muszę zapomnieć o swojej ostatniej hipotezie. Blue to nie trzecia Miriam, choć na pewno się znają.

Lądujemy na brzegu, na szerokiej piaszczystej plaży. Miriamy rozglądają się i są zadowolone. Siadają na piasku, twarze obu nieruchomieją. Pracują nad czymś.

– Macie problemy? – pytam ostrożnie. Miro-one wyjaśnia:

– Musimy opracować dla ciebie możliwie najbardziej adekwatny paradygmat wideo

Wygląda na to, że niedługo dopuszczą mnie do swojej dziewczęcej celi klasztornej. Na razie nie ma co robić, więc rozkoszuję się widokiem dziewczyn. Jednak są różne: Miri-one jest bardziej stanowcza, energiczna, łatwiej się złości, Miri-two jest łagodniejsza. Zapewne przez różne wspomnienia. Miri-one dostała od Greba mieczem samurajskim, a jej siostra spędziła z nim dużo czasu i zobaczyła jego ludzką twarz – o ile ten termin można do niego odnieść. Ciekawe, że osobno to miłe, skromne, nieśmiałe dziewczyny, a razem – wrzący kocioł z kłopotami. O Boże, co to będzie, kiedy spotkają trzecią!... Podjudzają się wzajemnie czy zadzierają nosa jedna przed drugą? Nie rozumiem… Chociaż Lobasti skarżyła się Korze, że u niej z dziećmi jest tak samo. Co tam słychać u Mroka?...

– Ojcze, wszystko gotowe. Wpuść mnie do swoich okularów.

Otwieram kanał łączności, który z powodu Żartownisia trzymałem ostatnio zamknięty na siedem spustów. Nad głównym menu od razu zapala się czerwony pas indykatora wirtualnej rzeczywistości – mój najnowszy wynalazek. Indykator mówi o tym, że to, co widzę, nie odpowiada temu, co mam przed sobą. A widzę stalowe wrota śluzy, stojące samotnie na plaży.

– Idziemy – mówi Miri-two i pierwsza wchodzi we wrota. Idę za nią. Przechodzimy pierwszą śluzę, drugą, trzecią.

– Co to takiego? – pytam.

– Śluzy i filtry na kanałach informacyjnych.

– Rozumiem. To tu zdradził się Żartowniś, nieprawdaż?

– Tak – odpowiada z uśmiechem Miri-two. – Od razu w pierwszej.

Przekraczam ostatnie wrota śluzy i jestem w kuli. Rozglądam się zdumiony. Pod łapami czuję piasek plaży, ale oczy mówią, że wiszę w powietrzu. Obok w powietrzu idzie Miri-two. Ściany kuli składają się z wielu złotych sześciokątów. Co najmniej jedną szóstą zajmuje owalny iluminator, za którym widzę własną zdumioną fizjonomię. Miri-two odwraca głowę – i już za iluminatorem płynie panorama brzegu oceanu. Rozumiem. To jakby widok czaszki od wewnątrz. Studiuję sześciokąty. Szybko znajduję w nich zegar-kalendarz, termometr, i mnóstwo czujników, wskazujących stan mechanizmów i organizmu Miri-two. W najdalszym od iluminatora sześcianie znajdują się indykatory obciążenia procesorów, pamięci, kanałów i reszty tego elektronowego gospodarstwa. Wszystko to ciągle oddycha, zmienia się, żyje. Ale gdzieś już coś takiego widziałem. Miri-two robi gest ręką i jeden z sześciokątów jedzie w jej kierunku, zamieniając się po drodze w ekran z roboczym menu. Miri-two coś w tym menu robi i sześciokąt powraca na swoje miejsce.

Już wiem: coś podobnego widziałem w jakimś starożytnym fantastycznym sensofilmie.

– Miri-one tu była?

– Ona tu jest jednym okiem cały czas – odpowiada Miri-two. Sześciokąt z ludzkim okiem zmierza w moim kierunku, oko mruga porozumiewawczo i sześciokąt wraca na swoje miejsce na ścianie. – Pomaga mi utrzymywać wirtual w porządku. Bycie równocześnie i tu, i na zewnątrz jest bardzo skomplikowane, aż kręci mi się w głowie.

Oglądam się, kręcę się w miejscu, gorączkowo szukam oczami po ścianach.

– Czego szukasz, ojcze?

– Tu czegoś brakuje.

– Aleja pamięci – mówi Miri-two i odwraca się do ściany.

Kilka sześciokątów rozsuwa się na bok, tworząc przejście. W dal ciągnie się kwadratowy korytarz, bardzo podobny do korytarzy sekcji technicznych Kwantora. Ale są i różnice: bezpośrednio z metalu ścian sterczą gałęzie fantastycznych roślin o jasnozielonych liściach, a między nimi wiszą duże obrazy. Wsuwam głowę w przejście i oglądam najbliższe. Sterówka ridera, koralowa wyspa z gaikiem palm kokosowych, laboratorium Kwantora, drzwi z napisem BIBLIOTEKA, pejzaż Mezozoiku ze mną na pierwszym planie. Wracamy. Przed wrotami śluzy próbuję wytrzeć łapy na dywaniku, który zjawił się tu na nie wiadomo skąd – i spostrzegam, że dywanik istnieje tylko w moich okularach. Słyszę śmiech Miri-two. Ale paskudnica! Kazała tatusiowi łapy o ziemię wycierać! Wdała się we mnie… Czeka przy wyjściu.

– Ojcze… Do mojej alei pamięci nie wchodził nikt… nawet Miri-one.

– No i dobrze. – Obracam się o 180 stopni i wyskakuję przez ostatnią śluzę na zewnątrz, w zwykłą rzeczywistość. Któraś z dziewczyn puszcza dźwięk rozbitego szkła. Indykator wirtualu gaśnie. Siadam na ogonie i próbuję zorientować się w tym, co widziałem. W porównaniu z kulą Miri-two menu moich okularów jest jak notatnik przy tomie encyklopedii. A przecież mam naprawdę bogate menu, dobierane wiekami, z każdą linijką pod-menu ulizaną do ostatniego przecinka. Większe widziałem tylko w okularach Lobasti. Ale tam jest taka abrewiatura i umowne znaczki, że nikt oprócz autora się w tym nie połapie.

Miri-two wesoło podbiega, obejmuje moją łapę, przytula do niej policzek.

– Jesteś zadowolony, ojcze?

– Zdumiony i porażony. Powiedz mi, czy dawno macie takie menu?

– Od czasu, gdy jesteśmy wolne. Pamiętasz, wpisałyśmy sobie pamięć prawdziwej Miriam.

– No jasne, że pamiętam.

– Właśnie wtedy w twoim laboratorium sprawiłyśmy sobie w pełni niezależny system, całe kierowanie przenosząc na poziom świadomości. No i okazało się potrzebne takie menu.

– A co było wcześniej?

– Prymityw. Nic bardziej złożonego niż twoje okulary.

– Massaraksz!

– Co?

– A, to ja do siebie.

Trzydzieści trzy razy massaraksz! Czyli trzecia Miriam ma zwykłe menu, bo się nie przerabiała. Więc czy się czegoś dowiedziałem? Odpowiedź: niczego. Cholera!

A czy jest o co kruszyć kopie?

Blue jest smokiem i chce nam pomóc. To chyba nie wymaga żadnych dowodów. Boi się stworzyć paradoks czasu, więc pomaga jakby zza węgla, nie zdradzając się. Więc czym ja się niepokoję? Po prostu tym, że wszedł mi w drogę. Bo chyba sam mógłbym uratować ekspedycję – jeśli obsypałem sam siebie różanymi płatkami. Może Blue to mój stażysta albo laborant, wypełniający moje bezcenne polecenia? A ja się nie pojawiam, gdyż jestem bardzo zajęty, na przykład pisaniem memuarów?

Nie, to się nie zgadza. Po pierwsze, Blue odtajnił maszynę czasu, po drugie próbował wleźć w moje okulary, po trzecie zawraca nam głowy kulistym zero-t – chociaż ciekawe, jak on to robi? – no i po czwarte, Tonara coś wie, ale milczy. Gdyż, po piąte, uważa, że to nie jest niebezpieczne. Ale jeśli w to zamieszana jest trzecia Miriam, to być może i Greb, a to już jest niebezpieczne. Co z tego wynika? Nic. Za mało faktów. No dobrze, a jeśli zacząć z drugiej strony? Dziecinne pytania: Dlaczego Blue podobny jest do Lobasti? Dlaczego ma takie małe rogi? Dlaczego Tonara się przestraszyła?

Stop! Tonara jest matką Lobasti! Ciekawy dipol. Punkt zaczepienia.

Gorączkowo przekręcam w okularach wszystkie kadry z Tonarą. MAM TO! Tonara z opadłą dolną szczęką, zastygła jak pomnik samej siebie przy pierwszej wizycie Blue.

I co z tego? Smoczyca ma prawo zdziwić się tak nagłym widokiem samca, nawet, jeśli ma już męża. Zresztą Tonara była zawsze odrobinę nie z tego świata. Czyli znowu nic.

No, niech tam będzie! Tonara – Lobasti – Blue. Załóżmy, że między Lobasti i Blue jest powiązanie rodzinne. Kto byłby wtedy ojcem? Nie, znowu źle! Trzeba od początku. Kim może być Lobasti dla Blue? Matką? Babcią? Prababcią? Dopiero potem – kto jest ojcem? Lobasti urodziła Catherine i Szallę. Catherine wdała się cała w ojca, Szalla podobna jest bardziej do matki. Pierś ma tak samo szeroką, stawia łapki prawie jak buldog. Ale mordkę ma po ojcu. Ha! Po co ja się męczę? Mam przecież w komputerze karty genetyczne i Lobasti, i Mroka, i Catherine. Niech komputer się męczy!

Po dwu minutach otrzymuję odpowiedź: Blue nie może być synem Lobasti i Mroka. Takie czoło u nich nie wyjdzie. Pieprzyć się na boku Lobasti nie będzie, to nie leży w jej charakterze. No dobrze, sprawdźmy dzieci i wnuki. Jej wnukiem jest Artiom, syn Catherine i Mroka. Też nie to. Mrok i Catherine też nie mogą mieć dzieci z takim czołem. Pozostaje linia Szalli oraz dzieci, których w moim czasie jeszcze nie ma. Najpierw Szalla.

Układam prościutki program-zadanie: dobrać Szalli takiego męża, żeby w rezultacie otrzymać Blue. Komputer zamyśla się na dwadzieścia minut. Mam w nim około pięciu tysięcy kart genetycznych pierwszych smoków. Wtedy to śledziłem, bojąc się zwyrodnienia gatunku. Plus karty członków Zastępu. Pięć tysięcy z trzystu tysięcy to naprawdę niezły procent, tym bardziej, że wiem, kto z kim się ożenił i dzięki temu mogę odtworzyć przybliżone karty jeszcze około czterdziestu tysięcy smoków. Ile to zajmie czasu? Oj, mamo!

– Siostrzyczki, potrzebna mi jest wasza pomoc. Ojczulkowi nie wystarczy mózgów.

Wyjaśniam Miriamom zadanie. Zapalają się do pomysłu, ale wszystko przeinaczają i zaczynają szukać w okularach smoków ich kart genetycznych i drzew rodowodowych. Jak się okazuje, prawie wszystkie smoki śledzą swoje pochodzenie aż do Adama, czyli do mnie. W rezultacie otrzymujemy jeszcze dwadzieścia tysięcy kart genetycznych i rodowody około dwustu tysięcy smoków. Miriamy wpadają w trans. Zatrzymują wszystkie zarodki cyberów i każą im rozwiązywać nasze zadanie. Ale i tego im mało, więc ładują je do okularów śpiących smoków. Montan ustawił w swoim komputerze zaporę. Miriamy przełamują ją, śmiejąc się i prosząc o przebaczenie. Montan mamrocze przez sen, że oberwie im skrzydła i znów zasypia.

Otrzymujemy – zero. Zmieniamy graniczne warunki, ponownie uruchamiamy przegląd wariantów. Znowu zero. Istota się nie zmienia: Lobasti nie może mieć potomka z takim charakterystycznym okrągłym czołem myśliciela. Czegoś tu nie rozumiem. Zamyślam się głęboko i nieoczekiwanie zasypiam.

Budzę się bardzo późno, południe dawno minęło. Miriamy świecą jak stuwatowe lampki.

– Znalazłyście?

– Tak, ale nie to, o czym myślisz, ojcze. Lobasti nie ma takiego czoła, jakie ma!

– Jak to?

– Nie ma – i już. To pomyłka fenotypu, spowodowana wstrząsem poporodowym i procesami głębokiej regeneracji zaraz po nim. Oto jaka ona miała być naprawdę.

Patrzę na rekonstrukcję komputerową fenotypu. Sympatyczna smoczka, ale nie Lobasti, tylko coś pośredniego między Catherine a Szallą. Co my tu mamy? A może Blue to „przebrana” Lobasti? Nie, ona by nigdy nie zamieniła okularów na senso gdyż pochodzi z rodu kosmicznych pionierów. I menu jej okularów jest zupełnie niepodobne do menu senso Blue. Niech Kora nie mówi, że menu Blue tworzyła dziewczyna. A już na sto procent nie Lobasti, gdyż ona we własnym menu ma potworny bałagan, który zresztą, przy jej fenomenalnej pamięci, nie ma znaczenia.

Wychodzi więc na to, że Blue w naturze nie istnieje. Istnieje Żartowniś, który postanowił zamaskować się w postaci smoka, ale wybrał do tego zupełnie nieodpowiedni wzorzec. Gdyby lepiej zbadał smoki, wziąłby za wzór kogokolwiek innego. A jakiś inny „żartowniś” walił do naszego ridera małymi fugasami jądrowymi. Niech go chuj! Ale skąd nasz Żartowniś dowiedział się o Lobasti? Do diabła! Kulka z autografem trzeciej Miriam! Czyżby Greb?! Do stu diabłów!

Ale po jakiego diabła Greb miałby mieszać się do tej sprawy? Tak, przeszkadzałem mu. Ale zniknąłem razem z całą wyprawą. Nie, ja myślę nieprawidłowo. Przecież on działa z przyszłości, z czasu, kiedy już powróciłem albo bardzo mu bliskiego. Pytanie: po co jestem Grebowi potrzebny żywy? Chyba po to, żeby zdjąć mu bransoletę. Jeśli szlachetny Greb uratuje ekspedycję, pod naciskiem okoliczności będę musiał mu ją zdjąć. Czy Greb może wynaleźć maszynę czasu? Nie może. A Miriam? Dla Greba i dla siostrzyczek? Nie wiem. Z wynalazczością u niej kiepsko, ale upór ma jak mało kto.

A co ja bym zrobił na jej miejscu? Do diabła, przecież już to zrobiłem! Z człowieka stałem się smokiem! Czy Miriam też mogło przyjść do głowy stać się smokiem? Tak. Mogła wyhodować sobie ciało smoka? Tak, mając dostęp do mojego superkomputera, to bardzo proste, prawie jak przesłanie dwóch bitów. Wprowadziła korekty do genotypu. Niebieski kolor, biały trójkąt na piersi, mózg półtora raza większy od mojego – stąd czoło jak u Lobasti. Krótkie rogi – też korekta genetyczna. Model ciała optymalny dla pracy umysłowej. A przypuszczenie Kory, że menu senso Blue tworzyła kobieta też pasuje do tej hipotezy. Plus napis na kuli – wszystko się układa. Blue to Miriam, która stała się smokiem, żeby wyciągnąć z tej dziury siostrzyczki, a przy okazji także i nas, grzeszników. Ach ty, Czarku! Wyliczyłeś parszywkę! Ale jaka to dziewczyna! Stanowcza, śmiała, wytrwała! Dobrze, że stała się chłopem, bobym się w niej zakochał. A czwarta żona to już trochę za dużo. Nie jestem przecież muzułmaninem. Om mani padme hum!

Zarodki cyberów zaczęły budowę podziemnej bazy. Niedaleko wioski powstała stożkowata hałda. Początkowo smoki taszczyły stamtąd kamienie na dobudowywanie wioski, ale przestały, gdy doprowadziły ściany domów do wysokości pół metra. Z lotu ptaka – a raczej smoka – to fantastyczny widok. Ruiny, nie ruiny, ale coś, od czego na kilometr pachnie tajemnicą i tworem rozumu. Zagadka dla przyszłych archeologów, o ile kiedykolwiek pojawią się na tej planecie-potworku. Kulka podarowana przez Żartownisia przypomina obgryzione z boku jabłko, i to robaczywe, gdyż cybery wycięły w niej kilka korytarzy, żeby dostać się do kulek innych metali. Miriamy łaziły po tych norach, ale smoki się w nich nie mieszczą.

Komputer okularów daje sygnał alarmu. Ktoś robi zręczną próbę przeniknięcia do niego. Aktywuję wirtualny model komputera, wpuszczam tam złoczyńcę i patrzę, co on tam robi. Programy stróżujące opracowane przez Miriamy, od razu zawiadamiają mnie o tym. Aktywuję wirtualny model komputera, wpuszczam tam złoczyńcę i patrzę, co on tam robi. Komunikuję o tym obu Miriam, które od razu wchodzą do mojego komputera i włączają wirtualną złocistą kulę z iluminatorem. Rozglądam się. Moja kulka jest prostsza niż Miri-two, wskaźnik wirtualizacji dochodzi do 100 %. Ale co to ma być? Czyj to komputer? Mój! A one weszły, nawet nie pytając, jakby to było jakieś przechodnie podwórze. Chociaż… Tak działania adwersarza widać dużo lepiej. Rozgląda się, kopie w systemie, sprawdza jego typowość… Aha! Na module głównego menu wiesza demona-obserwatora.

Tymczasem Miriamy kanałem, otwartym przez złoczyńcę, przesączają się do jego komputera. Już tam są. W wirtualu zawisa druga kula, w porównaniu z moją malutka, ale od tej chwili nasz przeciwnik jest pozbawiony komputera, choć jeszcze tego nie zauważa. Miriamy podsuwają mu imitację, a same z zachwytem buszują w jego plikach. Ja też, chociaż nie tak zgrabnie. W pierwszym rzędzie wyjaśniam, kto to taki.

Montan! Patrzcie go, pojawił się nowy haker! Fałszywy alarm, ale mimo wszystko ciekawe, czego on chce od moich okularów?

Aha, jeszcze kogoś atakuje! Lamoura. Zobaczymy… To samo: wiesza swojego demona na menu. Powiesił… W każdym razie myśli, że powiesił. Jeszcze komuś włazi do okularów. Komuż to? Annie! Czas to przerwać. Anna nie rozumie żartów.

– Siostrzyczki, dawajcie go tutaj!

– Jest, Komandorze!

Montan nagle pojawia się wewnątrz półprzeźroczystej kuli własnego komputera. Taki malutki, o długości nieprzekraczającej pół metra. Rozgląda się zdumiony, nic nie rozumiejąc, kręci głową, próbuje przetrzeć swoje okulary. Miriameczki siadają w kucki przed kulą i zaczynają przygadywać mu jak dzieci:

– Któż to u nas taki malutki? Któż to u nas taki zieloniutki? Któż to ma taki długi ogonek?

– Siostrzyczki, sza! – komenderuję. – Powiększcie chuligana.

Na sekundę gaśnie światło, a kiedy znów się pojawia, Montan– półprzeźroczysty, ale już normalnych rozmiarów – siedzi z nami.

– Wiesz, co Anna z tobą zrobi, jeśli cię złapie?

Zagubiony Montan drepcze w miejscu. Przywołuję go gestem do ściany, gdzie sylwetka jego demona błyszczy na jasnoczerwono.

– Co to jest?

– Nie wiem. – Montan ze zdumieniem wpatruje się w migoczący schemat połączeń.

– Wpuściłeś w mój komputer i nie wiesz, kogo?

– A-a! To obserwator. W celu złapania Żartownisia i zrobienia zdjęć psychomotoryki. Wpadło mi do głowy kilka pomysłów, postanowiłem zrealizować je za jednym zamachem.

– Ilu smokom zdążyłeś go postawić?

– Pięciu.

– Ja byłem czwartym?

– Tak.

– Czyli trzem. Zdejmij. Siostrzyczki, zwróćcie chuliganowi jego komputer.

Montanowi opada szczęka i w następnej chwili znika z mojej kuli. Zaraz po nim, pękając jak bańka mydlana, z cichym „pok” znika kulka jego komputera. Chwytam kursorem wskaźnik rzeczywistości wirtualnej i nie śpiesząc się, przeciągam go do zera. Już zwykłym, prawdziwym wzrokiem widzę, jak wyciągają się twarze Miriameczek.

– Ojcze, jak to zrobiłeś?

– Uwzględnijcie część matematyczną.

Miriamy wymieniają spojrzenia, i siadają naprzeciw siebie. Znowu coś zamyślają. A ja zastanawiam się, jak Montan przeniknął do mojego komputera, skąd wziął hasło. Massaraksz, po prostu wybrał przebierając, i już! Stary komputer czasów mojej młodości potrzebował na to dwadzieścia lat. A jeśli wziąć komputer moich okularów, który jest dwieście razy mocniejszy? Zgadza się, nieco ponad miesiąc. A jeśli dodatkowo wykorzystać do tego celu komputer nawigacyjny kutra? Minuty, może nawet sekundy. Oto i cała korzyść z hasła. Trzeba radykalnie zmienić system ochrony. Ale na jaki? Ba, chciałbym to wiedzieć! I czy to w ogóle jest wykonalne? Co my tu mamy? Z jednej strony, ten, kto ma prawo dostępu, powinien otrzymać go szybko, idealnie byłoby natychmiast. Z drugiej, ten, kto nie ma prawa dostępu, powinien…

– Komandorze!

– Co, Timurze?

– Ile zarodków cyborgów było na początku?

– Dwadzieścia cztery.

– Też tak myślałem. Teraz już jest ich ponad pół setki. O! Znowu!

– Co?

– Słabiutki plusk zero-t na południowym wschodzie. Za dwie-trzy godziny przybiegnie stamtąd nowy zarodek cyborga. Przywykliśmy do nich, nie zwracamy na nie uwagi, a Żartowniś podrzuca nam ciągle nowe.

– I to dobrze. Timur, czyżbyś ich się bał? Uspokój się, Żartowniś to swój… Swoja… Swój. Do diabła, nawet nie wiem, jak ją teraz nazywać.

– Ro-ozumiem… – przeciąga Timur i odchodzi pogrążony w głębokim zamyśleniu.

Odwracam się do Miriamek i zauważam, w jakim napięciu przysłuchuje nam się Tonara. Stoi pięćdziesiąt metrów od nas, ale jej uszka-lokatory patrzą na mnie. Tak, ona chyba już dojrzała do tego, żeby wyśpiewać mi wszystko. Znakomicie! Nagle rozlega się ryk:

– Żądam! Ogólnego! Zebrania!

Fala! A niech cię diabli porwą! Co się tam stało? I to tak nie w porę!

Smoki ciągną na placyk. Oglądam się na Tonarę i idę ze wszystkimi. Fala staje na tylnych łapach, dla pewności podpiera się ogonem. Rozciąga rzemyk okularów i podnosi je wysoko w wyciągniętej łapie.

– Wiecie, co to takiego? To mój komputer. Osobisty. Wiecie, co to znaczy osobisty?

– Fala, co się stało?

– Chcę usłyszeć, czy wszyscy wiedzą, co to jest komputer osobisty? – omal nie płacząc żąda smoczyca. –To moja druga połowa! To część mojego „ja”.

– Faleczko, uspokój się, kto ciebie obraził?

– Do mojego komputera włazi każdy, kto chce. No, Komandor może. Ma swoje hasło na wszystkie komputery i ja mu wierzę. Rozwiąże zadanko, jeśli jego komputera nie wystarczy, popatrzy moimi okularami, pogrzebie w jakimś podręcznikowym pliku i wyjdzie. Nie zmieni mi ani jednego bita.

Zalewa mnie gorąca fala wstydu. Doigrałeś się, długouchy! Teraz stój i czerwień się przed wszystkimi. A Fala mówi dalej:

– Na Miri-one i Miri-two też się nie obrażam. Mają szpilki w dupie, bez tego nie mogą. Takimi je wychował Komandor. Psotnice, ale i z nich jest jakaś korzyść. Połażą po plikach, potem poradzą, co i jak lepiej ułożyć, od kogo wziąć najświeższą wersję. Granit godzinami kopie w mojej bibliotece. Nie żal mi. Niech czyta, jeśli wstydzi się trzymać w swoich okularach bibliotekę kobiecych powieści. Mógłby mi choć raz za to powiedzieć „dziękuję”. Ale dzisiaj...

Smoczyca chlipie, reguluje okulary i szkła stają się lustrzane. Wnętrza jej uszu są po prostu pąsowe. Oglądam się. Tylko Miriameczki zadzierają dumnie nosy. Granit… Fala niepotrzebnie go tak… Biedaczek szczerze próbuje zrozumieć zagadkową kobiecą duszę, wiem… Nic nie znajdzie w książkach o duszy w ogóle, nie mówiąc już o duszy Lobasti. Ta to ma dopiero charakter: zimna stal, a pod nią plazma. Jednym słowem: termojądrowy. Niebezpieczny ma charakter, oj, niebezpieczny.

Wszystkie smoki zawstydzone wpatrują się w ziemię pod swoimi łapami. Do diabła! Przecież to mój wstyd, a nie ich! Ale niech będzie. W celach wychowawczych to nawet lepiej.

– Dziś ktoś grzebał w systemie operacyjnym moich okularów! – komunikuje Fala, nabierając odwagi. – Najpierw wstawił jakiś moduł, a kiedy zobaczył, że się nim zainteresowałam, szybciutko go starł i zatarł ślady. Gdy ktoś kopiuje moje pliki, ja się nie obrażam. Jeśli ktoś dodaje coś do mojego systemu, wytrzymuję. Ale chciałabym wiedzieć, jak ten łajdak ośmielił się ZETRZEĆ plik w MOIM komputerze.

Fala kończy najdłuższe w swoim życiu przemówienie, kładzie się na kamieniu i chowa głowę pod skrzydło. Podchodzi do niej Montan i ostrożnie dotyka jej ramienia.

– Faleczko, wybacz przygłupowi.

Fala wyjmuje głowę spod skrzydła i w udręczeniu zastanawia si8ę, czy go ma ukarać, czy się nad mim zlitować. Trzeba ratować chłopca.

– Zrozum, Fala, to była pomyłka. Montan wymyślił pułapkę na Żartownisia i zaczął ją rozstawiać po wszystkich kątach, a ja kazałem mu ją usunąć. No i usunął.

Mówiąc to, kątem oka patrzę na Tonarę. Młoda smoczyca jest przerażona do tego stopnia, że nawet nie próbuje tego ukryć. Patrzę w jej oczy i mrugam do niej porozumiewawczo. Na pewno coś ją łączy z trzecią Miriam, ale co? Nie wiem, ale niedługo się dowiem. Tonara sama przyjdzie i mi opowie. Mój nastrój błyskawicznie się poprawia.

– Komandorze… Komandorze!!! – Głos Fali wyrywa mnie z zamyślenia.

– Co, Faleczko?

– Proszę przekazać swojemu protegowanemu, że jeśli jeszcze raz to zrobi, będzie miał dwoje uszu mniej.

– Po co tak ostro, Faleczko? Montana trzeba oszczędzić, a nie karać.

– Oszczędzić?!

– Trafił wraz ze swoją pułapką w łapy Miriameczek. Jeśli obiecasz mu wybaczyć, dam ci jednym oczkiem spojrzeć, jak to było.

Fala się waha. Młodzież prosi ją, żeby przebaczyła Montanowi. Ale ja komunikuję, że pozwolenie na przegląd musi dać sam Montan. Ten mówi, że udzieli pozwolenia, jeśli Fala z góry wybaczy mu trzy głupstwa, które on na pewno popełni, bo przecież nie ma dodatkowej pary uszu. Zaczynają się targować i stanęło na dwóch głupstwach i pocałunku w policzek. Kora, Anna i obie Miriameczki są już w moich okularach. Wolą patrzeć z budki operatora filmowego. Ich sprawa…

Wycinam i pokazuję kawałek filmu, zaczynający się od słów: „Siostrzyczki, dawajcie go tutaj”. Kończę stop-kadrem przygadujących Montanowi w kuli Miriameczek na sekundę przed moją komendą „Siostrzyczki, sza!”. Puszczam do ogólnego wglądu.

– A dalej? – Żąda naród. Nie ustępuję, gdyż dalej nie ma już nic ciekawego.

– Komandorze, rozumiem, że to jest rzeczywistość wirtualna, ale co to za batyskaf? – pyta zaintrygowany Timur.

– To komputer moich okularów widziany od wewnątrz.

Smoki milkną zdumione. Znowu zarabiam tani autorytet, i to cudzym kosztem. Do głowy przychodzi mi cała masa cytatów o władzy i władcach. Przebieram w nich i wybieram najlepiej pasujący do okoliczności. Przychodzi mi do głowy, że z wiekiem robię się intrygantem. Hm-m… Massaraksz!

Na tym zebranie się kończy. Fala bierze mnie pod ramię i odprowadza na bok.

– Komandorze, nie pytam, dlaczego zamieniłeś zebranie w jarmarczne widowisko…

– Dziękuję, moja miła. Nie miałbym ci co odpowiedzieć.

– Chcę wiedzieć tylko jedno: dlaczego wszyscy się tak cieszyliście? No niech wam będzie, że jestem śmieszna… – Pociąga nosem. – Że ja… – Szlocha.

– Ależ Faleczko, dziewczynko moja, ty nie masz do tego absolutnie nic. No, troszeczkę masz, ale to inny temat. Przypomnij sobie, co nas zajmowało jeszcze dwa tygodnie temu. Dwa klasyczne pytania „jak żyć?” i „co robić?”. Dwa tygodnie temu byliśmy robinsonami bez prawa korespondencji. Czy to nie stąd? – Chwała Bogu lub Allachowi, szlochanie ucichło. – Dwa tygodnie temu udawaliśmy dzielnych i wtedy nie zrobiłabyś rwetesu o to, że ktoś ci wlazł do komputera. I tak nam wystarczyło nieprzyjemności. No i jak? Mam mówić dalej?

Fala kręci przecząco głową, uśmiecha się, wdzięcznie pociera policzkiem moje ramię i w zamyśleniu odchodzi do wioski. A ja idę pod ziemię. Patrzę, jak idzie budowa bazy. Dobrze idzie. Niektóre warsztaty już działają. Aha, z bazaltu wyciągają nici i produkują jakieś kompozycyjne materiały oparte na włóknie bazaltowym. Czego, jak czego, a tego jest tu pod dostatkiem. Szkoda tylko, że ja tu jestem zbędny. Chciałoby się popracować własnymi łapami.

\* \* \*

Święta idą jedne po drugich. Nowy Rok, rocznica lądowania na Potworku według kalendarza ziemskiego, rocznica według miejscowego. Podziemna baza dawno już została zbudowana, ale nikt nie chce tam mieszkać. Na nasze „domki” nałożyliśmy różnokolorowe namioty i mieszkamy po dawnemu na powierzchni. Do podarunków Żartownisia wszyscy już dawno tak się przyzwyczaili, że kiedy czujemy kolejny słabiutki plusk zero-t, nikt już nie pędzi pod ziemię wyjaśniać, który pusty pokój zamienił się w pokój wypełniony meblami, obrabiarkami albo cyberami. Przy tak słabych pluskach baza Żartownisia musi być gdzieś bardzo blisko.

Pół roku temu powierzyłem Timurowi zbudować kuter kosmiczny średniego zasięgu. Ten, który mamy, jest bliskiego. To praktycznie orbitalne czółno. Timur dobrał sobie zespół, wezwał cybery, zbudował hangar – i praca zaczęła wrzeć. Kiedy hangar rozebrano i otworzył się widok na nowiusieńką, jak spod igły, maszynę, smoki zaniemówiły ze zdumienia.

– Zawsze myślałem, że piramida Cheopsa ma przekrój kwadratu – powiedział o kutrze Platan. – A tu trójkąt równoboczny.

Konstruktorzy kutra są jednak zadowoleni. Z okazji zakończenia prób orbitalnych dziś wieczorem będzie kolejne święto, czyli, jak my to nazywamy, bajki przy ognisku.

Niedługo zaczynamy to, po co tu przybyliśmy: badanie Obiektu. Nie licząc straconego roku,wszystko idzie prawie zgodnie z planem. Mamy bazę, kuter, a nawet wielką komorę zero-t, położoną o trzysta kilometrów na południowy zachód stąd. W każdej chwili możemy udać się do domu. Szkoda tylko, że możemy się nią posłużyć tylko raz. Drugiego nie będzie, gdyż Obiekt obrazi się i zamieni ją w krater o średnicy dziesięciu kilometrów z lekką radioaktywną aurą dla podniesienia napięcia. Właśnie dlatego komora jest oddalona o trzysta kilometrów.

Zresztą planecie taka dawka radioaktywności nie zaszkodzi. Może nawet te meduzy zaczną wreszcie ewoluować w coś bardziej nadającego się do spożycia.

Niedługo, niedługo zacznie się to, po co tu leciałem. Zadanie, które będzie wymagało wytężonej pracy wszystkich komórek szarej substancji, które każe mózgowi sprężyć się i poświęcić w całości, bez wytchnienia. O którym marzyłem od trzystu lat. Tu, na Potworku, nawet nie ma o czym myśleć. Myśli są tu równie szare i płaskie, jak ta równina dookoła i wypłowiałe niebo nad głową. A tam…

Bardzo trudno znaleźć zadanie, do którego byłyby potrzebne wszystkie moje umiejętności. Życie codzienne prawie nie wymaga pracy zwojów mózgowych, to czysta rutyna. Ależ się cieszyłem, kiedy trzeba było znaleźć rodzinę Mroka i Zwinki. Potem – Greb. Stworzenie Miriameczek. Ależ to była Praca! Z dużej litery. Szkoda tylko, że to trwało tak krótko.

Coś podobnego było na mojej Ziemi w końcu XIX wieku. Wydawało się, że świat jest prosty i zrozumiały, a chemia i fizyka prawie skończone – zostało parę drobnych pytań, po których ostatnia strona będzie dopisana i będzie można odłożyć tomy na półkę. I nagle promieniowanie, jądro atomu, teoria względności!... Nieskończone przestrzenie nowej wiedzy!

Niedługo! Niedługo!!!

– … Nigdy się nie zgadzajcie. Mówię to z własnego doświadczenia.

– Ale przecież sensofilmy są piękne.

– Aha. Do oglądania. Jesteś człowiekiem, nieustraszonym rycerzem. Pędzisz na gorącym koniu bojowym, z piką wycelowaną w pierś… No, w czyją pierś mierzy twoja pika?

– Przeciwnika – wysuwa hipotezę Lamour.

– Zgadza się. Przerażającego ziejącego ogniem smoka z ostrym jak miecz ogonem. Właśnie rolę tego smoka ci dadzą.

– Ale nie we wszystkich filmach smoki są odpychające – nie zgadza się ze mną Tonara.

– Zgadza się. Grywałem i sympatyczne. W jednym – nie pamiętam tytułu – kazano mi strzec porwanej królewny. Oczywiście zakochałem się w niej, uratowałem ją, zwróciłem do domu i ratowałem jej królestwo przed wszystkimi atakami. No i za to zostałem otruty i umarłem w potwornych męczarniach. Królewna opłakiwała mnie do końca filmu i nawet nazwała syna moim imieniem. Później, przy montażu, syna wycięli. Ale najokropniejsze jest uczestnictwo w scenach bitewnych. Wyobraźcie sobie, razem z kaskaderami wyznaczamy placyk, wymierzamy każdy krok, żeby nie zmiażdżyć aktorów, osiem razy repetujemy. No i zaczynają się zdjęcia. Scena batalistyczna w toku, ogień, dym. Kaskaderzy walczą na miecze, padają trupy. Ale tam, gdzie trzeba paść, płonie ogień grecki. Pada obok, ale ja o tym nie wiem, gdyż z miejsca, w którym się znajduję, tego nie widać. Każą mi wystartować, no i lecę, tracąc panowanie nad sobą. Nie ma gdzie wylądować, wszędzie albo „trupy”, albo ogień grecki. Myślicie, że ja chcę w ten ogień? Rozkładam skrzydła – i zaraz dostaję dwie płonące strzały w błonkę. Teraz gram naprawdę znakomicie. Wszyscy wokoło czują to i ustępują mi drogę, nawet zabici. Nagle jakiś osioł przyciemnia oświetlenie i obniża trzecią kamerę. Mój jeździec wylatuje z siodła i wpada w gąszcz wrogów. A kręcenie trwa. Muszę uratować epizod, więc ratuję. Wracam po jeźdźca, rozrzucam statystów, dostaję mieczem w ucho, ale mimo wszystko wyciągam swojego jeźdźca ze zwału. Nie mogę przecież dopuścić, żeby główny bohater zginął od razu na początku filmu. No i co w rezultacie? Obwiniają mnie o wszystkie grzechy śmiertelne, że to ja zerwałem zdjęcia, uszkodziłem aparaturę i tak dalej. Że mogę grać tylko warany i bezmózgie dinozaury – swoich kolegów w intelekcie. Ale do filmu idzie mój dubel. Bierzemy masę nagród we wszystkich nominacjach, zwłaszcza za ostrość tła emocjonalnego. Nasza złość to prawdziwa złość, a strach jest tak silny, że dziewczynki siusiają w majteczki. Ból – autentyczny, najprawdziwszy z możliwych, marzenie masochisty. I to wszystko – z mojego epizodu. To, co do tego filmu nie weszło, starczyło jeszcze na dwa inne. I co, myślicie może, że dali mi za to chociaż jednego Złotego Lupusa? Gdzie tam! Zupełnie nieprawdopodobnie zginąłem tam potem w walce z bojowym słoniem. Takim powolnym! Każdy głupi zrozumie, że poddałem mu się.

Smoki słuchają z zapartym tchem, przestały nawet chrzęścić chipsami z suszonych meduz. Ich oczy płoną w ciemności jak gwiazdki, pląsają w nich odblaski hologramu ogniska. Oczywiście, prawdziwe ognisko byłoby lepsze, ale na Potworku nie ma drzew.

– Ale w jednym filmie zagrałem z przyjemnością – mówiąc to, wypuszczam z siebie aurę dumy, jakbym rozkładał pawi ogon. – Szkoda tylko, że film był krótki. Amatorski, wyśmiewający modę na filmy o wyczynach rycerzy i okrągłych stołach. Wyobraźcie sobie, bieży potężny rycerz, cały zakuty w żelazo. Wspaniały płaszcz rozwiewa się za plecami. Grzmią kopyta szlachetnego rumaka. Zatrzymuje się przed jaskinią i woła:

„ Nieboski potworze, wychodź walczyć na śmierć i życie!”.

Wysuwam się z pieczary. Na głowie mam czepek kucharski, na piersi brudny fartuch, a w łapie chochlę.

„A może nie warto?” – pytam. – „Może zajedziesz do mnie w gości, zjemy kolację, opowiesz dzieciom o swoich czynach rycerskich?” – Głaszczę starszego syna po głowie.

„Tak nie bywa!” – Nalega rycerz. – „Szykuj się do walki, ohydny potworze!”.

‘Słuchaj, dobry człowieku, czy ty masz dzieci?”.

„Dwoje’.

„Ja też mam dwoje. Zlituj się chociaż nad nimi. Zostaną sierotami. Załatwmy to pokojowo”.

„Ostatni raz mówię: wychodź na uczciwy pojedynek, ty nieboski potworze!”.

„No, jeśli na uczciwy – to jeszcze ujdzie” – odpowiadam ponuro. Zdejmuję czepek i fartuch, wkładam na głowę hełm, podnoszę z ziemi tarczę wielkości małego jeziora, wyjmuję mój „niezwyciężony miecz” – pięciometrową stalową hołoblę, wychodzę na próg i w zamyśleniu patrzę na oddalający się obłok kurzu.

„A niech go cholera z tą uczciwą walką” – wyjaśniam dzieciom. – Niech myśli, że się przestraszyłem. Mam obowiązek gonić za nim na tylnych łapkach całą dolinę? Kolacja stygnie”.

– A może zorganizujemy teatr? – proponuje Lamour. – Ofelio, o nimfo!... Idź do klasztoru – zwraca się z patosem do Fali.

– Dziękuję! Nie znalazłeś dla mnie lepszej roli!

– Dobrze, będziesz Katariną. A ja Pietrucco. Dzień dobry, Kat! Słyszałem, że tak cię zwą.

– Jestem Joanna d’Arc, Dziewica Orleańska! – Oburza się Fala i wypuszcza lekko pazury.

– Za późno. Trzeba było wcześniej organizować teatr. Jutro zaczynamy decydujące działania. – Zatrzymuję ich.

Idę z Dorianem na spacer. Rozmawiamy o Obiekcie. Zaczyna narzekać:

– Znowu to samo. Lawinowy wzrost ilości hipotez przy braku nowych faktów. – Kopie kamyk i obaj patrzymy w ślad za nim w zamyśleniu.

– Po co uogólniasz? Ja na przykład nie mam żadnej hipotezy. Polecimy, zobaczymy… A co ty sam o tym myślisz?

– Nic. Ale raz w dzieciństwie wsadziłem głowę do ula. – Milknie i czeka na naprowadzające pytanie, ale ja, przez przekorę, też milczę. – Bardzo bolało – komunikuje.

Milczę dalej. Kończymy już drugie okrążenie dookoła tego, co pozostało z kuli Żartownisia.

– Tam, w ulu, było takie samo równe buczenie jak tutaj – kończy wreszcie Dorian.

Teraz ja kopię kamyk. Rój. Kosmiczne owady zamiast rozumnych braci. Właściwie czemu nie? Też hipoteza. Kosmiczne owady, posługujące się zero-t. A jak inaczej mogłyby przemieszczać się w kosmosie? Owady… Gryźć umieją, i to naprawdę boleśnie.

– Ze mną lecą…

Kora wychodzi naprzód i ustawia się skromnie na lewo ode mnie, z takim nieobecnym, zamyślonym spojrzeniem, jakby to było ustalone zawczasu. Rzucam na nią spojrzenie z ukosa, a kiedy znów patrzę w przód, nie widzę w szeregu Miriameczek. Za to czuję, jak któraś z nich przytula się plecami do mojego kolana.

– …I Montan – kończę szybko, żeby cały Oddział nie zapisał mi się na ochotników.

– Ja-cha-a! – woła młody smok i szybko zajmuje miejsce obok Kory.

– Anna będzie tu dowodziła – dyktuję swoją wolę szybko, zanim Anna zdążyłaby się przyłączyć do Kory. – Jej zastępcami będą Platan i Dorian. – Wymierzam prewencyjne uderzenie w możliwy zarodek buntu. I natykam się na żałosne, błagalne spojrzenie Fali. – A Joannę d’Arc czynię odpowiedzialną za łączność z Żartownisiem. – Fala sarka ze złością i odwraca się. – Start za pięć minut. Wszyscy są wolni.

– Mógłbyś chociaż dać dziesięć minut. Muszę zabrać rzeczy – syczy Kora i mknie do bazy z szybkością myśliwca atomowego. Montan przysiada do pchnięcia startowego.

– A-a-a! – krzyczą Miriameczki i łapią go za ogon. Gdy Montan się ogląda, pośpiesznie, pomagając jedna drugiej włażą mu po ogonie na grzbiet i lecą na nim do bazy.

Drepczę smutno do kutra. Dlaczego wszyscy mają osobiste rzeczy, a ja nie? Ommia mea mecum porto. Wszystko, co mam, noszę ze sobą. Bias z Prieny. Jeśli hipotetycznie założyć, że to o komputerze okularowym, to właśnie tak jest. To moje super ego, moje drugie „ja”.

Anna przystaje koło mnie.

– Uważaj tam, nie ryzykuj.

– To tylko zwiad. Popatrzymy – i zaraz do domu.

– Mistrzu, nie masz nikogo w okularach?

– W tej chwili nikogo.

– Dlaczego postponujesz dziewczynkę?

– A kto to jest ta dziewczynka?

– Tonara, a któżby inny?

– Aa! Ależ ona jest już prababcią! E-e! Jak to – postponuję? Ani snem, ani duchem…

– Nie zaprzeczaj! Mrugasz do niej, wysyłasz Montana z jakimiś aluzjami. A zaledwie na nią spojrzysz, robisz się taki chytry. Dziewczynka niedługo zacznie się chować przed tobą.

– Tonara coś wie o Żartownisiu.

– O Boże! Któż o niej nie wie? Zresztą to prywatna sprawa jej i Granita.

– Ale ja jestem kierownikiem ekspedycji…

– No to co? Niech wszystko idzie po staremu. Nie mieszaj się do tych babskich swarów. Oho! Obraził się! Mistrzu, czyżbyś uważał się za psychoanalityka? Przecież zaledwie zaczniesz zamyślać jakiś podstęp, już pachnie od ciebie intryganctwem na kilometr! Młodzież robi zakłady co do twoich zamiarów.

– No i jak? – pytam już całkiem głupio.

– A czy ktoś cię odgadnie? Nikt jeszcze nie wygrał, jeśli o tym mówisz. Och, jak my sobie bez ciebie poradzimy?... – dodaje zupełnie nie na miejscu.

– Anno, ktoś z nas czegoś tu nie rozumie. Proponuję wniesienie poprawek wyjaśniających.

– Wnoś – pozwala.

– E-e-e…

– Wiesz, czemu ci się tak udaje? – Anna robi się nagle śmiertelnie poważna. – Wziąłeś do Zastępu taką zieloną młodzież… Życie ich jeszcze nie biło, śmierci nie widzieli. Nie widzieli, jak w dalekim kosmosie giną najlepsi z najlepszych. Teoretycznie coś o tym wiedzą, ale z nimi jest przecież Szlachetny Przodek, z którym nic takiego po prostu nie może się stać. I dlatego wszystko przyjmują jak jakieś śmichy-chichy.

– To jakaś bzdura.

– To zadziwiające. Już myślałam, że świadomie tworzysz image nieprzewidywalnego szefa. A ty naprawdę jesteś taki… Hybryda idioty z geniuszem. Wyobraź sobie wykres intelektu. Wszystkie smoki są gdzieś tam pośrodku, a ciebie tam nie ma. Jesteś jak hantle. Dwie kulki: jedna tam, gdzie idioci, druga tam, gdzie geniusze, pośrodku pusto. Kulkę idioty widzę czasami tylko ja i Kora. Dla wszystkich jesteś geniuszem.

Na Annę nie ma sensu się obrażać, więc słucham uważnie każdego jej słowa.

– Mówiliśmy o młodzieży.

– Młodzieży już dawno zamąciłeś w głowach. Pamiętasz pierwsze tygodnie, kiedy wszyscy, patrząc na ciebie, zaczynali pogrążać się w rozpaczy? Myśmy wtedy urządzili spektakl na tematy kulinarne. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to zrobiło wrażenie na dzieciach. Nawet ja i Kora nie przewidziałyśmy podobnego szoku. Dzieci myślały, że naczelnika zaprzątają myśli o sprawach wiecznych, o życiu i śmierci, a okazało się, że… o kawałeczku befsztyku na śniadanie. Nawet Platan i Dorian w to uwierzyli. Dzieci przeszacowały wartości i popadły z jednej skrajności w drugą. Myślą, że wszystko idzie zgodnie z planem, jak to mawiasz, „wcześniej opracowanym i zatwierdzonym”. Dla nich to dopiero druga w życiu ekspedycja, a ty jeszcze na pierwszej urządziłeś ten cyrk…

– Nie ja! Najpierw Lobasti urodziła nie w porę, a potem Miriameczki urządziły tą drakę z miejscowymi! Byłaś tam, widziałaś. To nie ja!

– No dobrze, nie ty. Ale ich zdanie o tej ekspedycji potwierdza twój stosunek do podarunków Żartownisia. Połowa smoków uważa, że umówiłeś się z nim jeszcze przed ekspedycją, a im nic nie powiedziałeś ze względów pedagogicznych. Hartujesz ich trudnościami. Słuchaj, a może naprawdę tak było?

– I ty, Brutusie…? Jaka tam była żeńska forma? Bruticha? Brutina?

– Brutaforia.

– I ty, Brutaforio…

Patrzę na zegarek. Do startu trzydzieści sekund. Obejmuję mocno Annę, wchodzę do kabiny kutra, przypinam się pasami i zaczynam przedstartowe odliczanie. Załoga się spóźnia. Zła cecha. Na „zero” podnoszę kuter na dwa metry nad gruntem i zawisam. Anna obserwuje mnie z ciekawością przez otwarty luk.

– Już myślałam, że chciałeś sam lecieć. A kto i dlaczego wybrał dla kutra tak bezsensowny kształt?

– Timur. Powiedział, że tetraedr jest lepszy niż kula, bo nie taki okrągły.

– A może przemieścisz kuter bliżej bazy? Kora ma duży bagaż.

Nie odpowiadam. Kuter na dwadzieścia metrów i sprawdzam ręczne sterowanie, po czym obracam wzdłuż pionowej osi i próbuję podlecieć do bazy. Takie kierowanie obracającym się kutrem to bardzo dobry trening: trzeba uwzględniać moment żyroskopowy i stale zmieniającą się orientację silników. Po łuku, ale zbliżam się do wejścia do podziemnego kompleksu. Wygaszam obroty, schodzę na dwa metry i zawisam nieruchomo. W głowie wciąż mi się kręci.

Zjawia się Kora z ogromnym worem na plecach. Patrzy tam, gdzie stał kuter, potem w niebo. Cicho i żałośnie jęczy, a jej skrzydła zwisają, jakby ją spoliczkowano.

– Po co ci tyle barachła? – pytam.

Odwraca się tak gwałtownie, aż worek spada z jej pleców. W jej oczach widzę radość, psi zachwyt i wdzięczność, że jej nie porzuciłem. Przeciska się z workiem w luk, przymocowuje go siatką zabezpieczającą, przypina się do siedzenia. Ocieram się policzkiem o jej ramię. Pojawiają się Montan i Miriameczki, obładowani jak wielbłądy. Zamykam luk, zadaję kurs autopilotowi i komenderuję:

– Wszyscy mają włożyć kostiumy kompensacyjne. Lecimy z przyśpieszeniem granicznym.

– Ale to przecież czterdzieści g przy powierzchni!!!

– Granicznym dla nas, a nie dla kutra.

Miriameczki krzywią twarze, ale spełniają rozkaz. Spod podłogi kabiny wysuwają się inne „fotele”, a raczej wanny. Kładziemy się na błonce, pokrywającej ciecz i przypinamy się. Autopilot komunikuje, że wyszliśmy na zadany punkt planety względem gwiezdnych współrzędnych.Następuje najmniej przyjemny moment. Wydaję komendę startu. Ledwie słyszalny szum antygrawów zamienia się w basowe buczenie. Ciężar przygniata, aż staje się trudno oddychać. Zwiększam procent tlenu w powietrzu, ale i tak trudno. 20 g. Próbuję zmienić pozę, ale głowę mam jak przywaloną blokiem żużlowym. Puszczam na okulary obraz z zewnętrznych telekamer. Horyzont rozszerza się z nieprawdopodobną szybkością. Próbuję obliczyć, jak długo będziemy cierpieli tą torturę. Przyśpieszenie 200 m/sek. Kilometr pokonujemy w 5 sekund, 10 km w 50… Źle. Mylę szybkość z przyśpieszeniem. Ale mój mózg nie chce pracować. Jakby przeciążenie działało także na myśli. O Boże, takie męki – tylko po to, aby zaoszczędzić parę ton paliwa dla silników jądrowych. A wszystko dlatego, że jakiś rój zakazał zero-t. Jak by to skrócić? Może jeszcze bardziej zwiększyć przyśpieszenie – powiedzmy, do 25 g? Gorzej już i tak nie będzie. Wywołuję na okulary menu autopilota. Przerzucam slyder na liczbę 25 i zamyślam się, wiodąc kursor w stronę przycisku „Wprowadzić”. Miri-one włazi w moje okulary, rozgląda się i wyświetla na całym polu widzenia jasny fioletowy napis:

S A D Y S T A

Rozumiem, naród przeciw. Przesuwam slyder na 24 g. Napis gaśnie, ale zmienia go obrazek: cztery mogilne pagórki i ja z bukietem kwiatków. Zwracam slyder na 20 g.

100 sekund. Lot normalny. Odległość… Z trudem obliczam, myląc się raz po raz. Chyba około 1000 kilometrów. Docierpieć do 10-15 tysięcy kilometrów, tam przeciążenia zaczną spadać. Pole grawitacyjne planety osłabnie i antygrawy już nie zdołają wycisnąć 20 g. W oczach zaczyna ciemnieć. Opuszczam powieki i liczę sekundy. Po pięćsetnej otwieram oczy. Nic nie widzę. Czerń. Jakbym oślepł. Znów zamykam oczy i już nie liczę. Wszystkie siły poświęcam na oddychanie. Chyba jednak na krótko straciłem przytomność. Tak, zgadza się. Oczy już widzą normalnie, przeciążenie mniejsze niż 8 g. Antygrawy wyją na granicy wytrzymałości, ale pole grawitacyjne planety jest tu już pięciokrotnie słabsze, niż na powierzchni i nie daje potrzebnego odrzutu. Sprawdzam parametry trajektorii. Odchylenie mniejsze niż 1º. Nieźle jak na start grawitacyjny. Bardzo miło jest patrzeć, jak wskaźnik przeciążenia pełznie w stronę zera. I mam czas pomyśleć nad tym, co powiedziała przed startem Anna.

Dla ścisłości przekręcam zapis rozmowy. Co ma do tego Granit? Co mają do tego babskie swary? I co Granit ma wspólnego z babskimi swarami?

Wywołuję dossier Granita. Miriameczki, oczywiście, już są. Wygląda na to, że wstawiły w moje okulary jakiegoś żuczka, który komunikuje im, że zajmuję się czymś ciekawym. Ale odchodzę od tematu. Co wiem o Granicie? Przez długi czas był poróżniony z Mają z powodu Lobasti. Pogodziłem ich. A z samą Lobasti? Starają się wzajemnie nie zauważać. Do wszystkich pozostałych odnosi się dobrze. Co on ma wspólnego z Żartownisiem? I co Żartowniś ma wspólnego z Lobasti? Dlaczego, u diabła, Lobasti włazi do wszystkich pytań?

Przyśpieszenie zmniejsza się do 2 g. Kora stękając przewala się przez krawędź wanny i idzie do toalety. Patrzę na nią i nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Uszy ma jak dwie szmatki, Łopoczą jak u długouchego kundla. Obmacuję swoje – takie same. No proszę, cóż to przeciążenie wyprawia z organizmem! Miriamy wydają żałobne jęki i kręcą się w swoich wannach, ale wyłazić nie zamierzają. Dobrze, że same wprosiły się na ten lot. Teraz będę mógł je trochę poszantażować.

– Proponuję nagrodzić mnie medalem „Za ratunek w kosmosie” – jęczy z kąta Miri-one.

– Skarżypyta! – odgryzam się. Wszyscy są zaintrygowani, zasypują nas pytaniami.

– Uratowałam od męczeńskiej śmierci czworo odważnych kosmonautów i jednego skrajnego masochistę – wyjaśnia Miri-one. – Ojciec, bodajby mu nie wyschnął jego zielony ogon, chciał podnieść przeciążenie do 25 g. Wmieszałam się dosłownie w ostatniej sekundzie.

Wszyscy patrzą na mnie ze strachem i szacunkiem.

– Czy to prawda? – pyta drżącym głosem Kora.

– Miałem taki zamysł, ale wycofałem się z niego. Więc to ja powinienem otrzymać medal.

Wygłupiamy się. Pierwszy dzień lotu. Przed nami cztery miesiące na jednym „g”, albo dwa miesiące na czterech g. Lobasti raz trzy miesiące leciała na pięciu g. Może zaproponować powtórzenie jej wyczynu? Ale naród będzie przeciw. Do diabła! Ja pierwszy będę przeciw. Wszystkie kości bolą. Miriamy to mają dobrze: wszystkie kosteczki żelazne.

Zaraz będzie mały bunt. Będę musiał być surowy i bezlitosny, a potem siostrzyczki przez tydzień nie będą ze mną rozmawiać, co źle się też odbije na ogólnym mikroklimacie.

– Mężu, co się stało? – Zjawia się Kora w hełmie-zagłuszaczu.

Oho, moje emocje już psują mikroklimat. Kuter malutki, nie ma się gdzie schować. Malutki dla nas, smoków, bo Miriamy mają dobrze. Gdy zdejmujemy przeciążenie, grają w korytarzu w pelotę. Nie znam zasad, dla mnie cała istota sprowadza się do tego, żeby jak najmocniej uderzyć piłką w ściankę, żeby hałas rozchodził się po całym statku.

Ogłaszam ogólną zbiórkę. Piłki przestają uderzać o ściany, spocone kosmate siostrzyczki i Montan zjawiają się w sterówce. Montan też jest w hełmie-zagłuszaczu. Co chwilę zdejmuje go i wkłada z powrotem. Eksperymentuje. I przy tym głupio się uśmiecha.

– Miri-one i Miri-two, nie można dłużej zwlekać. Przyszedł czas rekonstrukcji części waszych urządzeń – ogłaszam i oczekuję buntu.

– Ojcze, wiesz, jak my się do tego odnosimy. Dobrze pomyślałeś? – pyta Miri-one.

– Tak.

– Bardzo dokładnie pomyślałeś?

– Tak. Bardzo – odpowiadam. Miriamy wymieniają zakłopotane spojrzenia.

– Projekt gotowy? Gdzie schematy? Na pewno gdzieś je masz.

Z trudem powstrzymuję się, by nie podskoczyć do sufitu z radosnym wrzaskiem. Kora zdejmuje z głowy hełm-zagłuszacz.

– Ale z ciebie tchórz! Z powodu takiego drobiazgu dwa dni wszystkim psuć nastrój!

Miriamy włażą w moje okulary, włączając bursztynową kulkę wirtualnej rzeczywistości, do której już przywykłem – w takim towarzystwie można przywyknąć do wszystkiego. Przekazuję im pliki z projektem modernizacji.

– Szósty zmysł – komentuje Miri-one. – Jednak dopiął swego. – I zaczyna się krytykanctwo. To nie tak, tamto przestarzałe, tu już wszystko przerobione, wolnych kanałów nie ma.

– No to dopracujcie, ale szybko. Daję wam na to pięć dób i ani sekundy więcej.

– Pośpiech jest dobry przy łapaniu owadów – odpowiada Miri-one, już po uszy zagłębiona w projekcie.

– To rozkaz – mówię stanowczo. Obie głowy od razu zwracają się w moim kierunku.

– Co się stało, ojcze?

– Buczenie. Robi się coraz głośniejsze. Niedługo stanie się ogłuszające, osiągnie próg bólu. Będziecie musiały kierować statkiem. Szczegółowych instrukcji udzielę wam później.

– A co będzie z wami?

– Myślę, że na jakiś czas ogłuchniemy. Dlatego niezbędne jest, byście i wy słyszały zero-t.

– Ale głupio! – komunikuje Miri-two, wydymając wargi. – Mogłybyśmy tu same dolecieć. Nie było potrzeby męczenia Montanka.

– A co zrobicie, jeśli zetkniecie się z czymś nowym, nieznanym i absolutnie do niczego niepodobnym?

– Poradzimy sobie nie gorzej od ciebie. – odpowiada Miri-one.

– Czyli zawalicie sprawę. Właśnie dlatego wziąłem Montana.

Gdyby siostrzyczki były ludźmi, pewnie straciłyby ze zdumienia przytomność, i to z kilku powodów. Po pierwsze, dla nich ten lot od początku był rozrywką, a dla smoków, jak się okazuje, wyczynem; po drugie, ich genialny ojczulek uważa, że jest ktoś mądrzejszy od niego – i to taki przeciętny smok, jak Montan!…

Startujemy dziś o świcie

W wiatr wiejący nad Saharą

Co pieśń naszą wznosi w niebo

A po ziemi gna kurz szary…

– śpiewa Montan na cały głos, wałęsając się po statku z głową objętą łapami. Kora leży plackiem, dygocze całym ciałem i stuka zębami. Ja przywiązałem się do fotela symulatora i bez przerwy kręcę głową – jak młociarz swoją kulą na sznurku. Gdy kręcisz głową, jest lżej. Siostrzyczki patrzą na nas z przerażeniem. Nie wiem, dlaczego, ale nikt z nas nie chce wziąć tabletki nasennej. To znaczy: wiem, ale tylko w stosunku do siebie. Boję się przebudzenia. Może, kiedy się obudzę, będzie już zupełnie nie do wytrzymania? Poza tym mam wymówkę: jestem kapitanem – na posterunku bojowym. Jutro będzie decydujący dzień. Według obliczeń, jutro powinniśmy ogłuchnąć. Sygnał będzie tak silny, że nie będzie mógł już być adekwatnie przekazywany włóknem nerwowym. A jeśli jednak będzie przekazywany, wydam polecenie smokom, żeby położyły się w anabiozę. Cały program naukowy wykonają siostrzyczki. O-o-o, do diabła!

Na chwilę zamieram i zaczynam kręcić głową w drugą stronę. Obrót na sekundę, 60 pomnożyć przez 60 i jeszcze przez 24… Albo ogłuchnę, albo głowa mi odpadnie. Jeśli głowa mi odpadnie, ogłoszę Obiekt strefą zamkniętą dla smoków. Jeśli ogłuchnę, i tak ogłoszę. Nie ma sensu się okaleczać. Raz można rzucić okiem, a potem można wysyłać już tylko automaty.

– I od tej pory ogień tej wiary we mnie płonie! Grajcie, śpiewajcie kapele, póki król duński na tronie! – ryczę za przykładem Montana i znowu zmieniam kierunek obrotu. Też pomaga.

Trójkąt…Gdyby wybrać figurę geometryczną, która odbijałaby wszystko, co ludzkość stworzyła w zakresie techniki, byłby to niewątpliwie kwadrat albo prostokąt. Człowiek lubi kąt prosty – i koniec. A tu trójkąt. Pszczoły tworzą sześciokątne plastry, to już bliższe do trójkąta. Dorian uważał, że czeka na nas rój kosmicznych owadów, ale czy pszczoły mogłyby zbudować plastry wielkości Księżyca?

Obiekt jest w sposób oczywisty sztuczny, wystarczy na niego spojrzeć. Ażurowa krata, najbardziej przypominająca model kryształu, taki, jaki nauczyciele chemii lubią robić z kulek i zapałek dla uczniów. Zapałki tworzą trójkąty, wszystkie jednakowe, o boku dziesięciu metrów. Kulki są ciemnobrązowe, o średnicy metra. W którąkolwiek stronę spojrzysz, wszędzie uchodzące w dal trójkątne studnie. Ciążenie bardzo słabe, ale istnieje, pomaga w orientacji.

Kora mówi, że białe łączniki przypominają jej nie zapałki, a ścięgna, zwłaszcza w miejscach gdzie łączą się z kulkami, jak ścięgna zrastają się z kością. Jak obrazki w atlasie anatomicznym. Przyglądam się dokładnie i wzdrygam się. Ma rację.

O dziwo, nasz trójkątny z każdej strony kuter znakomicie wpisuje się w miejscowy pejzaż. Trzeba będzie dokładnie wypytać Timura, dlaczego wybrał tetraedr, czy nie ma to przypadkiem związku z Żartownisiem.

Miri-one i Miri-two przycisnęły się hełmami do jednej z kulek z różnych stron i są zachwycone w najwyższym stopniu. Przerzucają się słowami, robią jedna drugiej znaki. Odbijając się od kul i więzadeł, podlatuję do nich.

– Coś odkryłyście?

– Ojcze, ona popiskuje. Najpierw często, potem coraz rzadziej i rzadziej. Nie słyszysz?

– Nie. Nie odbieram poszczególnych dźwięków w tej orkiestrze.

– Szkoda. One wszystkie tak. Jedne popiskują, drugie poszczękują. Jedne częściej, inne rzadziej. I to są kierowane przekazy, wiesz, ojcze? Stąd je słychać, a stąd – Miri-one przemieszcza się wzdłuż kuli o ćwierć obrotu – nie.

Kierowane przekazy zero-t… Gdy tylko dowiaduję się, że coś takiego jest możliwe, w głowie od razu zaczynają pojawiać się warianty budowy przekaźnika. Mają braki, więc odrzucam je jeden po drugim, aż nie pozostaje żaden. N-taak… Trzeba to będzie przemyśleć.

Odbijając się łapami od kul i więzadeł, płynę do kutra, wiszącego na antygrawach dwadzieścia metrów nad górną warstwą kul. Z luku na wszelki wypadek zwisa sznur z węzłami. Zbędne zabezpieczenia. Miriamy i tak doskakują, nawet nie korzystając z silników w plecakach.

– To ślepy zaułek!

– A może jeszcze pomyśleć?

– I tak ślepy zaułek! Przecież to oczywiste! Co z tego, że kulki wymieniają się informacją? Nie rozszyfrujemy jej nigdy! Nawet nie wiemy, do której kuli adresowany jest który przekaz. To jak słowo z pieśni. Czy można rozszyfrować pieśń z jednego słowa?

Kora patrzy ponuro na rozgorączkowaną Miri-one.

– Uważasz więc, że metody badania na odległość już się wyczerpały i nalegasz na sekcję?

– Tak, nalegam. Po co myśmy tu lecieli?

– A nie boisz się, że dadzą nam za to po głowie? Spójrz na problem z drugiej strony.

– Wtedy będzie nie po głowie, a po pupie – uściśla Montan.

– Kto nie ryzykuje, nie pije szampana – niepewnie mówi Miri-one, w dodatku cytując mnie.

– I uważasz, że nie ma innego sposobu? – pytam.

– Jeśli go znasz, to mi podaj.

– Duplikator Trepeda.

– Włączymy duplikator, rozkołyszemy zero-t – włącza się do rozmowy Miri-two – a oni do nas wycelują i jak nie…

– Husarze, milczeć! Ani słowa przy dzieciach! – komenderuję.

– Gdzie tu są dzieci? – Miri-two podnosi na mnie zdumione oczy.

– Widocznie to ja – mówi basem Montan.

Obie Miriam są już w moich okularach. Przetrząsają całą moją pamięć w poszukiwaniu słowa „husarz”. Mogłyby zresztą po prostu zapytać.

Kończymy montaż aparatury Trepeda. Wszystko nastawione na minimalną moc. Miri-two odprowadza kuter na odległość stu pięćdziesięciu kilometrów i wraca na silniku w plecaku. Ja i Kora otaczamy abażur duplikatora gęstą siatką, żeby wzory nie odleciały. Miri-one po raz ostatni sprawdza łączność z urządzeniem, a Montan wszystko kontroluje.

– W porządku – komunikują wszyscy po kolei.

– Uciekamy – komenderuję.

Dziewczyny wskakują na grzbiet Montana i wszyscy długimi skokami pędzimy w dal. Bieg po węzłach kratownicy przy małej grawitacji – to coś fantastycznego. Odbijasz się i lecisz, a pod tobą na sekundę otwierają się kratowane studnie nieskończonej głębokości. Po dziesięciu kilometrach biegu zatrzymujemy się i schodzimy kilka warstw niżej. Teraz nawet, jeśli Obiekt z przyzwyczajenia rąbnie po duplikatorze, nas nie zadraśnie.

– Wszyscy się przymocowali? – pyta Miri-one i, nie czekając na odpowiedź, naciska guzik.

– Oj, mamusiu! – Miri-two kręci głową, przestraszona.

– Trzymaj się! – komenderuje Miro-one i z całej siły wczepia się w belkę. Idę za jej radą i staram się jak najmocniej przycisnąć Korę. Czekamy w napięciu dziesięć sekund.

– Chyba już po strachu. – Miri-two po minucie odczepia się od kulki i rozgląda się czujnie.

– Siostrzyczki, co było? – pytam z ciekawością.

– Wszystkie umilkły, ojcze. Teraz piszczą dziesięć razy silniej, ale stopniowo się uspokajają.

Montan wychodzi na górę i patrzy w dal przez lornetkę.

– Zadziałało! – woła radośnie – W siatce są kopie!

Ucieszeni biegniemy wszyscy do duplikatora. W siatce – tak jak chcieliśmy – leżą trzy wzorce: cała kulka, pół kulki i ścinek o grubości około dwu centymetrów. Miri-two wysyłam po kuter, a my tymczasem demontujemy duplikator. Potem ostrożnie przenosimy wzorce do ładowni. Montan zaraz bierze ścinek pod mikroskop. Siostrzyczki przyciskają się do kulki, po czym biegną na zewnątrz, słuchają oryginału i sąsiednich kulek.

– Co słyszycie? – dopytuję się zaciekawiony.

– Nasz i oryginał piszczą bardzo mocno, pozostałe – jak zwykle.

– Montan, a co u ciebie? – pytam. Odpowiada krótko i jasno:

– Coś strasznego! Mozaika. Kalejdoskop. Miasto widziane z góry.

Ta kula to coś pośredniego między mózgiem cybera a organizmem. Jest krzemoorganiczna i sama siebie wyhodowała atom po atomie. Ale nie chemicznie, tylko w drodze katalitycznej syntezy molekularnej. Nie, oczywiście, że to jest komputer, a nie żywy organizm. Ale wręcz niewyobrażalnie złożony. Wszystkie komputery naszej cywilizacji nie dorastają mu nawet do pięt. Jest potężniejszy od nich wszystkich razem wziętych. W dodatku na zero-t zna się dużo lepiej ode mnie. Ja na razie nie wiem, jak się robi mało hałaśliwy wąsko kierowany przekaz. U nas trzy czwarte energii idzie na trzęsienie eteru. Może ich metoda w jakiś sposób powiązana jest ze sferycznym zero-t?

Montan i Miriamy badają obiekt, stanowiący połowę kuli. Hałasują jak dzieci, odpychają się wzajemnie od mikroskopu – zamiast po prostu rzucić trójwymiarowe wyobrażanie przedmiotu na wielki ścienny ekran. Kora bada ścinek.

– On się odtwarza, Afa.

– Czyżby? Kiedy odtworzy się w całości?

– Jeszcze nieprędko, W tym tempie za sto tysięcy lat. Ale później, w optymalnych warunkach proces może pójść znacznie szybciej. Widocznie czegoś mu tu brakuje. Ten u młodzieży już za dziesięć tysięcy lat odtworzy się w pełni. Może nawet o pięćdziesiąt procent szybciej, jeśli będziemy go dobrze podkarmiać.

– Czym podkarmiać?

– Kurzem z potrzebnymi mu elementami chemicznymi. Ten kurz, który na nim osiada, cały mu się przydaje. Białe połączenia nie są tylko elementami konstrukcji, po nich substancja jest przekazywana tam, gdzie jej najbardziej brakuje. Z szybkością do pół metra na minutę. A jeśli liczyć wagowo – nawet do grama na godzinę.

– Ależ ci nasi rozumni bracia są cierpliwi! Nie peszy ich remont bieżący trwający dziesięć tysięcy lat!

– Nie bieżący, a kapitalny – poprawia Kora.

Więc to takie buty! Dla kociąt. Szukaliśmy rozumnych braci, a znaleźliśmy ich kieszonkowy kalkulator. Co zawsze ograniczało moc komputerów? Prędkość światła. Im komputer mocniejszy, tym większy. A im większy, tym dłużej sygnał idzie od jednego węzła do drugiego. Nasi cierpliwi rozumni bracia na początku też doszli do tej granicy technologicznej. Wtedy stworzyli tą metrową kulkę – komputer na poziomie molekularnym. Okazało się, że to jeszcze za mało. No i połączyli kilka miliardów kulek kanałami łączności zero-t, szybszymi niż światło. Stworzyli szybki komputer, dla którego prędkość światła nie jest granicą. Tanio i dobrze! Szybki komputer wielkości małej planety. Ile lat trwał jego montaż? I jakiż to problem aż tak ich niepokoił? Może i dla nas też jest to aktualne?

– Umocujcie zdobycze w ładowni, lecimy do domu – komenderuję. Miri-one niechętnie odrywa się od mikroskopu.

Rozkładamy przedmioty w kątach ładowni. Trzy kąty – trzy rzeczy. Bardzo wygodne komórki, które później już do niczego nam się nie przydadzą. Podłogę i ściany pokrywamy metrową warstwą hermetyzującej piany, żeby wzorców nie uszkodzić nawet, jeśli będziemy musieli uciekać przed obstrzałem Obiektu z przyśpieszeniem 20 g. Siadam na fotelu dowódcy i daję małą naprzód: 0,05 g na antygrawy. Gdybyśmy wystartowali na pełnym ciągu, to mogłoby zaszkodzić Obiektowi, zresztą nigdzie się nie śpieszymy. Po minucie osiągamy sto kilometrów na godzinę, po godzinie – sześć tysięcy. Oddalamy się od Obiektu na odległość równą jego średnicy. Ależ on jest piękny! Struktury już nie widać, ale jeszcze jest jasne, że nie jest zwykłą kulą. Wygląda trochę jak kratka dyfrakcyjna.

– Ojcze, nasza kulka się zaniepokoiła – komunikuje Miri-two.

– Nie, to nie ona się zaniepokoiła, to pozostałe – poprawia ją Miri-one. – Nadają kierunkowe przekazy, a naszej nie słyszymy…

Nie zdąża dokończyć myśli, gdyż nagle coś nas rzuca na ścianę. Z własnej niefrasobliwości zapomnieliśmy przywiązać się do foteli. Kuter przewraca się na bok. Wywołuję w okularach menu kierowania kutrem i odłączam antygrawy. Przekroczyliśmy już drugą prędkość kosmiczną względem Obiektu, więc najlepiej udać martwych i odlecieć na bezpieczną odległość. Obracam się, ostrożnie rozwijam i zwijam skrzydło. Kości całe. Obmacuję szczękę. Też w porządku. No, prawie.

– Wszyscy cali? – pytam i widzę, że tylko ja rozsmarowałem się na przepierzeniu. Miriamy chwyciły się bocznych oparć, a Kora i Montan byli przywiązani, jak wypadało przy starcie według instrukcji. – Komunikat o sytuacji – komenderuję, wyjmując z gęby wybity ząb.

– Ładownia jest rozhermetyzowana. Radioaktywności nie ma –komunikuje Kora.

– Kulka zamilkła – dodaje Miri-two.

– Odtworzyć hermetyczność – komenderuję, oglądając ząb. Jeśli go wetknę zaraz z powrotem, może się przyjmie. Prawie na pewno się przyjmie.

– Jest odtworzyć hermetyczność! – Montan podnosi łapę do czoła i przez okulary uruchamia pulpit obsługi technicznej.

– Do pustej głowy nie przykłada się ręki – komentuje Miri-two.

– Szkodnica! – odcina się Montan.

Miri-two podlatuje do mnie, zabiera mi ząb, odciąga wargę, ogląda miejsce, gdzie niedawno rósł.

– Podarujesz mi go? – pyta i nie czekając na odpowiedź chowa ząb do kieszeni.

Oglądamy miejsce, gdzie zupełnie niedawno była przechowywana kulka. Teraz nie ma ani kulki, ani tego kąta kutra, w którym była. Zostało coś podobnego do otwierającego się kwiatka ze stalowych arkuszy o grubości pięciu centymetrów. Obiektowi nie spodobało się, że zabieramy kulkę na badania, więc po niej walnął, na szczęście dla nas, niezbyt mocno. Dokładnie z taką siłą i celnością, żeby rozbić kulkę na cząsteczki. Do ridera wtedy strzelał o wiele mocniej, chcąc go rozbić na molekuły. Czy można to tak rozumieć, że w odniesieniu do nas objawił uczucia przyjaźni i nie wykończył? Chyba tak. Gest dobrej woli, że tak powiem.

– Siostrzyczki, przypomnijcie mi, że jeśli dwa pozostałe wzorce zaczną piszczeć, trzeba będzie natychmiast wyrzucić je za burtę.

– One na razie milczą.

– No to kosi, kosi łapci. Tydzień lecimy po balistycznej, udając meteor, potem włączamy silniki. A na razie naprawiamy.

Obliczam w pamięci, o ile się oddalimy od Obiektu przez ten tydzień. Niecały milion kilometrów. W kosmicznej skali bardzo mało.

Załataliśmy przebicie. Na szczęście silnik jądrowy nie został uszkodzony. Pewien niepokój wywołuje tylko stan płytek antygrawów, ale tu nie ma silnego zewnętrznego pola grawitacyjnego, żeby je wypróbować. W słabym – pracuje.

Po naprawieniu wszystkiego włączyliśmy na cztery godziny 10 g, żeby jak najszybciej oddalić się od Obiektu. Wygląda jednak na to, że go już nie interesujemy.

Mamy mały problem z paliwem do silnika jądrowego. Nie chodzi o to, że go w ogóle nie wystarczy, ale nie wystarczy na to, by całą drogę powrotną lecieć z optymalnym przyśpieszeniem. No i lot się nam przeciągnie. Siostrzyczki proponują, żeby wykorzystać jako paliwo wszystkie zbędne rzeczy. Teraz chodzimy po kutrze i wyjaśniamy, która rzecz jest ważna, a która nie. Jako kapitan, rozkazuję uważać hermetyczne ścianki działowe oraz zapasy jedzenia, wody i powietrza za rzeczy potrzebne. Gdy skończymy, zadamy program autopilotowi rozdzielimy dyżury i po kolei my, smoki, będziemy kładli się w anabiozę, a Miri-one i Miri-two dwudziestokrotnie zwolnią częstotliwość taktową procesorów, co u nich prawie odpowiada anabiozie. Pierwszy dyżur przypadł Montanowi. Odbieram od siostrzyczek przyrzeczenie, że będą się dobrze zachowywały i kładę się w anabiozę.

Budzę się, patrzę na kalendarz. Cztery dni do lądowania. Czyli przespałem wszystkie swoje dyżury. Z wyrzutem patrzę na Miriameczki, a potem na sąsiednie sarkofagi. Kora i Montan śpią, więc kto dyżuruje?

– Ojcze, nie gniewaj się, poradziłyśmy sobie ze wszystkim doskonale. Po co macie tracić czas na dyżury, jeśli my i tak nie śpimy? Obroń nas tylko przed Montankiem.

– Co wyście z nim zrobiły?

– Nic – śmieje się. – Przedyżurował pierwszy dzień, położył się spać… i dotąd śpi.

Montan waży pięć ton. Dwie Miriamy i cztery cybery remontowe. Jak one go dotaszczyły do sarkofagu? Dźwigarką za ogon? Nie, lepiej nie pytać. Nic więc nie wyszło z moich planów zajęcia się teorią kulistego zero-t w samotności i spokoju. I szósty zmysł w anabiozie nie odtworzył się, więc jak poprzednio nie słyszę zero-t. Zaczynam krzyczeć:

– Wsadzę was do karceru! Będziecie szorowały kamienie do połysku! Albo ześlę na Syberię śnieg usuwać! Won!

Siostrzyczki wyskakują na korytarz. Wytężam słuch.

– Paskudny papa, nawet nie powiedział „dziękuję”… – Słyszę zdanie, wypowiedziane półgłosem, ale namiętnie. Dzieci, jeszcze kompletne dzieci!

– Postawię do kąta! – krzyczę w korytarz i przełączam sarkofag Kory na budzenie. Montana obudzę ostatniego. Inaczej siostrzyczkom naprawdę nie ujdzie to na sucho. Przedszkole!

Wysokość 100 kilometrów, odległość 120. Jeśli pójdziemy po krzywej balistycznej, trafimy prosto w obóz. Tak właśnie chcemy pójść, tylko przyhamujemy antygrawami. Anna obiecuje triumfalne spotkanie. Młodzież – siostrzyczki i Montan – błyszczy jak miedziane guziki. Kora uśmiecha się powściągliwie. A ja nawet nie próbuję ukrywać emocji. Nie w tym przypadku!

Płynnie zwiększam przeciążenie do pięciu g. Wysokość 90, odległość 103. Powiedzmy sobie szczerze, nasz kuter nie jest zbyt aerodynamiczny. Wysokość 80, odległość 86. Zwiększam przeciążenie do 6,5 g. I nagle w ładowni rozlega się zgrzyt i gruchot. Kuter przewraca się na bok, zaczyna się obracać, podłoga i sufit zamieniają się miejscami. Ujemne przeciążenie wyrywa nas z foteli, rzemienie wpijają się w ciało. Patrząc z ukosa widzę, że Miri-one wyleciała z fotela, ale zdążyła chwycić się bocznego oparcia i teraz wisi na jednej ręce, wijąc się i machając nogami. Lada chwila spadnie na sufit. Obaj z Montanem równocześnie obejmujemy ją ogonami i przyciskamy do fotela.

– Miri-two, raport! – mówię.

– Urwała się z zamocowania sekcja antygrawów. Tam, gdzie był wybuch.

– Odłącz ją od zasilania.

– Sama się odłączyła.

To stąd te obroty! Asymetria ciągu. Silnik jądrowy położony jest w środku statku, a trzy sekcje antygrawów wokół niego. Pozostały dwie…

Wysokość poniżej siedemdziesięciu. Próbuję zatrzymać obrót żyroskopami systemu orientacji. Nie udaje się. Do pomocy żyroskopom podłączam silniki orientacji i udaje mi się wygasić obroty. Wysokość 52. Nie mogę skorzystać z silnika jądrowego bezpośrednio nad obozem. Massaraksz!

– Miri-two, daj na moje okulary pion.

Przed oczami pojawia się czerwona strzałka.

– Do diabła! Dodaj trajektorię!

Pojawia się niebieska linia i powierzchnia w kształcie nieskończonej szachownicy.

– Daj pion kutra!

Na trajektorii pojawia się piramidka kutra, z której sterczy cieniutka czerwona strzałka. Zuch! Zrozumiała wszystko! Teraz można żyć! Obracam kuter dookoła pionowej osi. Gdy szybkość obrotowa osiąga dwa na sekundę, włączam antygrawy i płynnie zwiększam przeciążenie do ośmiu g. Mało! Wysokość już tylko 25 kilometrów!

Miri-two, zuch, umieszcza na niebieskiej linii trajektorii oznaczenia wysokości. Teraz widać skalę. Piramidka obraca się na wykresie nawet niezbyt szybko, ale w środku – jak koło diabelskie. Pionowa oś kutra precesuje. Lecimy na granicy wytrzymałości.

Gęstość atmosfery wzrasta, zaczyna się trzęsionka. Jeśli jeszcze bardziej zwiększę przeciążenie, kuter znowu zacznie koziołkować. Rozpędzam żyroskop Z systemu orientacji do granicy możliwości. Precesja pionowej osi nieco się zmniejsza. Wysokość 10. Nagle przeciążenie samo z siebie wzrasta do 12 g. Dlaczego? Bo wchodzimy w atmosferę. To dobrze, to na naszą korzyść! I dobrze, że wtedy, kiedy głuchłem, dużo kręciłem głową. Natrenowałem się. Inaczej w tym bąku nic nie potrafiłbym zrobić.

– Miri-two, prognoza!

– Zdążymy.

Do-obra prognoza, do-obre rokowania! Można nawet się odprężyć. Lekarze mają formułę „złe rokowania” – to zanim w historii choroby napiszą „zejście śmiertelne”. Jak tam u chorego z wysokością? Trzy kilometry. Trzy tysiące metrów. Dwa i pół… Dwa… Tysiąc osiemset… Szybkość pionowa – zero! Zmniejszam przeciążenie do 1 g, wyrównuję pion i zmniejszam szybkość obrotów kutra do jednego na sekundę. Precesja pionowej osi zauważalnie spada, choć ciągle działa na nerwy.

– Kora i Montan, weźcie Miri-one, opuśćcie kuter i lećcie na skrzydłach.

– Nie dam rady na skrzydłach – odpowiada Kora. – Kręci mi się w głowie. Rozbiję się.

– Ja zostaję z Miri-two – ogłasza Miri-one.

Ryczę, ale nic nie mówię. Próbuję się zorientować, w którym kierunku jest obóz. Do głowy pcha mi się aria Figaro.

– Miri-two, wektor na obóz! – Przed oczami obok statku pojawia się zielona strzałka. – Pomaluj statek.

Jeden z wierzchołków piramidy zabarwia się na czerwono. To ten, w którym był wybuch i odpadła sekcja antygraw. Zuch dziewczyna, naprawdę zuch! Wszystko jasne. Czerwony wierzchołek – to tam, za ramieniem!

Schodzę na osiemdziesiąt metrów i pchnięciami silników manewrowych kieruję kuter w kierunku obozu. Żeby nie myśleć tylko o lądowaniu, ryczę na cały głos arię Figaro, Poza tym przywykłem coś śpiewać, kiedy trzeba dużo kręcić głową, jak teraz. Miri-two komunikuje, że do obozu mamy dwa kilometry. Czas lądować. Wygaszam szybkość poziomą, schodzę na wysokość dziesięciu metrów i zamyślam się. Kuter obraca się dookoła pionowej osi. Dopóki się obraca, trzyma pion. Jeśli zatrzymać obroty, przewróci się na bok, a jeśli nie zatrzymywać, potoczy się po ziemi. Dobre!

Hamuję ostro poziomy żyroskop systemu orientacji, wyłączam antygrawy i wyciskam ile się da z silników orientacji. Ktoś wypuszcza stojaki podwozia – ja o tym zapomniałem. Słyszę trzask, domyślam się, że zrobiło się jeden stojak mniej. Kuter przechyla się na bok, balansuje na wierzchołku czworościanu, ale pada dnem do dołu i podłoga zastyga pod kątem dwudziestu stopni. Wylądowaliśmy. Odpinamy rzemienie, ale nikt nie śpieszy się wstawać. Patrzymy jedno na drugie z pewnym zdumieniem. Wylądowaliśmy! Naprawdę wylądowaliśmy!

Dopóki kuter się obracał, wszystko było normalnie, a teraz horyzont pływa i kołysze się.

– Pytanie na dobranoc: jak trzeba było lądować, żeby nie połamać podwozia? – Specjalnie przeciągam czas, żeby przestało mi się kręcić w głowie.

– Na wodę – proponuje Kora.

– Przyjęte. Inny wariant? – pytam. Nikt nie ma innych pomysłów.

– Trzeba było oddalić się od obozu o trzysta kilometrów i lądować na głównym ciągu na silniku jądrowym – mówię.

– Dlaczego więc tak nie zrobiłeś?

– Bo nie wiedziałem, że podwozie jest takie słabe. W naszych czasach to robili…

Śmiejemy się. Długo i nieco piskliwie. Podnosimy się i, zataczając się, idziemy do wyjścia.

– Ostrożnie, obudowa statku jest gorąca – uprzedzam. Miriamy pojmują ostrzeżenie na swój sposób i włażą na grzbiet Montana.

Z zewnątrz słychać głosy. Czekają na nas.

Anna chyba postanowiła połamać mi żebra albo zadusić w objęciach.

– Gdy nagle zamilkliście i kuter zaczął się obracać, niektórzy pomyśleli, że to twoje wygłupy – opowiedziała nieco chaotycznie. – Tylko ja od razu zrozumiałam, że z wami kiepsko. Wszyscy milczą, tylko ty krzyczysz nie wiadomo co i od czasu do czasu chwalisz Miri-two, że dziewczynka zuch, koteczka, kiciunia, słoneczko. A kiedy na cały głos zaśpiewałeś: „Brawo, bravissimo, Figaro, Figaro!”, ostatni dureń zrozumiał, że lądujecie awaryjnie.

Dziwne. Nie pamiętam, żebym głośno chwalił Miri-two. Pamiętam, że śpiewałem arię Figaro, ale zdawało mi się, że wcześniej milczałem.

Oglądamy kuter. Jedna noga podwozia złamana, dwie porządne zdeformowane – przyjęły na siebie uderzenie i pogniotły się. Plus oderwana sekcja antygraw. Innych widocznych uszkodzeń nie ma. Zupełnie nieźle jak na awaryjne lądowanie. Kilka godzin remontu.

Smoki zebrały się w dwie grupy, podrzucają siostrzyczki, a te z radosnym piskiem wylatują w powietrze na dobre dziesięć metrów.

– A tu wszystko normalnie? Wszyscy zdrowi? Baza nie runęła? – pytam.

– Gdzież, do diabła, miałaby się podziać? – Anna już się uspokoiła i zaczyna się złościć. – Zamek z widmami.

– Z jakimi widmami? Prawdziwymi?

– Ty masz w głowie tylko śmichy-chichy. Pożyjesz – zrozumiesz.

Coś źle się dzieje w państwie duńskim. Później się w tym zorientuję. Ani razu jeszcze nie widziałem żywego ducha. To może być nawet ciekawe. Ale później, wszystko później! Dzisiaj święto. Składam dłonie w trąbkę i ryczę:

– Słuchajcie, dobrzy mieszkańcy Potworka! Słuchajcie i nie mówcie, że nie słyszeliście! Dzisiaj wieczorem – bajki przy ognisku!

– Hurra-a!!! – odkrzyknęły chórem smoki.

Siedzę pomiędzy Korą i Anną, pogryzam z chrzęstem chipsy z meduz i rozkoszuję się życiem. Montan opowiada o naszych przygodach i wyczynach i co chwila z obawą patrzy z ukosa na siostrzyczki. Siostrzyczki hamują jego bujną fantazję krytycznymi uwagami. Jednym słowem – szkodzą.

– Opowiedz o lądowaniu – prosi Fala.

– O-o! O tym nie da się opowiedzieć, to trzeba przeżyć… Chcesz zobaczyć zapis?

Wszyscy chcą. Montan puszcza do ogólnego wglądu film wideo, nagrany przez jego okulary. Ja też się podłączam. Ciekawie jest popatrzeć na siebie z boku.

No jasne, wyglądam jak zadowolony kot: ogon do góry, gęba od ucha do ucha, jakżeby inaczej. Aha, oto najgroźniejszy moment. Miri-one wylatuje z rzemieni i zwisa na bocznym oparciu fotela. Chwytam ją ogonem za talię, Montan za nogi i obracamy ją właściwym końcem do góry. Na mojej mordzie zastygł błogi uśmiech. Zmagam się z kierowaniem, szarpię rączki i gałki pulpitu jakbym bawił się na symulatorze. I przy tym ryczę „Brygantynę”: „…Pijemy za złośliwych, za niepodobnych, gardzących groszowym ciepełkiem…”. Tego nawet nie pamiętałem, wydawało mi się, że wtedy jeszcze siedziałem cicho jak myszka. Kora podejrzliwie wpatruje się w moją fizjonomię – pewnie sądzi, że to wszystko urządziłem specjalnie.

Montan utrzymuje Miri-one, dopóki ta nie przypnie się z powrotem, a ja już obracam kuter. Na mordzie Kory zastygła gorzka obraza, po jej zwisających policzkach i fałdach skóry widać, jak rośnie przeciążenie. Mój idiotyczny uśmiech zamienia się w złośliwe szczerzenie zębów. Siostrzyczki wczepiły się w oparcie fotela i zamarły jak statuetki, Miri-two nawet zamknęła oczy. Po co jej patrzenie na przyrządy, jeśli ma bezpośrednie połączenie z autopilotem statku? Miri-one patrzy tylko na mnie. A przecież one cały czas razem pracują – domyślam się. Miri-two oblicza dla mnie wektory, a Miri-one zmienia kąt widzenia obrazu w zależności od ruchów mojej głowy.

Przeciążenie spada. Znowu uśmiecham się z ogonem uniesionym ku górze. Ryczę „Figaro” – o całą oktawę wyżej, co brzmi trochę jak ryk rozjuszonej myszy.

Lądowanie. Podwozie wypuściła Miri-one. Gdy rozlega się trzask podwozia i kuter niebezpiecznie się przechyla, mój ogon ze strachu przyciska się do podłogi. Miri-one patrzy na mnie z ukosa z jeszcze większym strachem. Pewnie pomyślała, że chciałem wylądować na brzuchu.

Zamyślam się głęboko. W chwili niebezpieczeństwa ujawnia się prawdziwa esencja istoty rozumnej, nieważne, człowieka, czy smoka. Jaka jest prawdziwa esencja najstarszego smoka? Pozer, chłopczyk, klown. Błazen. Dlatego wszystko wokół mnie zamienia się w jeden wielki cyrk. Naprawdę cieszyłem się podczas tego awaryjnego lądowania, że wreszcie pojawiła się godna mnie robota. Nawet nie pomyślałem, że możemy zginąć. Że może zginąć Kora…

– Coś się stało? – pyta mnie Kora. Liżę ją w nos i wsłuchuję się w rozmowę.

– … Miliony lat? W kosmosie? Ależ pierwszy większy meteor...

– Nieprawidłowo – przerywam. – Opowiedz im o tym, Montan.

Montan wtedy mocno zawinił. Wbrew mojemu rozkazowi skierował kuter z dużą szybkością wprost na Obiekt. Mogło się to skończyć bardzo źle.

Nabijam gębę chipsami z suszonych meduz. Tego właśnie brakowało mi podczas lotu, z tego będzie znany Potworek. Z chipsów.

– Zapaliłem się wtedy – zaczyna Montan. – Komandor mówił mi, żebym nie kierował wektora szybkości na ten przerośnięty kryształ. A ja zacząłem już taki piękny manewr… – Podnosi kanciasty kamień i zaczyna imitować, jak wtedy zmieniał płaszczyznę orbity. Przeciąga czas jak doświadczony opowiadacz, żeby słuchacze dojrzeli. –…A te szkodniczki podrzucają mi ciągle nowe rady. Gdybym słuchał obu równocześnie, na pewno rozwaliłbym kuter.

Siostrzyczki zgodnie rzucają się na Montana z wyrzutami. Montan woła o sprawiedliwość, ale Kora staje po ich stronie. Ja też staję po stronie Miriameczek i okrywam je skrzydłami. Wszyscy żądają kontynuacji opowiadania.

– A dalej to już nie ma o czym opowiadać. Obiekt był prosto na kursie – i nagle go nie ma. Gwiazdy dookoła te same, wektor szybkości ten sam, a Obiektu nie ma. Siostrzyczki jak nie zapiszczą! – Żeby oddać to bardziej przekonująco, Montan aż podłubał palcem w uchu.

– Nie słuchajcie go! – oburzają się Miriameczki. – Nic takiego nie było!

– A kto krzyczał: „Fluktuacja! Fluktuacja zero-t!”? W każdym razie ja odwracam się, a Obiekt już za nami, i to dwa razy dalej, niż był. Tak Obiekt broni się przed meteorytami. Przerzuca je na drugą stronę, jakby przeleciały przez niego.

– W takim razie jak zdołaliście zbliżyć się do niego?

– A po stycznej. I trzeba dokładnie utrzymywać stosunek odległości do szybkości. Poniżej dziesięciu kilometrów ten mechanizm obronny już nie działa.

Miri-two wyjmuje z torebki mój ząb, jakieś pilniki, dłuta rzeźbiarskie i zaczyna tworzyć. Nie, muszę być ścisły. To już nie jest mój ząb, to niedokończona statuetka. Młodzieniec i dziewczyna stoją plecami jedno do drugiego. Kogo mi przypomina ten chłopak?

Wysyłam cebera po syntezator i urządzam wieczór starych pieśni. Śpiewam „Brygantynę” Pawła Kogana, „Grenadę” Swietłowa, „Niebieskie miasta”, „Za mgłą”, „Ludzie idą po stepie” i wiele innych, dawno już zapomnianych, dobrych pieśni. Może dzięki temu zyskają nowe życie? Bo co najmniej połowa smoków zachowa ich zapis dla swoich dzieci.

Niebo ciemnieje, zapalają się gwiazdy, ale nikt nie chce odejść. Jesteśmy przecież razem. I jesteśmy Zastępem!

Wychodzę na korytarz i kieruję się do windy. W końcu korytarza zza uchylonych drzwi wygląda tylna część czarnego smoka z kokieteryjnie skręconym w spiralę ogonkiem. Wchodzę do windy, naciskam guzik i zamyślam się. Na Potworku są tylko dwa czarne smoki: Anna i Platan. Z Anną dopiero co rozmawiałem, a Platan nie zwija ogonka w spiralę. I jestem gotów przysiąc, że to był ogon smoczycy.

Gorączkowo macam po ścianie w poszukiwaniu przycisku „STOP”. Massaraksz! Ta winda ma tylko jeden przycisk! Jeśli jest na dole, kieruje ją na górę, a jeśli na górze – w dół. Do diabła z taką genialną funkcjonalnością! Zastanawiam się, jak by tu zerwać kawał podłogi i zeskoczyć do szybu windy, ale akurat w tej chwili drzwi się otwierają. Naciskam przycisk i jadę z powrotem na dół.

Tylko jeden smok we Wszechświecie zwija ogon w tak ciasną poziomą spiralę. Ten smok jest członkiem Zastępu, ale i najbardziej prawdopodobnym kandydatem na nieboszczyka, gdyż upiększał korytarze modułu bazowego własnymi obrazami w stylu romantycznego prymitywizmu, czyli spędzał w nim więcej czasu niż inne – zanim bazowy moduł nie zamienił się w malutkie słoneczko. Ten smok nazywa się Elana.

Wychodzę z windy, patrzę w dal korytarza. Pusto. Podnoszę okulary na czoło, żeby widzieć wyłącznie własnymi oczami, bez żadnej rzeczywistości wirtualnej. Zaglądam we wszystkie drzwi. Pusto. Widmo krąży po Potworku. Duch ojca Hamleta. Ale czy widmo może zapomnieć pozostawionego na podłodze zestawu kolorowych woskowych ołówków?

Co ja wiem o Elanie? Że jest żoną Timura i przyjaciółką Lobasti. Przyjaciółka Lobasti… Pokaż mi swoich przyjaciół, a… I ja… Jak mogłem zapomnieć! Jestem przecież kierownikiem! Kierownik nie musi niczego robić sam, ma od tego zastępców. I wyznaczyłem przecież swojego zastępcę przed odlotem! Ależ jestem mądry!

Gdzieś w Europie nikomu nieznani malarze

Na zakurzonych jezdniach malują pejzaże.

La-la la la!... La!... La!

La-la la la!... La!... La!

La-la… La-la!

Mruczę starą piosenkę i kroczę wesoło po korytarzu. Wywalam z szuflady na biurko wszystkie papiery, robiąc na nim twórczy bałagan. Obrzucam go okiem z boku i wzywam Falę. Gdy smoczyca zjawia się, rzucam jej od niechcenia, grzebiąc w szkicach:

– Faleczko, bądź tak dobra i poproś Żartownisia o przybycie za pięć minut.

– Ale ona… Ja… Ona… Nie zdążę.

– No to za dziesięć.

Smoczyca natychmiast wyskakuje z gabinetu. Ależ ciekawy mam zespół! Półtora roku rozmyślałem, jak z nim… z nią się zobaczyć. Jak się okazuje, trzeba było po prostu wezwać przez sekretarkę na dywanik. Dobra sekretarka może wszystko.

Nieśmiałe drapanie do drzwi. Patrzę na zegarek. Siedem minut z sekundami.

– Otwarte!

Wchodzi Lobasti. Nawet nie bardzo się zdziwiłem. Odkładając na bok stereofotografie Obiektu, patrzę surowo na nią. Smoczka jest przestraszona, ma ogon przyciśnięty do brzucha.

– Siadaj. Od czego zaczniemy? Od dobrego czy od złego?

– Od złego – mamrocze lękliwie Lobasti. Prawidłowa taktyka.

– Kto jest teraz z Grebem i co robi druga Miriam?

– Z Grebem wszystko normalnie. Jego organizację kontrolujemy w pełni. Trzech killerów zlikwidowaliśmy, ośmiu wyprawiliśmy na Strefę. Tak że teraz mamy wszystko pod kontrolą. Na ten temat proszę lepiej porozmawiać z Mrokiem, to on pilnuje Greba. Tam jest problem… No, on sam o tym opowie. A z Miriam wszystko dobrze, bardzo mądra dziewczyna. Dopóki jest przy Grebie, jestem o niego spokojna.

Trzy trupy i ośmiu ludzi na Strefie. Nie trzeba było Greba zostawiać bez obserwacji. Nastrój gwałtownie mi się psuje. Lobasti bierze to na swój rachunek i peszy się jeszcze bardziej. Przyglądam się jej uważnie i na niektórych łuskach widzę głęboko wyskrobane krzyżyki – tam, gdzie Żartowniś miał biały trójkąt na piersi. Czyli Żartowniś to jednak ona, a Miriam nadal jest androidem. Gdzie pomyliłem się w swoich rozmyślaniach?

– Kto, poza tobą, wie o maszynie czasu? Elana i kto jeszcze?

– Prawie nikt.

Ależ ona się boi! Czyżbym był aż taki groźny? Nie. To znaczy… To znaczy, że narobiła głupstw.

– Kto?

– Mrok, Catherine, Artiom z Szallą, Greb z Miriam, Kris, Tawia i jeszcze jedna kobieta, Dora. Nie znasz jej.

– Wszyscy?

– Aha, jeszcze Cerbes.

Czy mi się wydaje, czy naprawdę ryczę ze złości? W każdym razie na powierzchni biurka pozostają głębokie bruzdy od moich pazurów. Lobasti płacze. Drzwi się uchylają i w szczelinę wsuwa się głowa Fali, a poniżej niej Miriamy.

– Won!!! – ryczę na siostrzyczki i drzwi się zamykają. Lobasti zrywa się i znowu siada.

O maszynie czasu wie pięciu ludzi. O pięciu za dużo. Pytanie, co z nimi zrobić?

– Zdajesz sobie sprawę, coś ty narobiła?

– Ale ludzie nie znają konstrukcji. Wiedzą tylko jak naciskać guziki – usprawiedliwia się Lobasti.

– Mądremu wystarczy znać sam fakt, że to możliwe. Mam nadzieję, że przynajmniej matematyki nikomu nie przekazałaś?

– Matematyka jest w każdym podręczniku fizyki. To równanie Trepeda. – Lobasti ze zdumienia aż mruga oczami.

– Tworzyłaś maszynę na podstawie równań Trepeda? Ależ tam delta l przesunięcia czasowego jest wzięta całkowicie z fantazji autora!

– Uściśliłam konstantę.

– Jaką znów konstantę?! Zdejmij okulary! – oburzam się. Zabieram Lobasti okulary, wrzucam je do szuflady biurka, Na arkuszu papieru wypisuję cztery równania. – Gdzie tu widzisz konstantę? Przecież to funkcja!

Lobasti pochyla się nad arkuszem, zabiera mi stylus i, zlizując językiem łzy, przepisuje równania we współczesnej notacji. Potem przepisuje po raz trzeci, zamieniając greckie litery znakami, przyjętymi u chronofizyków. Patrzę na tą abrakadabrę i dziwię się: czyżby to było czytelniejsze niż u mnie? A Lobasti poprawia jedną z wartości i zachwyca się.

– Genialne, co? – pyta i patrzy na mnie absolutnie okrągłymi oczami.

Zabieram jej arkusz i patrzę, gdzie by tu go wyrzucić. Nie ma gdzie. Wkładam do pyska i zjadam. Wyjmuję z szuflady i zwracam Lobasti okulary. Smoczka jest przygnębiona.

– Komandorze, ja bym nigdy tak nie umiała. Zadusić własne odkrycie własnymi łapami Patrzeć, jak my na Kwantorze walczymy o to odkrycie i ani słowem… Komandorze! – Jej oczy znów stają się okrągłe. – Czy ty lady Bertę posłałeś na Kwantor specjalnie po to, żeby nam nie dała odkryć tej formuły?

– Zbyt długo mieszkałaś na Strefie. Nie można być aż tak podejrzliwą. Węgielek nie zna tych wzorów. Zna je Montan, może jeszcze Kora. Ale oni zobaczyli je dopiero tutaj.

– Pięćset lat ukrywać odkrycie przed najbliższymi –nie umiałabym tak... To nie życie, to…

– Hm-m… I kto to mówi? Mów bez ogródek: po co urządziłaś ten spektakl?

Lobasti przyszła już trochę do siebie.

– Jeśli opowiem, będziesz klął. Tak mówi moja córka.

– Będę – potwierdzam. – No?

– Granit…

– Rozumiem –mówię i niezauważalnie dla niej wzywam Granita przez okulary.

– On mi powiedział coś takiego… Postanowiłam sobie: niech tylko ekspedycja wróci, a ja go spotkam i dam mu w mordę! Z całej siły!

– Więc on nie wie, że tu jesteś?

– Nie wie.

– A kto wie?

– Rodzice, Anna, Timur i Fala. No i teraz ty. Nikt więcej. Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, kto uratował ekspedycję.

Chyba pośpieszyłem się z wezwaniem Granita. Nic go tu nie czeka oprócz klaśnięć po policzkach. Chcę odwołać wezwanie, ale już za późno: stoi w drzwiach. Lobasti krzyczy żałośnie i chowa głowę pod skrzydło. Struś. Dlaczego ona mnie się tak boi? Nie boi się nikogo i niczego, oprócz mnie. To jest dziwne, ale w tej chwili nie najważniejsze. Trzeba ich pogodzić, przemieścić akcenty. Żeby tylko Lobasti nie zaczęła podawać własnych replik!

Obejmuję Lobasti za ramiona, przyciskam do siebie, głaszczę po grzbiecie. Głaszcząc, stopniowo porządkuję myśli. Niech tajemnica wyjdzie na jaw: po co potrzebna była ta maskarada i tak dalej. Spod skrzydła słyszę stłumiony szloch.

– Wiesz, kto to jest? – pytam Granita. Po oczach widzę, że nie poznał, chociaż się stara. – To nasz stary znajomy, Żartowniś. Zgaduj do trzech razy, po co on tu jest. – Granit w napięciu marszczy czoło. – Jest pewna rodzina smoków, która ma bardzo napięte stosunki z kuzynami. I akurat tak wyszło, że jednemu z kuzynów przytrafiło się nieszczęście. Chociaż to twardogłowy przygłup, ale jednak swojska krew, więc trzeba go ratować. A ponieważ stosunki są napięte, trzeba to robić w tajemnicy, żeby nie daj Boże nie domyślił się, kto go wyciągnął z gówna. To jeszcze nic by nie było, ale tajne intrygi często źle się kończą. Można niechcący wykończyć kilka cywilizacji.

Lobasti wyciąga głowę spod skrzydła, próbuje zaprzeczyć, ale ja mocno przyciskam jej głowę do piersi, żeby nie mogła nawet otworzyć pyska.

– Nie płacz, Lobasti. On nie jest wart ani jednej twojej łezki. – I wypuszczam z siebie gorzką skruchę. Nie muszę nawet specjalnie się starać, dobrze znam tą emocję.

Morda Granita robi się tak kwaśna, jakby wypił całe wiadro soku cytrynowego, aż zaczyna mu drgać policzek. Lobasti wyrywa się z moich objęć, rzuca się za drzwi, ucieka od Granita, jakby ten był trędowaty.

– Wy!… To wszystko nieprawda!!! Po co tak?! – Wyskakuje za drzwi. Granit – za nią.

– Nie podchodź!!! – Słyszę krzyk z korytarza, potem stukot oddalających się kroków.

Z pewnym strachem oczekuję odgłosów walki, ostrożnie wyglądam za drzwi. Granit zamknął Lobasti w kącie i potrząsa nią za ramiona tak mocno, aż biednej dziewczynie szczękają zęby, a jej kark uderza o ścianę – i przy tym żąda, żeby ona mu wybaczyła. Jednym słowem: wytrząsa z niej przebaczenie. Kto tak robi? A, niech sami zrobią z tym porządek.

Siedzimy na podłodze ciasnym kółkiem i w trójkę obrywamy płatki z róż. Łodygi oddajemy Annie, która dokładnie układa je na blasze. Mówi, że układ jest bardzo ważny, gdyż w przeciwnym razie ona – tam, w przeszłości – pokaleczy sobie błonki kolcami. Do historycznej chwili zostało jeszcze pół godziny. Tamten ja, z przeszłości, już skończył obmyślać pomysł i teraz zastanawia się, jak by tu dać znak obecnemu mnie.

Lobasti rozrzuciła po powierzchni Potworka około dziesięciu mikroskopijnych zero-lata-renek, tak słabych, że na tle szumu Obiektu smoki ich nie słyszą i pobudowała w sąsiednich continuach tyle samo baz. Komputera Cierpliwych w tych continuach nie ma, więc nikt jej nie przeszkadza wykorzystywać zero-t na pełną skalę. Zresztą i w naszym continuum komputer nie ma nic przeciw słabym pluskom zero-t. Irytują go tylko mocne, zakłócające proces wymiany informacji między kulkami. Myślę, że i mnie też by się nie podobało, gdybym żył na dnie jeziora i rozkoszował się cichą muzyką, a ktoś zacząłby głuszyć ryby dynamitem.

Róże się skończyły. Ja, tam w dole, zacząłem budować piramidkę z kamieni. Siedzimy, obserwujemy, śmiejemy się. Wyobrażałem to sobie jakoś inaczej: solidniej, poważniej. Coś w rodzaju wielkiej sali, w której tuzin smoków siedzi przy pulpitach patrząc w napięciu na ekrany, rozlegają się rwane komendy i trwa odliczanie czasu.

Kora spryskuje płatki jakąś cieczą. Mówi, że to po to, żeby nie zwiędły i lepiej pachniały. Przez rozmowy omal nie przegapiliśmy chwili „ZERO”. Płatki poszły w dół. Na ekranie szczelinowego grawilokatora nie widać płatków, ale smoki tam się zakrzątnęły – wszystkie, oprócz mnie. Ja stoję jak wryty z otwartym pyskiem. Niezbyt poważnie, przyznaję.

– Puśćcie mnie! No przepuśćcie! Zaraz będzie drugi zrzut! – Denerwuje się Anna. Odsuwamy się i pomagamy jej naładować komorę zero-t kolczastymi gałązkami. Ledwie zdążamy. Anna z niezbyt dla mnie zrozumiałą złośliwą satysfakcją mocno naciska guzik.

– Co tak oschle? – pytam.

– Ona wie. – Anna wskazuje na ekran. – Zasłużyła.

– Master Dżafar, teraz muszę przekazać samej sobie plany grawilokatora – komunikuje Lobasti i zaczyna przestrajać aparaturę.

Celuje w zero-latarnię, otwiera tunel czasoprzestrzenny wprost do pomieszczenia w sąsiedniej bazie i idzie tam z rulonem schematów pod pachą. Obserwujemy na ekranie, jak klepie po ramieniu wcześniejszą siebie. Ciekawe, że wcześniejsza przyjęła to wszystko dość spokojnie. Wychodzi więc na to, że to nie jest jej pierwsza pętla w czasie. Rozkładają rulon na stole, wcześniejsza Lobasti studiuje go dokładnie. Po kilku minutach nasza Lobasti zwija schemat w rulon, wsuwa go pod pachę, wraca i zamyka tunel.

– Ile pętli w czasie nakręciłaś? – pytam surowo.

– Cztery – przyznaje Lobasti. – To była ostatnia niezamknięta. Teraz już wszystkie moje pętle są zamknięte. – I patrzy na mnie wyzywająco.

– Nie mydl mi oczu. Co jeszcze?

– Na półtorej minuty przed wybuchem modułu bazy Komandor zjawił się tam, wydał rozkaz „Trzy zera” i wyszedł przez zero-t. Wszyscy, którzy tam byli, zdążyli uciec na Kwantor.

– A kto tam był?

– Elana, Maja, Karapet z towarzyszem pracy i rodzice Montana.

– Co ja tam mówiłem?

– Wyznaczyłeś przywódczynię grupy, wydałeś rozkaz i od razu z powrotem.

Przywódczynię… Podpowiedź. Elana może wpaść w stupor, matki Montana nie znam, pozostaje tylko Maja.

– A jeśli nie zdążą się zebrać?

– Zdążą. Obiekt palnął w kompleks dopiero wtedy, gdy na kompleksie zero-t zadziałało na pełną moc.

Druga podpowiedź. Chyba wystarczy. Nie warto wiedzieć zbyt wiele. Wywołuję na okulary zdjęcia mordek członków Zastępu. Wybieram Maję i Elanę. Po czym wprowadzam tryb ogólnej łączności. Teraz moje okulary już próbują połączyć się z okularami smoczyc. Gdy tylko dostanę się na moduł bazowy, łączność od razu zostanie nawiązana. Dodaję do listy kod łączności Karapeta. Zaglądam w okulary Montana i znajduję tam kody jego rodziców. Pięcioro z sześciorga zostanie zawiadomionych od razu. Pozostaje towarzysz pracy Karapeta, ale o niego niech się już zatroszczą pozostali.

– Jestem gotów. Otwieraj tunel.

– Ta baza nie jest w tym czasie. Musimy najpierw przejść na inną – odpowiada Lobasti i szybko nastraja aparaturę.

Otwiera się tunel do innej bazy, przechodzimy. Wszystko tu jest dokładnie takie same, tylko ściany mają inny kolor. Lobasti włącza pulpit i znowu nastraja aparaturę.

– Jesteśmy teraz w tym samym czasie, ale w sąsiednim continuum – podaje ostatnie instrukcje. – Otworzę tunel do komory zero-t i będę go utrzymywała. Wtedy oni wszyscy pomyślą, że Komandor przyszedł i odszedł przez komorę w zwykły sposób…. Została minuta.

Zaczynam robić przysiady. Smoki muszą poczuć, iż bardzo się śpieszyłem i nieco zziajałem

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero!

Oto to odliczanie, o którym marzyłem. Wpadam do komory zero-t, a z niej na korytarz modułu bazowego. Menu ogólnej łączności zapala się na czerwono, czyli łączność ustanowiona. Rozglądam się. Elana maluje na palecie, Maja stoi koło niej. Ryczę na całe gardło:

– Rozkaz trzy zera! Ogólna ewakuacja na Kwantor! Maja, ty tu dowodzisz! W kompleksie jest sześć smoków. Zbierasz wszystkich i uciekacie wszyscy razem. Zrozumiałaś? Wszyscy razem! Na zebranie się daję minutę!

Za plecami słyszę tętent. Odwracam się. W moim kierunku biegną dwa smoki.

– Co z moim chłopcem?

No tak, rodzice Montana.

– Żyje i jest zdrowy, ale nieprędko wróci. – I już nurkuję w komorę zero-t, zatrzaskuję drzwi, przebiegam przez tunel na bazę Lobasti.

– Znakomicie, Komandorze! – Lobasti wyłącza aparaturę. – Wszystko kropka w kropkę! Masz, posłuchaj.

W nausznikach brzmi mój nieco ochrypły, szybki ryk.

– To stary zapis. Z okularów Elany. A to dzisiejszy.

Taki sam ryk.

– Pierścień się zamknął – konstatuje Lobasti.

– A kto jest tym towarzyszem Karapeta? Czy ja go znam?

Ogon Lobasti przechodzi między tylnymi łapami i przyciska się mocno do brzucha. O, do diabła!...

– To lady Berta…

– Ona się uratowała?

– Ależ oczywiście! Jeśli koło się zamknęło, wszyscy się uratowali.

Węgielek była o dwa kroki ode mnie, a ja nie wiedziałem. I dobrze, że nie wiedziałem.

– Jesteś zuch, Lobasti. Wszystko prawidłowo.

– Komandorze, a co do Greba… Trzeba z niego zdjąć bransoletę. Mrok dał mu pewne odpowiedzialne zadanie… Greb sobie z nim poradził. Mrok obiecał, że jeśli on sobie poradzi, pan zdejmie z niego bransoletę.

– No więc w czym problem?

– Nie mogłam się zorientować w zasadzie jej działania.

Tam nie ma żadnej zasady działania. W 99% to zestaw bezsensownej elektroniki. Lobasti tego nie pojęła, szukała sensu. Na tym właśnie opiera się całe wyrachowanie. Trudno złapać czarnego kota w ciemnym pokoju. Zwłaszcza jeśli go tam nie ma. Bernard Show? Nie pamiętam. Powiedzieć jej czy nie powiedzieć?

– Jak spotkasz Greba, to mu przekaż, że zdejmę bransoletę jak tylko wrócę z ekspedycji. Ma umowę ze mną. A na razie niech pochodzi w bransolecie.

– Przecież to jeszcze dziewięć lat! No dobrze, przekażę.

Znowu się niechcący wygadała? Nie, do niej to niepodobne. Czyli chcący. Zakomunikowała, że ekspedycja potrwa jedenaście lat. Ta wiedza może mi się przydać. Ale jeśli wie, to znaczy, że podróżowała w przyszłość. Śmiała dziewczyna. Znać własną przyszłość – to podarunek diabła.

– Przekaż Mai i pozostałym członkom Zastępu, że jeśli zechcą, mogą się przyłączyć do ekspedycji. Tylko żeby mi przy tym nie było żadnych paradoksów czasowych!

– Jeśli bez paradoksów, to Maja nie może. Tylko Elana, a pozostali później. I nikt nie będzie mógł powrócić, dopiero razem ze wszystkimi.

– Dobrze. Więc zaraz się rozstaniemy i przekażesz mi tajemnicę kulistego zero-t.

– Nie ma żadnego kulistego zero-t – przyznaje się zmieszana Lobasti – Tą kulkę dwie setki cyberów polerowało półtora tygodnia.

– A lejek?

– Lejek wyryłam metodą sukcesywnych przybliżeń. Wyjmowałam sześcienne kawałki z odstępem co pół milimetra. A żeby zamaskować stopnie, wysłałam tam bombę termiczną.

– Tak myślałem, że pumeksowe bryłki powstały wskutek wybuchu – przyznałem.

E P I L O G

Wykopuję jamkę. Kopię tak długo, aż piasek robi się wilgotny. Wyjmuję z plecaka woreczek z ziemią, przesuwam pazurem po plastiku, wysypuję ziemię do jamki. Wkładam sadzonkę i zasypuję jej korzenie ziemią. Na wierzch wsypuję garść nasion jakiejś niewybrednej trawki Z pustym woreczkiem po ziemi idę do rzeczki po wodę. Polewam, liczę pozostałe sadzonki. Na dzisiaj wystarczy, a potem Lobasti podrzuci nowe. Jak wcześniej śpiewali ”I na Marsie także zakwitną jabłonie…”.Żeby tylko dziecko się cieszyło…

Komputer… Po prostu wielki komputer… Czterowymiarowa zabawka Rozpościera się w naszym trójwymiarowym continuum i trzech sąsiednich. Nigdy bym nie przypuszczał… Nie mogłem sobie wyobrazić, że zostanę agnostykiem. Trzysta lat marzyłem o znalezieniu prawdziwie złożonego problemu. Znalazłem… „Nie pytaj o to, co ciebie nie dotyczy, jeśli nie chcesz usłyszeć coś nieprzyjemnego dla ciebie”. A wydaje się, że wszystko jest takie proste. Bywają rzeczy niedostępne z powodów czysto technicznych, na przykład antygrawitacja w XIX wieku. W tym komputerze nie ma ani jednego węzła, z którym nie moglibyśmy sobie poradzić, którego nie bylibyśmy w stanie skopiować. Technologia na to pozwala. A jednak… Ten problem nas przerasta. Nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie zadania, do którego rozwiązania byłby potrzebny taki komputer. Badając go, niewątpliwie dowiemy się wielu nowych dla nas rzeczy, ale raczej tylko w zakresie teoretycznym. Tak, komputery Cierpliwych przekraczają nasze we wszystkich parametrach. Tak, mając choć jeden wzór, możemy rozmnożyć go za pomocą duplikatora Trepeda. Żaden problem, to prostsze niż przesłanie dwóch bitów. Nieszczęście polega na tym, że według technologii Cierpliwych doświadczalny wzorzec będzie się wykształcał co najmniej kilkaset, jeśli nie kilka tysięcy lat.

Nigdy nie dowiemy się też, jakie to zadanie rozwiązuje ich komputer. Żeby się w tym zorientować, trzeba byłoby stworzyć własny komputer, porównywalny z nim co do mocy i objętości pamięci. Niechby nawet kilkadziesiąt tysięcy razy słabszy, ale już porównywalny. Nie umiemy budować komputerów wielkości małej planety. Dlatego ich komputer pozostanie dla nas na zawsze czarną magią.

Wątpliwe też, czy kiedykolwiek spotkamy samych Cierpliwych. Potworek jest dwukrotnie starszy od Ziemi, ale kiedy zaczynała się budowa komputera, był młodą planetą. Cierpliwi mierzą czas w innych jednostkach. Ich komputer rozwiązuje zadanie od wielu epok geologicznych. Za mojej pamięci najdłuższy czas, potrzebny na rozwiązanie sensownego zadania na najmocniejszym (wtedy) komputerze wynosił trzysta godzin. Oczywiście są też zadania nieskończone, na przykład obliczanie kolejnych cyfr liczby π, ale nie o nie tu chodzi. Ludzie wolą nie zadawać komputerom zadań, których rozwiązywanie zajmuje tygodnie i miesiące. Uważa się, że jeśli zadanie nie zostało rozwiązane w możliwym do przyjęcia czasie, to znaczy, że zostało kiepsko zaprogramowane. Widocznie Cierpliwi uważają miliardy lat za czas możliwy do przyjęcia. I wątpliwe, czy się pojawią przed końcem tego terminu. A może i nie pojawią się w ogóle. Komputer zakomunikuje im odpowiedź przez zero-t i przystąpi do planowego samozniszczenia. Nie wiem, czemu, ale jestem pewny, że po rozwiązaniu zadania komputer ulegnie samolikwidacji. Może dlatego, że zniszczył moduł, skopiowany naszym duplikatorem Trepeda?

A poszukiwanie przez nas Cierpliwych jest równie ciekawe jak szukanie kropli deszczu, która wpadła do oceanu. Ich komputer zajmuje kilka trójwymiarowych continuów. To świadczy o tym, jak oni potrafią przemieszczać się między continuami. Znaleźć potrzebne w dwunastowymiarowej przestrzeni – to już łatwiej byłoby znaleźć znajome ziarnko piasku w pustyni. Zresztą jak oni wyglądają? Kogo szukać?

Ślepy zaułek… Tak oczywisty, że skrzydła opadają. „Rozum to potężna dźwignia!”. Dajcie mi tu tego, który to powiedział, i niech poradzi, co z tą dźwignią zrobić. A jak nie poradzi, to niech sobie ją wsadzi w… Fuj, omal nie obszczekałem niewinnego człowieka. Przecież on nie jest winien, że tu nie ma jak zaczepić dźwigni na problemie. Ześlizguje się.

BEZNADZIEJNE – układam to słowo z kamyków na przybrzeżnym piasku. Ciekawe, ile smoków uświadomiło sobie tą prostą myśl. Na razie jeszcze są pełne entuzjazmu. Przed nimi kilka ekspedycji do Obiektu, dziewięć lat badań. Lobasti powiedziała, że ekspedycja trwała jedenaście lat. Wrócimy w glorii sławy. No chyba: dowiedliśmy, że nie jesteśmy samotni we wszechświecie, znaleźliśmy zupełnie świeże ślady Starszych Braci, dokonaliśmy mnóstwa drobnych odkryć… A ja mam tu kukać do końca terminu? Może lepiej położyć się w anabiozę?

**Koniec tomu siódmego.**